ZNAK

MIESIĘCZNIK

LOS KSIĄŻKI
W OCZACH PISARZY ANGIELSKICH
GLOSSY:
ANTONI GOŁUBIEW, STEFAN KISIELEWSKI, MARIA MORSTIN-GÓRSKA, ZOFIA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA, JERZY ZAWIEYSKI, HANNA MALEWSKA

Dorota Simonides: PROBLEM UNIFIKACJI NARODOWEJ NA ŚLĄSKU
Zenon Szpotański: SENS HISZPAŃSKIEJ TYRADY
Jan Zajewski . . SPÓR O INTELIGENCJĘ

Zdarzenia – Książki – Ludzie

55

KRAKÓW

ROK XI STYCZEŃ (1) 1959

REDAGUJE ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zawieyski.

Redaktor Naczelny: **Jacek Woźniakowski**
Sekretarz Redakcji: **Stefan Wilkanowicz**

Adres redakcji: Kraków, Sławkowska 32, I p. tel. 556-21
Redakcja przyjmuje: we wtorki i piątki, godz. 13—15
Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p. tel. 213-72.
Administracja przyjmuje codzień, od godziny 9—13.

Cena zeszytu zł 12.—

Prenumerata od 1 stycznia 1959:

krajowa		zagraniczna	
miesięcznie . . .	zł 12.—	miesięcznie . . .	zł 16.80
kwartalnie . . .	„ 36.—	kwartalnie . . .	„ 50.40
półrocznie . . .	„ 72.—	półrocznie . . .	„ 100.80
rocznie	„ 144.—	rocznie	„ 201.60

Zamówienia i przedpłaty przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Wpłaty na konto administracji Kraków, Wiślna 12, PKO nr 4-9-831

Prenumerować można również przez urzędy pocztowe i listonoszy, oraz wpłacając na konto „Ruchu" Kraków, Worcella 6, PKO nr 4-6-777

Prenumeratę zagraniczną należy wpłacać na konto administracji PKO Kraków Nr 4-9-831, lub na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wilcza 46 — PKO 1-6-100024.

Maszynopis otrzymano 20. XII. 1958. Druk ukończono w styczniu 1959
Format A5 Papier pism. V kl. 61×86 65 g Ark. druk. 8
Zam. 463 20. XII. 1958 Nakład 7000+200 egz. C-3

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład 7, Kraków, Kazimierza W. 95

ZNAK
MIESIĘCZNIK

ROK XI – Nr 55 (1)

Styczeń 1959
KRAKÓW

Niniejszy numer „Znaku" poświęcony przede wszystkim literaturze, otwieramy strofami Norwida — jedną z jego wypowiedzi najbardziej pamiętnych o potędze i niezbędności s ł o w a w życiu narodu.

*

Na sny niewieście, na jęki tułackie
Skazanej pieśni próżno człowiek rzecze:
„— Milcz! jestem c z y n u — m ą ż, bo tobie przeczę". —
(O bez-ojczyste pojęcia, sołdackie...)
Gdzież? kiedy? czyje? ostały się miecze,
Bez słów, bez myśli, bez prawd i ich cześci? —
Jeśli nie miały pęknąć w rękojeści;
Jak kruchy kielich pęka przed spadnieniem,
Upadły dwakroć — sobą — i sumieniem!

*

Nie, — r o z u m tylko ten, co pieśń wytrzyma,
Boleść ta tylko, co aż w psalm się leje,
Tylko s z a ł, który strun liry się trzyma,
H a r t, który wobec serca nie truchleje —
Tylko ten rozum, ból, szał i ta siła
Warte są dziejów, iż mają Nadzieję;
Gdy wszystko inne — to błąd — to mogiła
To, gorzej niż błąd i niż grób... to knuty!
Świat wezmą... j e d n e j! nie zdobędą n u t y!...

C. K. Norwid
(z „Fulminanta", 1863)

DOROTA SIMONIDES

PROBLEM UNIFIKACJI NARODOWEJ NA ŚLĄSKU NA PRZYKŁADZIE KĘDZIERZYNA

I. WSTĘP

Unifikacja narodowa na Ziemiach Zachodnich to jedno z najpoważniejszych zadań stojących przed narodem polskim. Unifikacja jest bowiem nieodzownym czynnikiem rzeczywistego scalenia tych ziem z macierzą.

Po roku 1945, kiedy nastąpił powrót Ziem Zachodnich do Polski, stały się one terenem olbrzymiego przemieszczenia ludności. Po repatriacji ludności niemieckiej zostało tu około miliona ludności rodzimej. W celu uzupełnienia elementu rodzimego i zaludnienia tych ziem oraz w celu stworzenia nowego życia przyjechało około 2,5 miliona osadników z Polski centralnej oraz drugie tyle repatriantów i reemigrantów. Zderzyły się więc tu trzy zasadnicze grupy:

1. ludność rodzima,
2. osadnicy z centralnej Polski,
3. repatrianci i reemigranci.

W zależności od tego, czy dominuje grupa ludności rodzimej czy napływowej, czy też istnieje kilka grup bez przewagi jakiegokolwiek elementu, wytworzyły się różne typy środowisk lokalnych. Z grubsza możnaby wyłonić dwa typy środowisk:

Pierwszy typ to ludność miejscowa z domieszką ludności napływowej.

Drugi typ to środowisko bez przewagi jakiejkolwiek grupy.

Inaczej niż na Opolszczyźnie, gdzie jest przewaga elementu rodzimego, kształtowały się typy środowisk na pozostałych terenach Ziem Zachodnich.

Następujące po wojnie przemieszczenie ludności i towarzysząca temu długotrwała, jednak obecnie już zanikająca fluktuacja, wpro-

wadziły ogromną dezorganizację społeczną i osobową. Ludzie, wyrwani ze swoich środowisk, pozbawieni więzi społecznej, tradycji i autorytetów, stanęli oko w oko z innym osobnikiem, przeżywającym to samo zjawisko. Zerwanie więzi społecznej, wyjście z określonego kręgu kulturalnego i cywilizacyjnego nie było równoznaczne z utratą nabytych w dawnym środowisku wartości kulturowych i społecznych. Te właśnie wartości, ten różny poziom cywilizacji prowadził na Ziemiach Zachodnich do ścierania się pewnych stałych nawyków, różnych systemów społeczno-gospodarczych i wszelkiego rodzaju wartości, wyniesionych z poprzedniego środowiska. Występuje tu więc zjawisko powstawania stereotypów [1], charakterystyczne dla środowiska, w którym spotyka się szereg rywalizujących z sobą grup. Stereotypów w sensie skrótowego pojęcia grupy, w którym mieszczą się wszystkie ujemne cechy przeniesione z indywidualnego osobnika na całą grupę, jest na Ziemiach Zachodnich bardzo wiele. Każdy wypadek kradzieży popełnionej przez osadnika bywa przeniesiony na wszystkich osadników; rozluźnienie więzi rodzinnej u jednego reemigranta jest rzutowane na wszystkich reemigrantów; niechętny stosunek do Polski u jednego Ślązaka przenosi się na całą ludność rodzimą. Wzajemne bliższe poznanie i osobiste doświadczenie przełamały obecnie stereotypy wytworzone na początku i doprowadziły do indywidualizacji członków poszczególnych grup. Teraz dostrzega się już zalety u osobników grupy obcej oraz wady u osobników własnej grupy, których się poprzednio nie dostrzegało. Dochodzi więc do zrozumienia truizmu, że w każdej grupie istnieją jednostki pozytywne i negatywne.

Wskutek zderzenia się obcych ludzi z sobą i braku więzi społecznej, braku autorytetów i znajomości środowiska z jednej strony, a z drugiej napływu na te ziemie pewnych jednostek pod względem

---

[1] Definicję pojęcia „stereotypów" podaje Józef Chałasiński w pracy pod tytułem *Antagonizm polsko-niemiecki* (Warszawa 1935 r. s. 43—49): „...stereotypy te to są definicje ludzi, przedmiotów, stosunków i sytuacji, których dokonujemy na każdym kroku i które przekazuje tradycja społeczna. Nie są one wynikiem logicznego rozumowania, lecz wynikiem doświadczenia, w którym dominującą rolę odgrywają procesy instynktowne (...)" Takimi stereotypami są nie tylko nazwy tego rodzaju, jak »burżuj«, »proletariat«, »inteligent«, »żyd«... ale i mniej charakterystyczne, jak »szlachcic«, »chłop«, »urzędnik« (...), »człowiek z dobrej rodziny« itp. Do tej samej kategorii stereotypów myślowych należą określenia tego rodzaju, jak (...) »postęp«, »socjalizm«, »klerykalizm« itp. Wszystko to są pewne obrazy-skróty, do których przywiązane są pozytywne lub negatywne kompleksy wzruszeniowe. Obrazy te nie oddają nigdy dokładnie obiektywnej rzeczywistości, czasem nie wiadomo w ogóle, co oznaczają; zawsze wyrażają one rzeczywistość widzianą uczuciowo. Nie są to obrazy czysto intelektualne, ale są to treści o silnym zabarwieniu uczuciowym. W nich rzutowane są ludzkie pragnienia, dążenia i uprzedzenia, wzajemne urazy i nienawiści".

wartości etycznej ujemnych, wystąpiły tu pewne plagi społeczne, jak chuligaństwo, rozwody, kradzieże etc. w dużo większym nasileniu niż na innych obszarach Polski.

Nasuwa się teraz pytanie zasadnicze: w jaki sposób układa się współżycie między poszczególnymi grupami, jakie elementy cementują lub też utrudniają tworzenie się jednolitej społeczności poszczególnych środowisk lokalnych, innymi słowy, jak postępuje proces unifikacji?

Unifikacja dokonuje się dwiema drogami:

1. drogą obiektywną — bez świadomego współudziału osób podległych temu procesowi — np. przez nieświadome przejęcie pewnych nawyków, pewnych form pracy, przez tworzenie drogą koniecznych stosunków między ludźmi pewnej więzi.

2. drogą subiektywną — np. przez świadome używanie w urzędzie języka literackiego, przejęcie pewnych aprobowanych wzorów społeczno-kulturalnych itp.

Unifikacja jest do pewnego stopnia zjawiskiem dwuwarstwowym. Dokonuje się ona bowiem w obrębie jednego środowiska lokalnego jako unifikacja międzygrupowa oraz pomiędzy środowiskami sąsiednimi jako unifikacja ponadlokalna. Nie jest istotne, czy po dokonaniu się unifikacji w danym środowisku będą dominowały cechy byłej grupy **x**, czy grupy **y** — ważne jest tylko to, że nastąpiło zlanie się wszystkich grup w jednolite środowisko.

Proces przemieszczenia ludności,często osądzany jako zjawisko negatywne, może w przyszłości dać nowe, jak najbardziej pozytywne wartości społeczno-kulturowe, będące wynikiem ścierania się i następującego po nim zcalenia się poszczególnych grup składowych.

Prócz procesu unifikacji, któremu podlega cała ludność Ziem Zachodnich, zachodzą jeszcze inne procesy, jak repolonizacja wśród pewnej liczby ludności rodzimej i reemigrantów, jak urbanizacja, obejmująca zwłaszcza chłopów przybyłych z byłych terenów wschodniej Polski i część chłopów z centralnej Polski. Dokonuje się również industrializacja, która w konsekwencji z jednego miasteczka na Opolszczyźnie, liczącego 4 tysiące mieszkańców i mającego charakter wybitnie wiejski, zrobiła obecnie 23-tysięczne miasto z nowymi dzielnicami mieszkaniowymi. Myślę tu o Kędzierzynie, gdyż na przykładzie tego miasta, posiadającego wszystkie grupy ludnościowe reprezentowane na Ziemiach Zachodnich, najlepiej można będzie śledzić zachodzący proces unifikacji.

II. CHARAKTERYSTYKA ŚRODOWISKA

Kędzierzyn, dawniej Kandrzyn, a po 1934 r. Heydebreck, był przed i w czasie wojny miasteczkiem ważnym głównie ze względu na wielki węzeł kolejowy. Ponadto w okresie wojny wybudowali tu Niemcy duże zakłady chemiczne. Sprowadzono do pracy robotników, jeńców i więźniów z całej Europy. Prócz ludności miejscowej mieszkały tu również liczne rodziny rdzennie niemieckie. Zróżnicowanie społeczne między elementem śląskim a niemieckim było duże. Niemcy stanowili prawie odrębną klasę społeczną. W rękach ich skupiały się niemal wszystkie przedsiębiorstwa oraz wszystkie bardziej wpływowe stanowiska. Element rdzennie niemiecki charakteryzował się silnym poczuciem wyższości w stosunku do urbanizującego się w danym czasie chłopa śląskiego. Sytuacja ta zmieniła się bezpośrednio po wojnie, kiedy żywioł niemiecki został wysiedlony do Niemiec, robotnicy-więźniowie wyjechali do swych krajów, a pozostała tylko ludność miejscowa oraz nieliczna garstka robotników z Wielkopolski, zżyta z ludnością śląską i terenem. Kędzierzyn liczył wówczas około czterech tysięcy mieszkańców.

Ze względu na dużą ilość pustych mieszkań oraz walory węzła kolejowego powstała koncepcja wykorzystania Kędzierzyna jako magazynu mieszkaniowego. Koncepcja ta miała w okresie jej powstania pełne uzasadnienie. Zakłady pracy Kędzierzyna i okolicy były nieczynne na skutek uszkodzeń podczas działań wojennych (naloty alianckie) oraz na skutek częściowego demontażu. Odbudowa Zakładów Azotowych jeszcze się nie rozpoczęła. Wielki brak rąk roboczych odczuwały natomiast kopalnie okręgu bytomskiego, położonego stosunkowo niedaleko Kędzierzyna i posiadającego z nim bezpośrednie połączenie. Z tych względów skierowano tu dość liczne grupy repatriantów, reemigrantów i osadników. Przybywali oni falami w latach od 1945 do 1951 r. Obecnie w związku z akcją repatriacyjną z ZSRR przybywają dalsze, aczkolwiek nieliczne rodziny. Kolejno przyjechali: repatrianci, osadnicy z Polski centralnej, reemigranci z Francji i jako ostatni reemigranci z Rumunii. W połowie 1949 r. ludność Kędzierzyna wynosiła już 8.567 mieszkańców [2], w tym:

3.160 osób miejscowego pochodzenia,
2.463 osiedleńców z centralnej Polski,
1.685 repatriantów zza Bugu,
609 reemigrantów z Francji,

---

[2] Stefan Nowakowski, *Adaptacja ludności na Śląsku Opolskim*. Instytut Zachodni, Poznań 1957, s. 23.

339 reemigrantów z Rumunii,
180 „ z Westfalii,
63 „ z Belgii,
9 „ z Luksemburga.

Resztę stanowili reemigranci z innych krajów.

Obecnie Kędzierzyn liczy około 23 tysięcy mieszkańców, zaś podanie składu ludnościowego jest niemożliwe, gdyż celowo nie prowadzi się danych statystycznych, dotyczących tego składu.

Wielka różnorodność kręgów kulturalnych i cywilizacyjnych, z jakich wywodzą się poszczególne grupy, wycisnęła swoje piętno na ukształtowaniu się nowego środowiska. Jak wynika z powyższego zestawienia, najliczniejszą grupą jest ludność rodzima, wzmacniana nadal dopływającymi stale szeregami pracowników zakładów przemysłowych. Robotnicy ci pochodzą przeważnie z okolicznych wsi i przybywają do Kędzierzyna w miarę rozbudowy osiedla mieszkaniowego.

Jeżeli chodzi o skład ilościowy, mamy więc do czynienia ze wspomnianym już na wstępie typem środowiska o przewadze ludności rodzimej z domieszką ludności napływowej. Ponieważ jednak ludność rodzima to w olbrzymiej większości element robotniczy, zaś prawie cała inteligencja wywodzi się z ludności napływowej, stąd wpływy jednych i drugich na ukształtowanie się nowego środowiska są prawie równe. Każda z grup, jakie się tu zderzyły, posiada pewne, dla niej charakterystyczne cechy, wytworzone wskutek warunków historycznych.

Ludność rodzima

Wskutek 600 lat istniejącego nacisku państwa niemieckiego Ślązacy posiadają pewne wartości kulturowe i społeczne wspólne z narodem niemieckim. Inna jest tu struktura rodzinna, inna rola kobiety, większa zależność dzieci od rodziców itp. Grupa ta jest najbardziej zwarta, zna się nawzajem, ma wspólne zainteresowania i wspólną gwarę. Ta zwartość grupy, ten pewien izolacjonizm jest jak najbardziej uzasadniony, gdy weźmie się pod uwagę napór germanizacji, z jakim grupa ta walczyć musiała. W okresie przedfaszystowskim ludność rodzima używała języka polskiego (gwary), uczęszczała na nabożeństwa polskie i wpajała w dzieci polskość. Gdy Hitler ogłosił się orędownikiem klasy robotniczej, gdy zlikwidował bezrobocie i doprowadził do względnego dobrobytu, część z tej ludności przyjęła jego politykę i stała się jego narzędziem. Po zakończeniu działań wojennych tę właśnie część ludności oraz

element rdzennie niemiecki — napływowy — repatriowano do Niemiec.

Wśród pierwszych przybyszów na Ziemie Zachodnie znajdowało się dużo osób przybyłych tu li tylko w celu grabieży. Oni to byli dla ludności rodzimej reprezentantami Polski. Bezpośrednio po nich napłynęła ludność osadnicza z centralnej Polski, którą cechowała, z nielicznymi wyjątkami, kompletna ignorancja co do przeszłości Śląska i jego narodowościowego składu. Grabież, wywłaszczanie z domów, przymusowe wysiedlanie, wszystko to doprowadziło do jeszcze większej zwartości grupy śląskiej i wzmocniło jej izolacjonizm. Wyrządzona krzywda materialna i moralna przyczyniła się do tego, że prawem kontrastu idealizowano poprzedni okres niemiecki, przyznając niejednokrotnie słuszność sloganom propagandy hitlerowskiej.

Repatrianci zza Bugu i osadnicy z centralnej Polski

Repatrianci i osadnicy stanowią najbardziej zróżnicowany społecznie element. Są to chłopi, robotnicy, półinteligencja i inteligencja. Opuszczając swe strony rodzinne szukali tu pewnej rekompensaty, pewnego zadośćuczynienia za krzywdę wyrządzoną im przez Niemców. Nie zabierali się na ogół zaraz do pracy, lecz szukali jakiejś okazji do łatwego zdobycia pieniędzy. Przychodzili wyraźnie z pewną tendencją do awansu w nowym środowisku. Charakteryzują się, zwłaszcza repatrianci, silnie rozwiniętym nacjonalizmem. U repatriantów nacjonalizm wykształcił się zwłaszcza w okresie międzywojennym, kiedy wpajano w nich przekonanie o wyższości ich w stosunku do ludności ukraińskiej i białoruskiej. To poczucie wyższości przynieśli z sobą na Ziemie Zachodnie. Stąd w pierwszym zetknięciu z ludnością rodzimą chęć wywyższania się i poniżania tych ostatnich. Raziły ich: obca im kultura, język, tradycje. Odnosili się do Ślązaków wyraźnie z „pańskim" stosunkiem.

Reemigranci

Grupa ta jest stosunkowo w Kędzierzynie najmniej liczna. Należą do niej reemigranci z Francji, Rumunii, Westfalii, Belgii, Holandii, Luksemburga i innych krajów. Grupa ta charakteryzuje się pewną tolerancją narodową. Nie wykazuje tak silnego nacjonalizmu, jaki obserwowaliśmy u repatriantów i osadników.

W zależności od tego, czy jest to reemigracja z zachodu, czy południowego wschodu, reemigranci łatwiej wchodzą w więź społeczną czy to z repatriantami, czy ludnością rodzimą. I tak np. reemigranci z Francji, Belgii i innych krajów zachodnich posiadają w zakresie

kultury materialnej dużo cech wspólnych ze Ślązakami. Z kolei reemigranci z Rumunii i Węgier są na ogół na podobnym poziomie cywilizacji co repatrianci. Jeśli natomiast chodzi o wyrobienie polityczne i społeczne, reemigranci z Francji znajdują wspólny język z ludnością osadniczą. Gorliwość religijna ludności rodzimej jest znów zbliżona do repatriantów. Reemigranci stanowią więc grupę bardzo niejednolitą i posiadają cechy wspólne z innymi grupami.

Reemigranci z Rumunii nie znali Polski w ogóle, gdyż emigracja ich trwała przeszło 100 lat. Tak więc wśród nich jak i wśród ludności rodzimej postępuje wspomniany już proces repolonizacji.

III. CZYNNIKI ODŚRODKOWE HAMUJĄCE

Chcąc przyjrzeć się procesowi unifikacji, występującemu wśród ludności Kędzierzyna, trzeba poznać obie strony tego skomplikowanego i zakrojonego na pokolenia zjawiska. Zasygnalizowane już niektóre przeszkody i inne, nie wspomniane jeszcze czynniki odśrodkowe — rozbijające, zarówno obiektywne jak i subiektywne, wystąpiły tu szczególnie silnie. Są one następujące:

1. Różnorodność kręgów cywilizacyjnych i kulturowych.
2. Niejednolitość kulturalna i moralna elementu napływowego. postawionego w roli reprezentanta polskości bez danych obiektywnych i bez świadomości swej roli (elementy szabrownicze). Fakty pogłębiające kryzys zaufania społecznego; znane są wypadki, że człowiek podający się za księdza wcale nim nie był, lekarz był tylko marnym felczerem itp.
3. Wzajemna ignorancja historyczna, a co za tym idzie nieznajomość siebie, aktualna i w przeszłości. Częste mieszanie sprawy obywatelstwa z narodowością. I tak np. ludność napływowa uważała Ślązaków za Niemców, z kolei Ślązacy uważali reemigrantów za przedstawicieli kraju, z jakiego przybyli, nie znając zupełnie ich losu. Wymienić również należy kompleksy niższości u Ślązaków, wyższości u ludności napływowej, poczucie swojej wartości tak różne u poszczególnych grup.
4. Na specjalną uwagę zasługują wciąż jeszcze działające efekty germanizacji, pojawiające się zwłaszcza w dwóch aspektach:
   a — wspomnianym już szkalowaniu Polski i wszystkiego co polskie; we wpajaniu w ludność rodzimą świadomości podziału między Polską a Śląskiem.
   b — w działającej jeszcze wśród ludności rodzimej bezpośredniej germanizacji, zwłaszcza u młodzieży starszej,

która uczęszczała do szkoły niemieckiej i należała do niemieckiej organizacji. Młodzież ta była najmocniej przesiąknięta ideologią niemiecką i hitlerowską. Jeszcze teraz używa języka niemieckiego. Z tej młodzieży rekrutują się małżeństwa, zawierane od roku 1945. Małżonkowie mówią do siebie najczęściej w języku niemieckim ucząc tej mowy swe dzieci, którym nadają imiona jak najbardziej niemieckie, o czym świadczy rejestr aktu urodzenia za rok 1957. Znajdują się tam takie imiona:

męskie:	żeńskie:
Dieter	Irmgard (-a)
Ginter	Rita
Manfred	Erika
Engelbert	Ingrid (-a)
Werner	Edita
Helmuth itp.	Hildegard (-a) itp.

Imiona te dziwnie brzmią w zestawieniu z nazwiskami najczęściej polskimi, jak np. Wieczorek, Kubiak, Labusek, Piątek, Pająk itp.

Unifikację hamują i przerywają wyjazdy ludności rodzimej do Niemiec w ramach akcji tzw. „łączenia rodzin". Niestety, z wyjeżdżającymi rencistami, wdowami po poległych w niemieckim wojsku żołnierzach, inwalidami — wyjeżdża duża liczba młodzieży i dzieci, wśród której repolonizacja i unifikacja albo się już dokonały, albo są na najlepszej drodze. Młodzież ta niechętnie wyjeżdża, nie zna najczęściej języka niemieckiego. Pismo uchodźców w NRF „Der Schlesier" (nr 8 z 1958 r.) pisze, że są wielkie trudności w szkoleniu przybywającej ze Śląska młodzieży, gdyż młodzież ta w większości nie zna języka niemieckiego w ogóle, albo zna go w niedostatecznym stopniu. Wskutek zetknięcia tej młodzieży z obcym jej kręgiem kultury niemieckiej zjawia się uczucie odrębności i osamotnienia, któremu towarzyszy wielka tęsknota za krajem rodzinnym i swoim, dobrze znanym środowiskiem. Znane są wypadki, że przy zetknięciu się z Polonią niemiecką, młodzież spostrzega, że ma znacznie więcej punktów stycznych z nią, aniżeli z nowym środowiskiem niemieckim. Te momenty może i powinna wykorzystać Polonia do prowadzenia skutecznej akcji repolonizacyjnej. Prócz młodzieży i starsi natrafiają na te kontakty, najczęściej na podłożu religijnym. Biorą bowiem udział w polskich nabożeństwach, pielgrzymkach i uroczystościach kościelnych. W ten sposób wchodzą oni dobrowolnie w orbitę kultury polskiej i ulegają jej czarowi dopiero tam poznając w pełni jej atrakcyjność. Nasuwa się tu wniosek,

że tracąc obywateli polskich powinniśmy ich przekazać Polonii niemieckiej, aby utrzymać ich polską narodowość.

Z zagadnieniem tym łączy się dezawuacja aktywu miejscowego od ignorowania aż do prześladowania włącznie. Są to błędy źle zrozumianego internacjonalizmu. Wreszcie do poważnych czynników utrudniających unifikację należą niektóre błędy minionego okresu, a zwłaszcza:

1. błędy popełniane przy zakładaniu spółdzielni produkcyjnych,
2. biurokratyzm, schematyzm w planowaniu, brak sprawnej organizacji aparatu państwowego i gospodarczego,
3. lekceważenie kwalifikacji zawodowych na rzecz oblicza ideologicznego przy obsadzaniu stanowisk władzy terenowej i w zakładach pracy.

Czynnikami odśrodkowymi były oczywiście i skutki wymienionych tu błędów, np. niski standard życiowy, niedokończenie zaczętych robót, niski poziom zawodowy i intelektualny niektórych przedstawicieli władz terenowych itp. To, co na innych obszarach Polski prowadziło do krytyki poszczególnych osób i niektórych pociągnięć naszej władzy — tutaj urosło do potwierdzenia sloganu propagandy niemieckiej o *„polnische Wirtschaft"*.

Okazało się jednak, że mimo działania tylu czynników odśrodkowych, świadomych czy nieświadomych, proces unifikacji rozpoczął się i obecnie znajduje się w pełnym toku.

IV. CZYNNIKI UNIFIKUJĄCE

Do czynników unifikujących należą przede wszystkim

1. zakład pracy,
2. szkoła,
3. małżeństwo mieszane — międzygrupowe,
4. kościół,
5. organizacja, świetlica i klub,
6. książka, prasa i radio.

Do czynników tych zaliczyć możemy wszystkie momenty prowadzące do świadomego lub nieświadomego zacierania się różnic poszczególnych grup, momenty sprzyjające powstaniu nowej, młodej tradycji miasta w oparciu o pewne wartości kulturowe i społeczne pierwotnych grup.

Pierwszym obiektywnym czynnikiem unifikującym jest dążenie do ustabilizowania życia w mieście. Władza państwowa starała się szybko opanować chaos i dezorganizację oraz dążyła do ulepszenia aparatu administracyjnego. Próbowano opanować fluktuację lud-

ności i stworzyć jej warunki do stałego i trwałego osiedlenia się w mieście. Przystąpiono do odbudowania zniszczonego przemysłu. Ludzie chcąc żyć musieli wchodzić z sobą w normalne stosunki międzyludzkie. Zaczynali powoli przełamywać uprzedzenia. Niektóre grupy żyły jeszcze długo w izolacji. Sprzyjało temu rozmieszczenie ich ulicami.

1. Zakład pracy

Tu właśnie powstaje główny i trwały typ więzi społecznej. Na terenie zakładu pracy dochodzi do silnego zderzenia się poszczególnych grup. Każdą z nich cechuje inny stosunek do pracy i każda z nich wnosi pewne nawyki i wartości, obce grupom pozostałym. Przychodzą ludzie o różnych aspiracjach. Tu w ostrzejszej formie występują pewne różnice grupowe, w których wyniku powstają nowe pojęcia skrótowe — stereotypy, mówiące o stosunku do pracy poszczególnych grup. I tak na przykład charakteryzuje się repatriantów jako ludzi unikających uczciwej pracy, trudniących się handlem i zarabianiem pieniędzy „na lewo". O „Rumunach" mówi się, że są leniwi, nie umieją zorganizować sobie pracy i nie przejmują się nią. O „Francuzach" krążą głosy, że chcieliby tylko rozkazywać i zajmować w pracy lepsze stanowiska. Osadnikom z centralnej Polski zarzuca się chęć awansu niezgodnego z posiadanymi kwalifikacjami. Ślązaków określa się jako służbistów i formalistów.

Wszystkie te zarzuty, niewątpliwie słuszne w odniesieniu do niektórych członków danej grupy, przeszły i tu na całą grupę. Droga dalszego poznawania się wzajemnego w procesie pracy, przejęcia od drugiej grupy niejednokrotnie lepszych form organizacji pracy i umiejętności prowadzi do powolnego lub całkowitego zaniku uprzedzeń i antagonizmów.

Kiedy dziś, trzynaście lat po przybyciu pierwszych grup, rozmawia się na ten temat z pracownikami i kierownikami poszczególnych zakładów i spółdzielni pracy, widzi się, że rażących uprzedzeń antagonizmów już nie ma. Odnosi się to szczególnie do małych zakładów i instytucji, gdzie pracownicy znają się nawzajem i dawno zrozumieli, że o wartości człowieka świadczy nie jego pochodzenie, lecz jego postawa moralna i społeczna.

Nieco inaczej wygląda ta sprawa w dużych zakładach. Tam również już nie ma konkretnych antagonizmów. Istnieją natomiast pewne uprzedzenia i stereotypy, wynikające li tylko z tego, że pracownicy zakładu nie weszli w całej masie w bliższe z sobą stosunki, nie znają się nawzajem. Pytani o ewentualne antagonizmy, pracow-

nicy niektórych wydziałów największego zakładu koło Kędzierzyna odpowiedzieli, że owszem, istnieją, ale nie u nich, lecz na sąsiednim wydziale! Pracownicy „sąsiedniego" wydziału również potwierdzili istnienie antagonizmów, ale nie u nich, lecz rzekomo w wyżej już wymienionym. Tak więc wydział A widzi antagonizmy w wydziale B, wydział B widzi je w wydziale A. Tymczasem wydziały A i B przyznają, że u nich antagonizmów nie ma. Ten przykład jest bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza w wielkich zakładach. To prowadzi do stwierdzenia, że antagonizmy przestały być rzeczywistością i stały się m i t e m, któremu coraz trudniej znaleźć rację istnienia.

Ogromną pomocą w tworzeniu się więzi społecznej na terenie pracy i przyczyną zaniku antagonizmów jest fakt, że przy obsadzaniu stanowisk bierze się pod uwagę nie pochodzenie grupowe, lecz konkretne kwalifikacje zawodowe.

Ze względu na bardzo liczne dojazdy do pracy, obejmujące około 60% osób pracujących, tworzy się między pracownikami z Kędzierzyna a pracownikami z innych miejscowości, zatrudnionych w tym samym zakładzie pracy, nowa więź społeczna — ponadlokalna.

2. Szkoła

Unifikacja jest procesem, który ze względu na związki poszczególnych grup z starym środowiskiem wymaga nie tylko długiego czasu, ale i środków ułatwiających trwanie i potęgowanie tego procesu. Do środków takich, działających głównie wśród dzieci, a przez dzieci i u starszych, należy s z k o ł a.

W Kędzierzynie istnieje 6 szkół podstawowych i jedna licealna. Przed wojną istniała tylko jedna podstawowa. Do szkół tych uczęszcza około 1700 młodzieży. Duża liczba młodzieży z Kędzierzyna dojeżdża do szkół zawodowych do Opola, Gliwic, Sławięcic i Raciborza.

W pierwszym okresie tworzenia się wspólnoty społecznej miasta miały w szkołach miejsce te same antagonizmy i uprzedzenia, co poza nimi. Dzieci powtarzały stereotypy wytworzone przez starszych i tworzyły własne. Obrzucały się epitetami takimi, jak „cygan", „Rus", „Szwab", „Gorol", „Chachar" itp. Również zewnętrznie dzieci różniły się między sobą, np. ubiorem. Jednak główną i najbardziej istotną różnicą był brak wspólnego języka. Duże trudności sprawiały nauczycielom częste wizyty matek, proszących o „przesadzenie" dziecka, gdyż siedzi ono w ławce z „Niemcem", z „Rumunem", a matka życzy sobie, by siedziało z Polakiem. Trzeba było cierpliwego tłumaczenia, że wszystkie dzieci uczęszczające do polskiej szkoły są Polakami. Teraz, w 1958 roku, prośba taka jest nie do pomyślenia.

Wśród rodziców, rekrutujących się z reemigrantów z Francji i osadników z Polski centralnej, było większe poszanowanie nauki dziecka, istniały wyższe aspiracje związane z przyszłym zawodem syna czy córki. Na ogół dzieci ludności napływowej, wyjąwszy reemigrantów z Rumunii, po ukończeniu szkoły podstawowej kształciły się dalej i przechodziły ze szkoły do szkoły. Dzieci ludności rodzimej natomiast szły ze szkoły w życie, do pracy. Zapytane o swój przyszły zawód, wybierały najczęściej zawód rodziców. Obecnie sytuacja ta uległa dużej zmianie. Szacunek dla nauki dziecka i właściwa jej ocena wzrosły u rodziców ogromnie. Rodzice często przychodzą do szkoły, pytają o postępy w nauce, proszą o radę i biorą udział w pracach Komitetu Rodzicielskiego.

Do momentów sprzyjających unifikacji na terenie szkoły zaliczyć należy

1. nauczyciela świadomego swej funkcji i godnego reprezentanta Polski (co, niestety, nie zawsze się zdarza),
2. wspólny już teraz dla wszystkich język polski,
3. przeżywanie lekcji i uczestniczenie w niej całej klasy,
4. zwartość klasy i wspólne jej interesy w celu przeciwstąwienia się klasie wyższej lub niższej,
5. wspólne zainteresowania w zajęciach pozalekcyjnych; utworzenie w tym celu kółek według zainteresowań, jak „Koło sportowe", „Koło pieśni i tańca", „Koło filatelistów" itp.
6. zniwelowanie różnic w ubiorze przez wprowadzenie u dziewcząt granatowego fartucha szkolnego.

O tym, jak bardzo wspomniane czynniki młodzież zbliżają, jak zacierają świadomość i odrębność środowiska, świadczy badanie przeprowadzone w jednej z sześciu szkół podstawowych. Badanie polegało na tym, że z klasy wyszło trzech uczniów. Pozostali podali orientacyjnie, skąd, z jakich stron i kraju przybyli do Kędzierzyna. Zrobili to na karteczkach każdy dla siebie. Karteczki zebrał nauczyciel. Po tym zabiegu orientacyjnym poproszono najpierw jednego, potem drugiego i wreszcie ostatniego ucznia z trzech wyproszonych za drzwi. Zadanie ich polegało na tym, by po kolei idąc rzędami wskazali ucznia, o którym wiedzą, skąd przybył do Kędzierzyna.

Wyniki są następujące

Klasa VII — liczba dzieci 38

W tym pierwszy uczeń rozpoznał	4
drugi „ „	10
trzeci „ „	4

Klasa VI — liczba dzieci 29

Pierwszy uczeń rozpoznał 4
drugi „ „ 1
trzeci „ „ 9

Klasa V — liczba dzieci 31

Pierwszy uczeń 4
drugi „ 1
trzeci „ 2

Klasa IV — liczba dzieci 32

Pierwszy uczeń 2
drugi „ —
trzeci „ —

Klasa III, II i I — wszystkie dzieci odpowiedziały, że pochodzą z Kędzierzyna. Są to istotnie roczniki urodzone już w Kędzierzynie.

Badania te prowadzą do stwierdzenia, że w szkole istnieje coraz słabsza świadomość pochodzenia środowiskowego. Im niższa klasa, tym świadomość pochodzenia środowiskowego mniejsza.

U pewnej części młodzieży pochodzenia rodzimego przerwano proces unifikacji na skutek wyjazdu do NRF. Młodzież ta nie zerwała jednak kontaktu z kolegami i szkołą w Kędzierzynie. Świadczą o tym listy wymieniane między obiema stronami. Zapytana o los swego kolegi, klasa opowiedziała o jego pobycie w lagrze, o tym, że tęskni za szkołą, o tym, że rodzice chcą się przenieść do NRD, gdyż tam rzekomo łatwiej o pracę itp.

Unifikacja dokonująca się wśród dzieci pozwala nam spokojnie patrzeć w przyszłość. Czas i dalsze świadome kierowanie tą pracą pomogą w powstaniu wspomnianych już nowych pozytywnych wartości kulturowych i społecznych.

3. Małżeństwo międzygrupowe

Małżeństwo międzygrupowe jest jednym ze stałych i trwałych czynników unifikujących. Początkowo, kiedy w 1947 r. zawarte zostało pierwsze małżeństwo międzygrupowe pomiędzy Ślązaczką a repatriantem ze wschodu, rozpętała się burza dążąca do zniszczenia i zerwania narzeczeństwa i zamiaru małżeństwa. Rodzice i znajomi obu stron rozwinęli żywą działalność w tym celu. Posypały się

listy anonimowe i na nowo stawiano przed oczyma wszystkie ujemne stereotypy, wytworzone na daną grupę. Małżeństwo mimo to doszło do skutku. Przykład tego dobranego i szczęśliwego małżeństwa zachęcił innych. Kiedy jednak wkrótce okazało się, że jedno z małżeństw międzygrupowych jest niedobrane i nieszczęśliwe, znów zaczęto dużo mówić o tym, że grupy powinny się między sobą kojarzyć gdyż inne wypadki są z a w s z e nieszczęśliwe. Po takim generalizowaniu jako przykład podawano zawsze ten jeden jedyny.

Mimo uprzedzeń i niechęci małżeństwa międzygrupowe zdarzały się coraz częściej.

W	1948	było ich	9
"	1949	" "	12
"	1950	już	15
"	1951	"	17

Rokrocznie wzrastała co prawda i liczba ogólna zawieranych małżeństw, ale obok tego wzrastały i małżeństwa międzygrupowe. W tej chwili rzecz ta nie robi już na nikim żadnego wrażenia. W 1957 roku na 152 śluby 61 było małżeństw międzygrupowych. Ciekawe są wypowiedzi samych małżonków dotyczących ich pożycia. Ślązaczka mówi, że mąż zaimponował jej głównie swym nadskakiwaniem. Mąż ten — repatriant — mówi o żonie, że wiedział, iż będzie gospodarną i pracowitą żoną, bo — jak konkluduje — „Ślązaczki dbają o swoich mężów". Ślązak, mający za żonę córkę reemigranta z Rumunii, podkreśla jej temperament dodając, że umie kochać.

Jednak wśród małżeństw międzygrupowych jest rzeczywiście także spora liczba niedobranych i nieszczęśliwych. I tak na przykład Ślązak skarży się, że żona — z centralnej Polski — nie umie gotować i chciałaby się dużo stroić, a on na to nie zarabia! Repatriant skarży się na żonę „Rumunkę", że ma kochanka. Ślązaczka i jej rodzice podkreślają to, że jej mąż a ich zięć nie oddaje pieniędzy, lecz przepija je z kolegami. Wspomniane wypadki zdarzają się również w małżeństwach wewnątrzgrupowych, ale rzecz ciekawa, że o nich nie mówi się tyle!

Dzieci małżeństw międzygrupowych noszą imiona raczej „neutralne", takie jak Maria, Helena, Irena, Józef, Henryk, Jan itp. Rzadko zdarza się wypadek, żeby małżeństwo międzygrupowe, zawarte pomiędzy repatriantem czy osadnikiem a Ślązaczką — i na odwrót, nadawało dzieciom imiona wybitnie polskie, jak Stanisława, Władysław, Bolesław, Bronisława, Bogumiła itp. Drogą starć rodziny i znajomych zwycięża imię „neutralne". W małżeństwach wewnątrzgrupowych zdarzają się jeszcze imiona dzieci brzmiące obco w ję-

zyku polskim. Prócz wymienionych już imion niemieckich, wypisanych z rejestru aktu urodzenia za rok 1957, spotyka się tu jeszcze takie

Arletka
Sonia
Violeta
Roland
Elka

Tak więc i w dziedzinie małżeństwa obserwujemy powolne a niejednokrotnie zupełne zanikanie stereotypów i uprzedzeń na rzecz indywidualnej oceny człowieka, niezależnie z jakiej grupy się wywodzi.

4. Kościół

Tak jak w grupie narodowej czy rodzinnej, podstawę unifikacji stanowi wspólnota woli i przeżyć, tak też jest i w grupie lokalnej Kościoła Katolickiego, jaką stanowi parafia. Jedną z pierwszych form ustabilizowania i zorganizowania w mieście życia był kościół. Świadomi swej misji księża od razu przystąpili do zorganizowania parafii.

Najważniejszym czynnikiem i momentem sprzyjającym unifikacji jest na tym terenie d o b r o w o l n e zetknięcie się poszczególnych grup, wyznających te same zasady.

Wspólnota języka, wspólne modlitwy i śpiew, kazanie podkreślające wspólnotę katolicką i miłość, jaka powinna łączyć ludzi, przyczyniały się do niwelowania różnic międzygrupowych i do zniesienia antagonizmów. Parafia w Kędzierzynie rozwija się w miarę napływu ludności i liczy obecnie 15 tysięcy parafian.

Do pewnego rodzaju narzędzi styczności, które w konsekwencji sprzyjają unifikacji, zaliczyć trzeba:

1. wspólne uczestniczenie w nabożeństwach kościelnych,
2. wspólną naukę pieśni w kościele,
3. pielgrzymki parafian do miejsc pątniczych do Częstochowy i Góry św. Anny,
4. rekolekcje zorganizowane dla całej parafii.

Do bardziej bezpośrednio i czynnie oddziałujących zaliczymy:

1. bibliotekę parafialną i wypożyczalnię książek,
2. chór kościelny dla dorosłych, częste próby i występy,
3. wspólną budowę nowego kościoła — dobrowolne deklarowanie miesięcznych składek na ten cel; powołanie Komitetu Budowy Kościoła,

4. duszpasterstwo wśród dzieci:
   a. utworzenie chóru dziecięcego,
   b. ustanowienie specjalnych nabożeństw dla dzieci,
   c. zorganizowanie i wystawienie sztuki „Jasełka", którą oglądało około 10 tysięcy ludzi,
5. kontakty indywidualne przez akcję charytatywną; wizyty składane w czasie kolędy, nawiązanie kontaktów osobistych,
6. kursy przedmałżeńskie dla młodzieży męskiej i żeńskiej.

Należy przyznać, że świadoma i ofiarna praca, jaką tu podjął kościół, w ogromnej mierze złożyła się na stan, jaki obserwujemy dzisiaj w zakresie wspólnego życia i środowiska. Fakt pierwszego zetknięcia, które tak fatalnie zaciążyło na następnym okresie i którego skutki długo jeszcze pokutowały i pokutują, nie miał tu tak dynamicznego i przykrego przebiegu. Łączyła ludzi w obrębie kościoła wspólna wiara i idea.

5. Organizacje, świetlice i kluby

Znaczną rolę unifikującą odgrywają organizacje, świetlice i kluby. Przychodzą tu członkowie różnych grup dobrowolnie. Łączy ich wspólny światopogląd, wspólne zainteresowania zawodowe lub kulturalne. Największą rolę w organizacjach, klubach i świetlicach odgrywa młodzież. Toteż proces unifikacji ma na tym polu szczególne znaczenie i decydować będzie o współżyciu grup i wspólnocie miasta teraz i w najbliższej przyszłości. Najbardziej aktywną grupę w życiu organizacyjnym i społecznym miasta stanowili początkowo reemigranci z Francji. Poznali oni w tym kraju różne formy organizacyjne i brali udział w tamtejszych robotniczych, społecznych i politycznych organizacjach. Wdrażali w to i swoje dzieci, które były pierwszymi członkami byłego Związku Młodzieży Polskiej. Drugie miejsce pod względem ilości i jakości w wyrobieniu organizacyjnym zajęli osadnicy z centralnej Polski i repatrianci. Trzecie miejsce ludność rodzima, podchodząca do wszystkiego z rezerwą i sceptyzmem. Ostatnie — reemigranci z Rumunii.

Ten stan rzeczy ma pełne uzasadnienie w przeszłości. Obecnie życie organizacji, świetlic i klubów uległo pewnym przeobrażeniom, w których wyniku organizacje liczą dużo mniej członków, a kluby i świetlice przez wprowadzenie nowych form pracy kulturalnej uzyskały dużą ilość nowych bywalców.

W Kędzierzynie istniało dawniej 11 kółek Związku Młodzieży Polskiej. Obecnie nowa organizacja — Związek Młodzieży Socjalistycznej — jest w trakcie przyjmowania członków. Ograniczono

ilość świetlic, które istniały dawniej przy każdym prawie kole ZMP. Tak więc obecnie prosperują w Kędzierzynie dwa kluby młodzieżowe, jedna świetlica górnicza i jeden klub dyskusyjno-filmowy. Klub Młodzieży Robotniczej mieści się w środku miasta i organizuje życie kulturalne dla młodzieży. Klub posiada telewizor, zajmuje się organizowaniem różnych gier i rozrywek. Przewija się przez Klub co dzień około 40 młodych ludzi. Dodać trzeba, że Klub ten spełnia dobrze i energicznie jedno z zadań, jakie sobie postawił, to jest walkę z chuligaństwem.

Dużą zasługę w unifikacji miasta ma dawniejsza świetlica górnicza, przekształcająca się teraz w klub górniczy. Jest ona założona i finansowana przez Radę Zakładową kopalni „Bobrek", do której z Kędzierzyna dojeżdża do pracy około 200 górników. Początkowo do świetlicy tej uczęszczali tylko górnicy z Francji, obecnie króluje tu przede wszystkim młodzież. Nie od razu znalazła tu drogę młodzież wszystkich grup miasta. Powolna i długotrwała agitacja jak i żywa działalność świetlicy ściągnęła co ciekawszą młodzież i nie wypuściła jej już. Powstały cztery zespoły: teatralny, chóralny, taneczny i mandolinistów. Zespoły te posiadają członków niemal ze wszystkich grup miasta. Członkowie grup chętnie przybywają na występy zespołów. Zespół teatralny wystawił już sześć sztuk w Kędzierzynie i okolicy, w tym cztery sztuki Zapolskiej i dwie Bałuckiego. Świetlica górnicza spełniała nie tylko rolę rozrywkową, lecz prócz swych wychowawczych funkcji była łącznikiem między kopalnią „Bobrek" i jej zarządem, a mieszkającymi tu górnikami. Tu odbywały się pewne zebrania dotyczące kopalni i pracy w niej. Tu przyjmowano zamówienia na kartofle i węgiel. Tu wypłacano pensje żonom górników. W tej chwili sytuacja ulega zmianie. W pobliżu kopalni buduje się domy dla górników. Zdarzają się jednak wypadki, że górnicy rezygnują z pracy w kopalni i przenoszą się do zakładów kędzierzyńskich, gdyż nie chcą zmieniać miejsca zamieszkania i zrywać nawiązanych kontaktów sąsiedzkich i społecznych.

6. Straż Przeciwpożarowa

Inną formą dobrowolnego spotkania się członków różnych grup była dawniejsza Ochotnicza Straż Przeciwpożarowa, obecnie już zawodowa. Ze względu na to, że powstaniu jej towarzyszyły pewne konflikty, bardzo typowe i charakterystyczne dla innych instytucji, zatrzymamy się przy niej nieco dłużej.

Ochotnicza straż Przeciwpożarowa założona została w 1946 r. Pierwszym jej komendantem był człowiek nieuczciwy i nie mający żadnych danych, by sprostać temu stanowisku. Ponieważ był repa-

triantem, nie przyjmował członków innych grup poza repatriantami. Zgłaszających się Ślązaków odprawiał szorstko, mówiąc, że „Niemców" tu nie potrzeba. Wreszcie, kiedy wraz z zarządem przepił pieniądze pochodzące ze składek — uciekł. Władze wybrały nowego komendanta, również repatrianta. Ten jak i pierwszy nie wywiązał się z obowiązków. Wtedy zaryzykowano i wybrano na stanowisko komendanta Ślązaka znającego tę pracę. Pierwszy odruch, który temu zjawisku towarzyszył, to wielkie oburzenie. Na znak protestu strażacy-repatrianci występowali z organizacji podjudzając do podobnego czynu innych. Zdarzały się fałszywe, sfingowane przez repatriantów alarmy, zdarzały się bójki na zabawach urządzanych przez straż. Powoli jednak straż odzyskała autorytet. Wstępowali do niej reemigranci, później osadnicy i wreszcie również repatrianci. Dzisiaj trudno wśród nich rozpoznać członków poszczególnych grup.

7. Związek Harcerstwa Polskiego

Na skutek nawrotu do pewnych starych i wypróbowanych form pracy kulturalnej i społecznej ZHP liczy obecnie dwukrotnie więcej członków niż poprzednio. Przyciąga młodzież głównie swymi ciekawymi i pomysłowymi zajęciami. Wycieczki, biwaki, ogniska i raidy znalazły dużo miłośników wśród całej młodzieży Kędzierzyna. Na specjalną uwagę zasługuje organizacja partyjna, która na swoim terenie świadomie walczy z uprzedzeniami i antagonizmami swych członków.

W wypadku wymienionych dotychczas czynników unifikujących — jednoczenie dokonywało się pomiędzy ludźmi, przez żywy kontakt z osobami innych grup. Nieco inaczej przedstawia się inny również unifikujący czynnik, jakim jest k s i ą ż k a, p r a s a i r a d i o.

W Kędzierzynie istnieje 6 bibliotek. Są to takie biblioteki, jak szkolna, świetlicowa, kolejowa, Zakładów azotowych, parafialna i przede wszystkim miejska — najbogatsza.

Biblioteka miejska posiada 6000 książek oraz 654 czytelników, w tym 190 osób pochodzenia miejscowego, 22 świeżo przybyłych repatriantów z ZSRR, 4 reemigrantów z Rumunii oraz 438 napływowych czytelników, wśród których nie można rozpoznać pochodzenia. Do najbardziej poczytnych autorów należą: Sienkiewicz, Orzeszkowa, Rodziewiczówna i Kraszewski. Drugą grupę, cieszącą się wielkim powodzeniem, stanowią autorzy: Camus, Wańkowicz, Hemingway i Tomasz Mann. Trzecia grupą książek, najbardziej poszukiwa-

nych, na które trzeba w kolejce czekać, to: Wańkowicza *Monte Cassino* i Blonda *Agonia Trzeciej Rzeszy.*

Do książek wymienionych w pierwszej grupie, a więc historycznych sięgają przede wszystkim Ślązacy. Wśród nich zwłaszcza ludzie po sześćdziesiątce. Proszą oni najczęściej o książki, w których mowa o królach polskich. Do autorów wymienionych w grupie drugiej sięga głównie inteligencja, książkę *Monte Cassino* i *Agonię Trzeciej Rzeszy* czytają wszyscy.

Czytelnicy, którzy do pracy dojeżdżają i razem z dojazdem spędzają 10—11 godzin poza domem, proszą o książki kryminalne i sensacyjne. Nie pozwolą im one zasnąć. Nad innymi, jak się skarżą, zasypiają. Obok biblioteki zapoznaje z książką i zachęca do jej czytania jedyna w Kędzierzynie księgarnia; jako księgarni powiatowej podlega jej 8 punktów wiejskich.

W okolicach Kędzierzyna mieszka w 95% ludność pochodzenia miejscowego, dla której każda przeczytana książka polska jest nowym i przyjaznym spojrzeniem na kulturę polską. Ale znajomość z polską książką zawiera się osobliwymi „etapami". Najpierw przesyła się książki tego typu, co *Kuchnia polska, Roboty trykotarskie, Moim dzieciom szyję sama* itp. Potem przesyła się do punktów książki techniczne i zawodowe. Wreszcie nadchodzi czas na przesłanie literatury dziecięcej, bogato ilustrowanej — i w ostatnim etapie beletrystyki, która na ogół zwycięża. Niestety, nie zawsze tak było. Był czas, gdy w punktach wiejskich półki zalegały tzw. „cegły" ideologiczne.

Dużą rolę w zapoznaniu z książką i autorem odgrywa ciekawie i pomysłowo urządzona wystawa w dwóch dużych oknach. Znajdują się tam pięknie wydrukowane na bristolu fragmenty niektórych książek, przyciągają barwne obwoluty oraz portrety autorów.

W 1957 roku sprzedano w Kędzierzynie książek za sumę 504 648 zł. W orbitę zagadnień ogólnopolskich i międzynarodowych wciąga społeczność Kędzierzyna bogaty wybór prasy polskiej. W mieście znajduje się dziewięć kiosków „Ruchu". Do najbardziej poczytnych czasopism należą: „Przekrój", „Panorama" i „Dookoła Świata". Drugie miejsce zajmują czasopisma takie, jak „Młody technik", „Horyzonty techniki" i „Radioamator". Trzecie miejsce, lecz nie ostatnie, zajmują czasopisma kulturalno-społeczne, jak „Nowa Kultura", „Przegląd Kulturalny" i „Tygodnik Powszechny".

Oprócz książki i prasy unifikacji pomaga również Polskie Radio. Do najbardziej popularnych audycji należy Kaczmarkowa „Czelodka" i „Matysiakowie". Rzecz ciekawa, że jak wykazały wywiady z młodzieżą, ludność rodzima p r z e k ł a d a „Matysiaków" nad „Czelodkę", zaś ludność napływowa w większości woli „Czelodkę"

tłumacząc, że jest ładna orkiestra i dobre dowcipy. Ślązacy wolą „Matysiaków", „bo to tak jakby u nos w rodzinie, niy ma tego całowania, ale z dziećmi to samo użyranie".

Mówiąc o życiu kulturalnym Kędzierzyna trzeba dodać, że istnieje tu Osiedle Azotowe, w którym mieści się duży Dom Kultury z piękną salą teatralną. Niestety, połączenia są stanowczo za rzadkie, tak że właściwie tylko nieliczna garstka osób korzysta z przedstawień i koncertów przyjeżdżających tam zespołów.

V. ZAKOŃCZENIE

Analizując proces unifikacji narodowej w Kędzierzynie wzięliśmy pod uwagę czynniki tak hamujące jak i przyspieszające. Pierwsze były tu podane bez szerszego rozwinięcia, celem bowiem niniejszej pracy było ukazanie unifikacji i jej czynników. Na podstawie dotychczasowych rezultatów tego procesu można stwierdzić, że żadna z grup składowych środowiska kędzierzyńskiego nie wykazuje świadomej tendencji do odizolowania się od pozostałych. Najłatwiej procesowi temu poddają się reemigranci, którzy już raz na obczyźnie musieli się nagiąć i przystosować do obcego środowiska. Dlatego też i tu tolerowali i przyjmowali obcy im nieraz sposób bycia i nawiązywali szybko kontakty z pozostałymi grupami. Dużo większe trudności mieli repatrianci zza Bugu ze względu na swój „pański" i kolonizatorski stosunek do pozostałych grup, a zwłaszcza do grupy rodzimej. Najmniejszy wysiłek w szukaniu kontaktów i nawiązywaniu ich wykazali Ślązacy, prawdopodobnie dlatego, że przez wieki świadomie przeciwstawiali się obcym wpływom, dążącym do ich wynarodowienia. Oprócz tego wpłynęła na to degradacja w dziedzinie kultury materialnej z chwilą przyłączenia ludności tej do Polski — oraz traktowanie jej przez część repatriantów zza Bugu z wyraźną wyższością.

Jednak mimo to i mimo innych trudności obiektywnych i subiektywnych — proces unifikacji rozpoczął się i przebiega, z różną intensywnością w czasie. Pewne nasilenie tego procesu nastąpiło z chwilą demokratyzacji naszego życia. Do innych osiągnięć październikowych, przyspieszających unifikację, należą: oczyszczenie terenu z elementów szkodliwie działających; publiczne uznanie zasług polskiego aktywu miejscowego i wciągnięcie go do prac w radach narodowych i instytucjach społecznych; wprowadzenie szerokich form samorządowych; zwrot posiadłości oraz udzielenie częściowej satysfakcji moralnej i materialnej za doznane krzywdy.

Skoro, jak widzieliśmy, unifikacja przebiegała w okresie działania tylu niesprzyjających czynników i osiągnęła takie wyniki, to

tym bardziej teraz, kiedy na każdym odcinku życia społecznego i gospodarczego wprowadza się tu ulepszenia, proces ten będzie się potęgował i postępował naprzód. Pomaga nam bowiem nie tylko czas, ale wielka atrakcyjność naszej kultury, której siła jednocząca dokonała tak wiele w Kędzierzynie i z prawdziwej „wieży Babel" uczyniła polskie miasto.

Trzeba jednak pamiętać, że opisany powyżej proces mógłby być może przebiec szybciej i łatwiej, gdyby interesowali się nim od początku zarówno socjologowie jak i działacze społeczni. Jest jeszcze sporo do zrobienia; mam nadzieję, że te uwagi mieszkanki Kędzierzyna, której sprawy jej miasta leżą na sercu, będą impulsem dla jednych i drugich.

Dorota Simonides

LOS KSIĄŻKI

„The Times Literary Supplement" z 15 sierpnia 1958 wypuścił potężny, czterdziestostronicowy dodatek pt. „Books in a Changing World" — „Książki w zmieniającym się świecie". Dwudziestupięciu autorów (z bardziej znanych w Polsce m. in. Robert Graves, Robert Speaight, Arnold Toynbee, Rebecca West) rozważa w tym dodatku los współczesnej — i przyszłej — książki.

Autorzy wypowiadają bardzo różne opinie, ale z ich artykułów wyłania się pewien ogólny obraz, który warto odrysować. Spróbujmy to zrobić tłumacząc dosyć swobodnie i streszczając ich wypowiedzi. Potem zaś przytoczymy opinie kilku pisarzy polskich, którzy zanotowali je na marginesie literackiego „Timesa".

*

Panowie nie ma co dłużej taić: los książki jest przesądzony — *woła tragikomicznym tonem Christopher Logue.* Bez tego, co się na nią składa: stronic, oprawy, spisu rzeczy itp. bardzo trudno zapamiętać lub przekazać prozę. Zanim wymyślono maszynę drukarską, prozy było niewiele; można więc śmiało przypuszczać, że gdy rozwiną się sprawniejsze środki porozumienia, maszyna drukarska i jej córka — książka — pójdą do lamusa. Skorzystają na tym poeci: krótkie wierszyki łatwo zapamiętać. Czytanie staje się niepopularne. Wkrótce młode, bogate damy będą się uczyć czytać tak, jak dawniej uczyły się haftować lub grać na harfie. Niedalekie są czasy, gdy zaproszą obiecującego młodzieńca na eleganckie przyjęcie, „bo umie czytać".

Wiedzę i literaturę będzie się podawać tylko przez wzrok i słuch. Dzięki naszym abstrakcjonistom możemy sobie doskonale wyobrazić opowiadania, złożone z miejsca i czasu, pozbawione czegokolwiek, coby można umiejscowić lub uczasowić. Zawodowi czytacze znajdą się na niskim szczeblu drabiny społecznej, zarabiać będą skromnie, pracować do późna (bo czyta się powoli), każdy pozna ich łatwo po obrzęku powiek i zgarbionym grzbiecie. Ale będą pożyteczni: gdy

jakaś staroświecka ciotka przyśle ci list, zaniesiesz go do Przychodni Czytelniczej.

Nie będzie się czytania tępić. Ale będzie się je łagodnie likwidować przez umiejętną propagandę: rozplakatuje się np. afisze wbijające dobitnie w głowę, że czytanie wywołuje ślepotę. Wielkie kombinaty obrazogłosu zorganizują doroczne „polowanie na książki". Każde dziecko, które w ciągu sześciu dni znajdzie co najmniej sześć książek i przekaże je do kombinatu, otrzyma premię w postaci trójwymiarowego, wielobarwnego, samoczynnego telewizora na całą ścianę oraz dziesięć nagrań z serii: „Najpiękniejsze deklamacje z dawnych, dawnych czasów".

Inni autorzy nie otwierają perspektyw aż tak ponurych, ale przeważnie patrzą z troską na los współczesnej książki, nostalgicznie wspominają czasy królowej Wiktorii i zastanawiają się, jakiej to kłopotliwej ewolucji ulegają dziś pisarze, czytelnicy — i cała współczesna cywilizacja?

PISARZE

Dopiero w ciągu ostatnich dwudziestu lat wszystkie dziedziny ludzkiej działalności porozdzielane zostały żelaznymi kurtynami, tak że złe wrażenie robi dzisiaj ktoś, kto wytyka nos poza własne podwórko. W szczególności pisarze wycofali się za swoje szańce. Podejrzewam, że spowodowała to nieufność wobec wszelkich sztywnych systemów myślowych.

A tymczasem cóż można ostatecznie zakomunikować ludziom, jeśli się nie jest pewnym swych przesłanek, i dalej — jak można być pewnym swych przesłanek bez poczucia zaangażowania? Wielka część współczesnego pisarstwa to jedynie próba wymknięcia się z tego dylematu.

Wielcy pisarze przeszłości, którzy stawiali sobie za cel wkładać coraz to więcej w swoje dzieło (nie zaś wykluczać z niego coraz to więcej), musieli albo przyjmować albo wymyślać jakąś operatywną filozofię. Mogła niezbyt mocno trzymać się kupy, ale do pewnego momentu dawała wywodom pisarza zwartość. Dzisiaj utwory zarówno poezji jak prozy rozwijają się jako ciągi zdarzeń, pozbawione spoiwa, logiki i komentarza; ciągi, które dawniej stanowiły zasadniczy podkład dzieł wciąż dla nas żywych.

Whitehead zauważył raz w rozmowie, że jeśli Rzymianie umieli w końcu przezwyciężyć spory, które powstały między Mariuszem i Sullą, Cezarem i Pompejuszem, Antoniuszem i Augustem — to dzięki temu, że ich jeszcze nie nudziła ich cywilizacja. Ta uwaga nasuwa wnioski niewesołe. Bo jedną z funkcji pisarza jest nie do-

puścić, by czytelnicy znudzili się swą cywilizacją, a dziś ma się czasem wrażenie, że nuda przybiera, że zrywa tamy.

Bardzo trudno mieć obecnie prostotę i zarazem świeżość. Pewne proste koncepcje wyeksploatowano do cna, o pewnych sprawach mogą dziś pisać tylko specjaliści dla specjalistów. Eksperymenty formalne i językowe oraz powszechna niechęć do sądów etycznych i metafizycznych niesłychanie utrudniają kontakt pisarza z czytelnikiem, o ile wątlejszy dziś niż w dawnych dobrych czasach zła i dobra, grzechu i łaski (choć w tym zakresie można jeszcze próbować kilku chwytów), sensu i bezsensu. W filmie i w radiu pisarz ma przynajmniej do dyspozycji akcję, może skłonić swych bohaterów do działania. W książkach musi ich skłaniać do myślenia, musi badać niewidzialne. Nie ułatwiają mu tego mędrkowie, którzy od kilkudziesięciu lat tłumaczą bez przerwy, że co niewidzialne, to lipa *(Alan Pryce-Jones).*

Tym rozważaniom redaktora naczelnego „TLS" wtóruje ciekawa wypowiedź C. P. Snowa. Cytuje on zdanie pewnego amerykańskiego krytyka, który się zastanawia, czemu liczni pisarze amerykańscy, gdy biorą się do powieści, kurczą się wewnętrznie, rezygnują ze wszystkich niemal zainteresowań intelektualnych, odkładają na bok całą zdolność do refleksji i zaczynają przemawiać swoistym „językiem powieściowym", analogicznym do „języka poetyckiego" romantyków. Taki np. James Baldwin „jest w stanie produkować beletrystykę jedynie kosztem odrzucenia połowy tego, co widzi i wie. Jego proza dyskursywna jest bogatsza, śmielsza i uczciwsza od powieści czy nowel tego pisarza". Wszyscy wiemy, że krytyk ma rację. A zjawisko to występuje nie tylko w Ameryce. Pełno jest takich pisarzy we Francji, jest ich trochę (choć nie tak wielu) w Anglii. Mają nieraz tęgie głowy — lecz tylko gdy zdejmą uniform powieściopisarza. Uważają, jakby pod naciskiem dziwacznego *savoir-vivre'u,* że pierwszy ich obowiązek jako powieściopisarzy jest wymazać wszelki ślad intelektu. Rozum jest może naszą cechą najbardziej ludzką — ale nie dla nich, gdy piszą powieść. Zaczynają wówczas przemawiać swoistym językiem powieściowym, który często stanowi dziwaczną mieszaninę wymyślnych kolokwializmów i rozdętej „poetyckości" dla wtajemniczonych, głoszonej tonem możliwie zbliżonym do pijanego bełkotu.

Ta koncepcja powieści została zracjonalizowana i ujęta w teorię. Spróbujmy ją przedstawić w postaci skrajnej, ale rzetelnie: „Powieść jest to układ słów. Wartość tego układu sądzić można wyłącznie wedle kryterium estetycznego. Istnieje tylko jedno kryterium estetyczne: układ słów jest albo nie jest odpowiednikiem osobistej wizji; jeśli słowa są ułożone w ścisły odpowiednik wizji, powieść

jest dobra. Obojętne, jaka jest ta wizja; czy mówi nam cokolwiek o zewnętrznym, obiektywnym świecie; czy to, co nam mówi, ma jaki bądź związek z obiektywną prawdą. Chociaż słowa, które składają się na powieść, odnoszą się zwykle — przynajmniej z pozoru — do jakichś osób i przedmiotów w zewnętrznym świecie, to jednak te osoby i przedmioty stanowią tylko część osobistej wizji. Powieść zależy wyłącznie od gatunku tej wizji i słownej organizacji jej objawów. Niezależnie od takich czy innych intencji autora, jest to jedyne kryterium, wedle którego wolno mu istnieć w płaszczyźnie sądu estetycznego".

Znamienne są współcześnie pewne postawy w literaturze, które — choć pozornie niezwiązane — wyrastają ze wspólnego korzenia. Oto ich składniki: romantyczna koncepcja artysty, wyobcowanie intelektualisty, estetyka antypowieści (opisana wyżej), rezygnacja z uogólnień, nienawiść do rewolucji przemysłowo-naukowej, chęć wyrwania się poza obręb społeczeństwa. *Tę postawę wedle Snowa najpełniej ucieleśniają T. E. Hulme, Joyce i Ezra Pound. Wbrew pospolitej opinii — powiada Snow — Joyce i Proust stoją na antypodach; Proust był wielkim eksploratorem o znakomicie zorganizowanym umyśle. Natomiast zdaniem Snowa zachodzi ścisły związek między scharakteryzowaną wyżej postawą pisarską i skrajną reakcją społeczną* (nie konserwatyzmem, lecz skrajną reakcją). *Jak widać, różnie bywa w różnych krajach. C. P. Snow ciągnie dalej*: Zdaje się, że rewolucja naukowa podwójnie dotknęła takich pisarzy: 1 — przez wzrastającą złożoność organizacji społecznej, co ludzie tego typu uznali za temat ponad siły i 2 — przez bezpośrednie wkroczenie nauki w dziedziny zajmowane uprzednio przez literaturę. W czasach Lukrecjusza literatura mogła panować niepodzielnie nad całym życiem umysłowym. Dziś — któżby się ośmieszał pisząc epopeję o strukturze atomu. Rutherford załatwił tę sprawę raz na zawsze. W czasach Balzaca władztwo literatury już się trochę skurczyło; ale Balzac mógł się śmiało rozwodzić na temat magnetyzmu zwierzęcego. Teraz mowy o tym nie ma; fizjologia odgryzła dla siebie ten kąsek. Zamiast być dumni z takiego rozwoju nauki, pisarze powiedzieli sobie: intelekt nie może już ważyć się w literaturze na to co dawniej, więc najlepiej wycofać go całkowicie. Ponieważ nauka wkracza w dziedzinę psychologii, przestańmy stwarzać bohaterów na miarę Crawleyów czy Biezuchowów, ograniczmy się do luźnych doznań. Ponieważ nauka wkracza w dziedzinę socjologii, przestańmy pełnić to, co Lionel Trilling nazywa „jedną z najtypowszych funkcji literatury: badanie i krytykowanie moralności i obyczajów". *Tak się składa, że wstępny artykuł w tymże numerze „TLS" omawia szeroko i bardzo krytycznie socjologię amerykańską. Liczni jej studenci mar-*

nują na ogół czas (twierdzi „TLS") przekopując się przez tomy... fikcji: różne „funkcjonalizmy społeczne", dynamika celowościowych procesów motywacyjnych" itp. są nieraz konstrukcjami bardziej dowolnymi niż konstrukcje beletrystyczne, bo opierają się nie na obserwacji życia i logice artystycznej, lecz na sztucznie abstrahowanym „fakcie" i na pseudonaukowym żargonie. Znacznie lepsze rozumienie społeczeństwa da studentom lektura Platona, Arystotelesa, Cicerona, Szekspira, Pepysa, Boswella, Dickensa, Tołstoja. Analogicznie i w innych dziedzinach wiedzy. Olivia Manning cytuje wybitnego lekarza, dr A. E. Clark-Kennedy'ego, który zaleca swym studentom czytanie Dickensa, Thackeraya, Szekspira: „Skuteczna praktyka lekarska wymaga znajomości życia, a w waszym wieku musi wam jej brakować. Czytanie dobrych powieści i sztuk nadrobi częściowo ten brak".

Tak więc domena literatury kurczy się. Pewne dziedziny, które dawniej wchodziły w jej zakres, uprawia się dziś jako swoiste rodzaje nauki. Stosuje się to szczególnie do filozofii, historii i krytyki literackiej. Prof. Ryle zauważył, że wiktoriańscy filozofowie, tacy jak Mill, Huxley czy Leslie Stephen publikowali artykuły filozoficzne w pismach, które docierały do szerszych kręgów kulturalnej publiczności, podczas gdy dzisiejsi filozofowie drukują swe prace w pismach filozoficznych, przeznaczonych tylko dla specjalistów. Profesor twierdzi, że filozofowie stali się lepszymi filozofami, odkąd przestali pisać dla publiczności, a zaczęli pisać dla swego własnego grona. Możliwe. Ale czy stali się zarazem lepszymi pisarzami? Oczywiście — większość współczesnych filozofów nie ma takich aspiracji, podobnie jak krytycy literaccy pewnego typu nigdy nie pozwolą sobie na urok i wytworność, a historycy pewnego typu lękają się jak ognia czytelności, którą uważają za wdzięk podejrzany. Tego rodzaju nauka świadomie odłączyła się od literatury. A wydawcy boją się amatorów. Któryż z nich — pragnąc publikować książkę o literaturze francuskiej — zamówiłby ją u nieznanego literata, takiego jak Lytton Strachey, albo książkę o literaturze amerykańskiej u powieściopisarza, takiego jak D. H. Lawrence?

Kult specjalisty rośnie, lecz eliminowanie „amatora" musi z czasem wyeliminować pisarza — chyba że ten schowa się bezpiecznie do przegródki poety, dramaturga, powieściopisarza, krytyka itp. Wkrótce możemy już nie mieć autorów, lecz tylko autorytety, które dadzą świadectwo swej fachowości pisząc książki, inne zaś autorytety będą je sądzić — aż w końcu nikt, prócz nich, nie potrafi tych książek zrozumieć (*Maurice Cranston*).

Jeszcze jedno niebezpieczeństwo grożące literaturze od strony nauki, lub raczej myślenia pseudo-naukowego: wielu ludzi naprawdę

wierzy, że wystarczy poznać technikę, przepis na dobrą powieść, by taką powieść napisać. Stawiają problem do góry nogami: bo w rzeczywistości każde dzieło sztuki dyktuje swą własną technikę. *Tak twierdzi L. P. Hartley. Ale jego zdaniem główne zagrożenie literatury, to roztopienie się osoby ludzkiej w masie. Symptomy tego zjawiska widać w ewolucji tematyki powieściowej.*

TEMAT

Wiek XIX był złotym wiekiem powieści, bo był to wiek indywidualizmu, kultu bohaterów, czci dla jednostki wybitnej — dla Wielkiego Człowieka. Postacie w powieści wiktoriańskiej nie tylko mogły spokojnie „być sobą": autor i czytelnicy jeszcze zachęcali je do tego. W pewnym sensie ceniono je o tyle, o ile udawało im się osiągnąć jedyną w swoim rodzaju osobowość. Poza tym dążyły do czegoś poza sobą, miały aspiracje: czasem do szczęścia i dobra, czasem do pieniędzy i pozycji, dzięki którym mogły się wznieść o szczebel wyżej. Nawet wtedy, gdy igrał nimi los, odróżniały się od bliźnich ogromem nieszczęść, zdolnością cierpienia.

Natomiast symbolem obecnej cywilizacji jest ogonek, istniejący po to, aby ludzi dosłownie i w przenośni trzymać „na miejscu". Ogonek nie dopuszcza żadnych aspiracji — które mogłyby się wyrazić tylko w wymijaniu go — i niweczy wszelką odpowiedzialność moralną, z wyjątkiem odpowiedzialności za trwanie w kolejce. Ten duch panuje dziś nie tylko wśród ludzi czekających na autobus lub w barze mlecznym. Stał się niejako probierzem pewnej postawy: dobry obywatel to ten, który grzecznie stoi w ogonku, zły — to ten, który usiłuje cudzym kosztem poprawić własną pozycję.

W XIX wieku pełno było wielkich ludzi, którym wielkość powszechnie przyznawano. Teraz można by ich policzyć na palcach obu rąk — w dodatku okazałoby się, że większość dźwiga już ósmy krzyżyk. Cześć, jaką im ongiś oddawano, kieruje się teraz ku gwiazdom filmowym i sportowcom: ich wybitność polega na wrodzonej piękności lub sprawności fizycznej (na którą, by tak rzec, nie ma rady), zatem nie obraża poczucia równości tak bardzo, jakby je obrażała wybitność zdobyta wyraźnie własnym wysiłkiem.

Począwszy od H. G. Wellsa, powieściopisarze starali się zaspokoić popyt na Szarego Człowieka, później na życiowego bankruta czy na kryminalistę. Na ogół jednak usiłowali wyróżnić ich bodaj odrobinę, podkreślając wysoki stopień ich pospolitości lub zbrodniczości. To był chyba błąd. Upodobanie współczesnego czytelnika kieruje się ku ofiarom, które nie potrafią walczyć z kimś albo z czymś co je uciska, i które traktują z nabożeństwem czy zgoła

poczytują sobie za cnotę swą bezradność, topiąc w alkoholu rozżalenie nad własną nicością.

Ciekawe, że pewien impresario — cytowany w „Timesie" — stwierdza „konsekwentne dziś ubóstwienie złego smaku — coś na kształt buntu jąkałów i półanalfabetów. Gdy dzisiejsza publika widzi artystę prawdziwie zdolnego, uważa to za obelgę".

Musimy zatem cenić marność — nie tylko w materiale ludzkim, jaki nam pisarz ukazuje, bo zawsze byli i będą ludzie czujący *la nostalgie de la boue* — ale i w sposobie jego ukazywania. To rzecz nowa, że artysta wysuwa naprzód tę nogę, „którą ma kulawą", z obawy by w sercach czytelników nie wzbudzić zazdrości.

Inny problem: nikt nie powie, iż serca ludzkie wystygły i opuściło je uczucie, ale faktem jest, że znacznie trudniej dziś do niego trafić, bo zatłumiła je konkurencja: pogoń za sensacją i praktyczny materializm. „Dajcie mi dobry kryminał i podwyżkę, sentymenty to nie dla mnie". Obie wojny, dając życiu uczuciowemu więcej, niż mogło zmieścić, podziałały na nie w wielu wypadkach tak, jak płyn hormonalny na chwasty: przerosło własne możliwości i zwiędło. W przeszłości tragiczny bohater czy bohaterka wybijali się ze względu na swe cierpienia; patrzyliśmy na nich ze zgrozą i współczuciem; przypadło im w udziale to, czego nam samym udało się uniknąć. Byli wyjątkami i to stanowiło ich tragiczność. Lecz teraz, kiedy cierpienie stało się regułą, a ręka człowieka zadaje je skuteczniej niż palec Boży, nie budzi już tego szacunku co dawniej. Przynajmniej potencjalnie wszyscy jesteśmy równi w cierpieniu. Skarżyć się na to byłoby równie bezowocne, jak skarżyć się na zwykły los człowieka, i niesposób wyobrażać sobie, że cierpienie nadaje tej czy innej istocie szczególną godność. „Co się mam przejmować bardziej nim, niż sobą?" Łączy się z tym rosnąca niewiara w możność altruizmu. Dawniej klasy średnie wierzyły w altruizm i czasami go uprawiały. Sztuka domaga się altruizmu, jak żadna inna dziedzina; artysta musi być przekonany, że jego praca jest ważniejsza niż on sam. Lecz *sacro egoismo* nacjonalizmu i innych ruchów masowych, które wciągają nas coraz głębiej, odbiera wiarę w istnienie czegoś tak dziwnego, jak działanie naprawdę bezinteresowne.

Spośród wielu innych trudności, które piętrzą się przed współczesnym powieściopisarzem, wyliczmy bodaj dwie: po pierwsze zmiany w strukturze społecznej są tak szybkie, że wszelka próba ich opisania zaczyna trącić myszką, nim obeschnie pióro; po drugie nie można dać pełnego obrazu drobnej nawet części społeczeństwa, jeśli się nie przedstawi ludzi psychicznie lub nerwowo wytrąconych z równowagi. Lecz główne zagrożenie literatury leży

w tym, że jednostka, zasypana mnóstwem sugestii, wskazówek, rozkazów i prefabrykowanych schematów życiowych, gotowa zatonąć i zagubić się wśród ogółu, tak iż jej reakcje staną się automatyczne i przewidywalne, a kolor ochronny ukryje ją całkowicie. Wierzę jednak, że się to nie stanie (*L. P. Hartley*).

Nie tylko postać bohatera, ale i fabuła dawnej powieści miała swoisty ciężar gatunkowy: dojrzałość, „dorosłość" stanowiły zasadnicze rysy najlepszej beletrystyki wiktoriańskiej. Jane Austen, Thackeray, George Eliot, Trollope — wszyscy oni mogli liczyć na poważne traktowanie przez ludzi, którzy znali smak odpowiedzialności na niwie polityki, prawa, przemysłu, służb społecznych itp. Przekonanie, że autorzy „eksperymentalni' zbłądzili zrywając z powagą tego typu, przyczyniło się w głównej mierze do nawrotu angielskich pisarzy powojennych ku formom tradycyjnym. Wyostrzenie doznania wzrokowego, głębsze wniknięcie w świadomość (czy to poprzez eksperyment słowny czy poprzez freudowską analizę) — te rzeczy nie okupują zlekceważenia człowieka jako istoty społecznej. W atakach na Virginię Woolf i jej krąg, może nawet w atakach na Henry Jamesa kryło się to przeświadczenie, że generacja „rentierów" lekceważy generacje odpowiedzialne, które ją żywiły *(Angus Wilson).*

Czyżby to znaczyło, że w zakresie polityki, przemysłu itd. pisarz współczesny nie widzi dla siebie tematu?

Nasza epoka (jak zauważył G. S. Fraser pięć lat temu) przestała być — z punktu widzenia literackiego czy artystycznego — epoką podniecającą, jak np. lata 1900—1910. Nie jest to również epoka spokojna: cechuje ją powszechność nieokreślonego lęku, nudnych rozrywek, nawyków. Pisarze szukają w prywatnym życiu lub w specjalnych jakichś „konikach" bodźca, którego im nie daje sytuacja; ale mają przy tym nieczyste sumienie... Reakcja pisarzy na ponure wydarzenia lat ostatnich była wręcz absurdalnie wątła. Weźmy taki Suez. Wywołał on głębokie pęknięcie w narodzie — od góry do dołu: klasy społeczne, rodziny rozpadały się na dwie frakcje i kłóciły się, jak nigdy jeszcze od wojny. Masę już na temat Suezu napisano. Ale na próżno szukałby człowiek konkretnego ukazania problemu i obrony takiego czy innego stanowiska, która by jasnością i siłą argumentacji choć zdaleka przypominała np. dyskusje Carlyle'a i T. H. Huxleya o postępowaniu gubernatora Eyre na Jamajce.

Pomyślcie, jakby się zabrał taki Bagehot do głośnej ostatnio sprawy procentów bankowych, jak Matthew Arnold analizowałby religijne wyczyny Billy Grahama, jakby Macaulay potraktował pisarstwo Colin Wilsona! Porównajcie dzisiejszą pisaninę na tematy seksualne (chodzi głównie o tzw. *Wolfenden Report*), która jest

mieszaniną dobrej woli, statystyk i mętnej teologii z tym, co mówili na analogiczne tematy J. S. Mill czy Bentham! Sprawności polemiczne — rygor myślowy i przystojność argumentacji — można dziś znaleźć jeszcze u niektórych teologów. Pisarzom brakuje nerwu intelektualnego i przywiązania do określonych wartości moralnych. Najlepsi odznaczają się brakiem wszelkich przekonań, a pełni bezkierunkowego żaru są tylko ludzie, którzy nie umieją się wysłowić. Jeśli sprawy ideologiczne w literaturze współczesnej przypominają wypowiedzi liberalnego lecz zalęknionego właściciela pańszczyźnianych chłopów w źle tłumaczonej rosyjskiej powieści, to wina leży w nas samych, a bynajmniej nie w rozkwicie telewizji *(John Raymond).*

Schyłek zainteresowania współczesną powieścią można uważać za znak, że czytelnicy stają się coraz poważniejsi. Można go jednak traktować jako znak, że coraz mniej wydarzeń potrafi wywołać wzruszenie przeciętnego obywatela — jeśli np. porównać je z jego przeżyciami w czasie nalotów, które zresztą postarał się szybko puścić w niepamięć. Zbrodnia bywała dawniej zuchwałym protestem przeciw przywilejom i niesprawiedliwości (Robin Hood, Mulled Sack, Moll Flanders, Dick Turpin). Dziś, gdy zbrodnia oznacza wyłącznie niedorozwój moralny i niski stopień inteligencji, powieść kryminalna w sprawnie zorganizowanym państwie stała się formą równie sztuczną, jak osiemnastowieczna sielanka. Życie jest tak dobrze naoliwione i bezlitośnie egalitarne, że wystarczy byle chuligańska rozróbka na podmiejskiej tańcówce, by gazety dawały całostronicowe tytuły. A nowi panowie stworzenia, uczeni atomowi, mówią wprawdzie językiem wielce tajemniczym, ale właściwie nic nie czytają, tylko równania swoich kolegów i comicsy w importowanych amerykańskich gazetach *(Robert Graves).*

RYNEK

W ogóle nie tak łatwo skłonić ludzi do czytania, zwłaszcza jeśli pisarz ma do powiedzenia coś nowego, lub mówi to w sposób nowy — *stwierdza Leonard Woolf, twórca „Hogarth Press", która ze skromnych, chałupniczych i amatorskich początków rozrosła się w znakomite wydawnictwo.* Pisarz, uznawany dziś za klasyka, świetnie zarabiający (on sam lub jego spadkobiercy), musiał nieraz szalenie długo czekać na czytelników. Pierwsza powieść Virginii Woolf, *The Voyage Out,* wyszła nakładem Duckwortha w roku 1915. Krytycy ogromnie ją chwalili, ale upłynęło dwanaście lat, nim sprzedano dwa tysiące egzemplarzy pierwszego wydania. Nakład trzeciej powieści tej autorki, *Jacob's Room* (1922), wyniósł

1200 egzemplarzy w Europie („Hogarth Press") i 1500 w USA („Harcourt"). Po dwunastu latach pisania Virginia Woolf opublikowała piątą powieść, *To the Linghlouse:* w Europie trzy tysiące egzemplarzy, w USA cztery tysiące. Ale cztery lata później szósta jej powieść, *The Waves*, miała dwanaście tysięcy nakładu w Europie i tyleż w USA (rozsprzedano ją w ciągu roku), a w sześć lat później siódma powieść, *The Years*, skoczyła na osiemnaście tysięcy w Anglii i 38 tysięcy w USA.

Smutny jest morał ekonomiczny, wynikający z tej statystyki. Pisarz, którego czeka sława, może pisać dwanaście czy piętnaście lat, nim jego książki zaczną iść — a wówczas następuje nagły skok nakładów. Czterdzieści lat temu pisarz nic by nie zarabiał w czasie tych piętnastu lat chudych, a wydawca ledwo by związał koniec z końcem. Dziś w analogicznych warunkach pozycja autora byłaby jeszcze gorsza, a wydawca by na nim sporo stracił.

W roku 1920 liczyliśmy, że jeśli „Hogarth Press" sprzeda 1200 egzemplarzy powieści, będzie można od biedy związać koniec z końcem (koszty własne były w porównaniu z dzisiejszymi niewiarygodnie niskie). W roku 1958 nawet dwakroć wyższa ilość egzemplarzy oznaczałaby dla wydawnictwa stratę. A nie wierzę, by podwoiła się dziś lub potroiła ilość potencjalnych czytelników poważnej beletrystyki. Oczywiście w momencie, gdy autor staje się klasykiem, on sam i wydawca zaczynają zbierać piękne żniwo w nagrodę za cierpliwość, ale właśnie z tego widać, w jakim stopniu pisanie i wydawanie poważnych książek jest dzisiaj loterią.

Poważna czy nie, książka jest zawsze jakąś formą rozrywki, a konkurencja innych form rozrywki, nie istniejących w roku 1917, jest dzisiaj olbrzymia — i to form, które nie wymagają żadnego wysiłku.

Mimo to, jak dotychczas nic nie dowodzi, by popyt na książki, w szczególności na książki poważne — spadał, lub miał spaść w bliskiej przyszłości. Przeciwnie: bardzo wzrósł popyt na autorów o ustalonym nazwisku. Natomiast nie podwoiła się — jak powiedziałem — ilość potencjalnych czytelników książki nowatorskiej.

I to jest problem. Gdy „Hogarth Press" wydrukowała pierwszy tomik wierszy T. S. Eliota, sprzedaliśmy 183 egzemplarze, a jeśli kto w ogóle zauważył te wiersze, witał je zwykle kpiną. Autor zarobił 3 funty 2 szylingi 6 pensów, a wydawcy zarobili brutto 9 funtów 6 szylingów $10^1/_2$ pensa. Cztery lata później wydaliśmy *Jałową ziemię* — chyba najsławniejszy utwór poetycki na przestrzeni ostatniego półwiecza — i sprzedaliśmy w pierwszym roku ledwo 330 egzemplarzy. Drukowaliśmy ten poemat we dwoje z żoną.

własnymi rękami, co umożliwiło nam wypłacenie autorowi 7 funtów 5 szylingów 7 pensów, a wydawcom dało brutto, to znaczy przed odliczeniem kosztów własnych, 27 funtów 16 szylingów 6 pensów. Otóż wyobraźmy sobie, że żyje dzisiaj gdzieś jakiś T. S. Eliot, niemy i nieznany (bo ma ledwo 15 czy 16 lat), i że w latach 1960—1970 napisze swą *Jałową ziemię*. Wątpliwe, by sprzedał wówczas więcej niż 330 egzemplarzy swego dzieła, może sprzeda mniej. Jeśli to dzieło wydrukuje „Hogarth Press" — musi się przygotować na poważną stratę zamiast zysku.

Lecz największe zagrożenie poważnej książki nieznanego autora czyha gdzie indziej. Aby zyskać na początek takiemu autorowi stosunkowo mały lecz wystarczający krąg czytelników, należałoby dość szeroko upowszechnić głębszą kulturę czytelniczą. Tymczasem władcy prasy brukowej i olbrzymich machin rozrywkowych — radia i telewizji — wydają się przekonani, że „masy" muszą być z konieczności pozbawione dobrego smaku i inteligencji, że trzeba karmić je niemal wyłącznie tzw. „lekką strawą", że nie są w stanie ocenić czegoś nowego, poważnego, prawdziwie dobrego. Sądzę, że ten pogląd jest błędny; wiem o starym parobku, analfabecie, który nigdy nie słyszał „dobrej" muzyki, aż raz złapał przypadkiem w radiu *Wesele Figara* i jest dziś namiętnym miłośnikiem Mozarta. Ale podobnie jak stopy chińskich dziewcząt deformowano ongiś przemyślnym sposobem, tak prasa, radio i telewizja deformuje dziś smak i umysł milionów, traktując ludzi jak dzieci albo jak kretynów. Jeśli się zakłada, że smak „mas" jest z konieczności zły — i daje się im odpowiednio złą strawę — to w końcu wychowa się ludzi takich, jakich się zakładało. Oto błędne koło, w którym wychowywać się będą kretyni, póki wreszcie wychowawca nie zostanie zaliczony w ich poczet. Lecz nim się to stanie, ciężkie czasy czekają pisarza, który ma do powiedzenia coś nowego (*Leonard Woolf*).

Cała pociecha (ekonomiczna...) w tym, że pisarz może (i musi...) nie tylko pisać książki. Gdy życie było tanie, wielu pisarzy mogło sobie pozwolić na pisanie tylko tego, co najbardziej im odpowiadało. Dzisiaj, aby się utrzymać, przeciętny pisarz musi znaczną część czasu poświęcić na pisanie tego, czego inni od niego chcą, lub też na pracę, która nie ma nic wspólnego z literaturą. Popyt na owe uboczne usługi pisarskie jest dziś większy niż kiedykolwiek. Rozwój przemysłu, prosperity itd. poszerzyły peryferie rynku literackiego na niekorzyść samego rynku. Kurczy się zapotrzebowanie na pisma literackie, wiersze, poważne powieści i nowele. Rośnie zapotrzebowanie na artykuły, odczyty, recenzje, scenariusze radiowe i telewizyjne.

Ludzie nie zdają sobie zwykle sprawy, jak mało zarabia pisarz na książkach. Oczywiście są wyjątki, ale w zasadzie zarabia się o wiele więcej na peryferiach rynku niż w jego centrum. Otóż czy się to komu podoba, czy nie — fakt jest faktem, że pisząc dla rynku literackiego było się wolnym człowiekiem, a pisząc dla peryferii jest się sługą, wykonującym zamówienie.

Przed wojną pisarz mógł od biedy żyć w godności wiejskiego zacisza utrzymując się z nowel drukowanych w pismach, takich jak „Strand" czy „Saturday Evening Post". Dziś ten sam pisarz musi się przenieść do Londynu i żyć z telewizji. Był samotnym, wolnym pracownikiem — teraz zostaje jednym z podrzędnych członków zespołu, pisze coś, co inni realizują.

Łączy się z tym druga sprawa: specjalizacja pisarza. Jeśli np. ktoś napisze książkę o zdobywcy Matterhornu, Whymperze, to redaktorzy, wydawcy i po części czytelnicy z miejsca zaczynają traktować go jako znawcę alpinizmu. Jeśli ukaże się inna książka, np. o Szwajcarii, kilku redaktorów pośle mu ją do recenzji; tak samo postąpią wydawcy ze skryptami powieści wysokogórskich BBC zamówi u niego pogadankę o alpinizmie epoki wiktoriańskiej, telewizja poprosi o scenariusz osnuty na zawodach narciarskich. Pisarz może tym wszystkim mało się interesować, co gorzej — po wydrukowaniu swej książki może stracić zainteresowanie samym Whymperem. Trudno: został napiętnowany jako specjalista i — choć niechętnie — odgrywa rolę, którą mu narzucono. Bądź co bądź zawsze miło być „znanym i uznanym" (*Maurice Cranston*).

PUBLICZNOŚĆ

Owa specjalizacja pisarza łączy się z tym, że — jak to było powiedziane wyżej — z różnych dziedzin (filozofia, historia itd.) wypierają go... specjaliści, piszący niezrozumiale, tylko dla specjalistów. Pociąga to swoisty upadek prestiżu literatury w oczach szarego czytelnika. Zaniknęło dziś poczucie charakterystyczne dla ludzi „awansujących społecznie" w dobie wiktoriańskiej, że kultura literacka jest koniecznym elementem żywota poczciwego (G. S. Fraser). W rezultacie krąg czytelników kurczy się, książka będzie niezbędna przede wszystkim dla nałogowców czytania (Jocelyn Brooke). Ale jakże się ma ten nałóg rozwijać i uszlachetniać, jeśli nie da mu się pożywki od dzieciństwa?

Pierwsza krzywda, jaką się wyrządza współczesnemu dziecku — *mówi Rebecca West* — to alternatywa czytania w postaci radia i telewizji. Całkiem niezależnie od jakości programów są to środki szkodliwe dlatego, że dziecko rzadko widzi czy słyszy daną audycję

więcej niż raz. Dobrze, jeśli dziecko ogląda taniec na łyżwach czy zawody pływackie, ale źle, gdy w grę wchodzi język. Słowa nie są stworzone po to, by przepływać mimo nas niepowstrzymanie. Nawet sztuki teatralne — jeśli są dobre — drukuje się i czyta. Lecz kiedy dziecko ogląda przedstawienie w programie telewizyjnym, znajduje się w sytuacji dorosłego, który by słuchał sztuki w języku na pół tylko zrozumiałym. A nawet gorzej: sztuka została napisana przez dorosłego, więc dziecko pojmuje ledwie połowę jej przesłanek. Nie może zatrzymać widowiska i zastanowić się nad tym, co je uderza, lub poprosić kogoś dorosłego o wyjaśnienie. Jeśli sztuka się dziecku podoba, nie może puszczać jej wciąż od nowa, wysysając wszystko co w niej dobre, jak się ssie karmelek, zapamiętując dziwne, nowe słowa, dostrzegając skoczne rytmy, tajemnicze związki rymów. Nie ma żadnego porównania między jednorazowym doznaniem audycji radiowej a intymnym uczuciem, jakie się ma dla wielekroć odczytywanej książki. Jedyne lekarstwo to mieć w domu sporo książek: niech je dzieci czytają w wolnych chwilach od deski do deski, niech wracają do nich, by raz jeszcze obejrzeć jeden malutki obrazek w grubym tomie, lub odczytać dwa wiersze w długim poemacie...

Jeden z najwybitniejszych lekarzy współczesnych może prześledzić swoje zainteresowanie nauką aż do źródeł, tj. do pewnej książki o epidemiach, którą znalazł na strychu u wuja, gdy miał 11 lat. Ostatnio wyszukał znów tę książkę i stwierdził, że napisał ją w latach osiemdziesiątych człowiek przekonany, że wszystkie choroby wynikają z miazmatów unoszących się z wilgotnej ziemi. Doktor nie może dziś zrozumieć, czemu ta książka go zafascynowała, ale trzymał ją pod pachą, gdy — zszedłszy ze strychu — oznajmił wujowi, że zostanie lekarzem.

Aby pozwolić na taką nielogiczną owocność, ludzie dorośli muszą czytać masę książek. Ale oto błędne koło: w jaki sposób dzieci o umysłach zubożonych przez telewizję wyrosną na ludzi, którzy potrafią przeczytać i nabyć wiele książek, które z kolei mogłyby natchnąć ich dzieci? I drugie pytanie, jeszcze bardziej smętne: w jaki sposób dzieci, które czytają książki dla dzieci, wyrosną na ludzi, którzy w ogóle cokolwiek czytają? Oczywiście, muszą istnieć książki dla dzieci — ale jakże często utrudniają one dzisiejszym dzieciom przeniknięcie w dziedziny, gdzie językowi pozwolono rozkwitać i krzewić się, gdzie myśl jest nieraz trudna i wymaga wysiłku, czasu, wyobraźni? (*Rebecca West*).

Miłość języka jest — zdaniem John Waina — najważniejszym czynnikiem, który zawsze zachowa książce wąski ale żarliwy krąg odbiorców. Jednego możemy być pewni: książka, jako przedmiot

materialny, pozostanie z nami *(oddech ulgi po tragikomicznych proroctwach Christopher Logue'a).* Nie wrócimy do papirusów, nie postąpimy (czy to zresztą postęp?) ku maszynom do czytania *Nowego, wspaniałego świata.* Kodeks — czyli oprawiona książka — to jeden z wielkich ludzkich wynalazków, podobnie jak koło, oswojenie ognia, instrumenty muzyczne. Ale trzeba nam będzie przestać liczyć na tych czytelników, którzy biorą do ręki książkę dla zabicia czasu, lub na takich, którzy czytają wyłącznie „Krótki zarys posługiwania się holajzą dla początkujących". Tym drugim da znacznie więcej naoczny pokaz telewizyjny, zaś autorzy sensacyjnych powieści, które łyka się ze smakiem w długie deszczowe wieczory, znajdą inne zastosowanie dla swych talentów. Opustoszałe pole odzierżą prawdziwi miłośnicy książek. I tylko takich czytelników warto mieć, warto rachować w statystykach rozwoju czytelnictwa, którzy czują potrzebę drukowanego słowa — potrzebę, jakiej nic nie jest w stanie zastąpić.

Ludzie, dla których język jest narzędziem wyłącznie użytkowym, sposobem przekazywania faktów, z radością powitają bardziej bezpośrednie środki porozumienia. Czytelnikiem książek będzie natomiast miłośnik języka. Będzie pragnął opowieści, opisów, rozmyślań w formie trwałego zapisu, tak by móc wracać po wielokroć do fragmentów szczególnie wzruszających lub pobudzających. Ta miłość do języka nie pokrywa się z żadnymi podziałami klasowymi czy intelektualnymi. Znajdziemy ją wśród ludzi, którzy nie posługują się językiem „poprawnie", wielu jego wielbicieli wcale nie odznacza się pociągiem do „głębszych myśli". I na odwrót: są tacy, którzy żyjąc intensywnym życiem umysłowym posługują się słowami, jak kostkami prasowanego sera. Różni pisarze uważają się za wybornych stylistów, cóż, kiedy przyjrzawszy się z bliska widzimy, że samo ich przejęcie się „stylem" ujawnia zimne, zewnętrzne niejako podejście do spraw, które muszą pulsować życiem.

W zasadzie każde dziecko, gdy uczy się mówić, delektuje się słowami, cieszy się dobrze brzmiącym zwrotem, z lubością przyswaja sobie różne „entliczki — pętliczki", podrósłszy — zaczyna wielbić jakiegoś poetę (lub cały ich szereg), zarówno ze względu na treść wierszy, jak i ze względu na ich język. Ale później?...

W dzisiejszym świecie pisarz przypomina Henryka V przed bitwą pod Agincourt, wzywającego tchórzów do odejścia. Nic mu po czytelnikach, których przeżycia są przede wszystkim wzrokowe, lub dotykowe, lub abstrakcyjno-intelektualne — i czytelnikom tego rodzaju nic po nim. Bo nie chodzi tu tylko o przyjemność. Język coś mówi — najcelniej tym, którzy go kochają, podobnie jak strawa najlepiej żywi tego, kto jest głodny. A słusznie zapytywał nie-

dawno Orson Welles: „Jeśli człowiek nie potrafi rozmówić się z drugim człowiekiem — jakże się spodziewać, że zapanuje nad własnym losem?"

Książka zostanie — konkluduje John Wain. Ale czy zostanie powieść? Olivia Manning odpowiada twierdząco. Żadna inna forma sztuki nie dorówna powieści w ujawnianiu wspaniałości i nędzy ludzkiego serca. Próbuje tego biograf, ale przeszkadzają mu fakty. Biograf patrzy z z e w n ą t r z na swego bohatera, powieściopisarz jest w n i m. Powieściopisarz jest powołany do wyrażenia jakości osoby ludzkiej — *the quality of the individual spirit* — i dlatego sądzę, że jest niezniszczalny. Powieść jest prawdziwą kroniką swoich czasów. Epoka, która by się bez niej próbowała obyć, zostałaby w dziejach tylko jako zbiór nagich faktów, pozbawionych myśli i serca. Dlatego wierzę, że powieść przetrwa.

J. W.

PISARZE POLSCY O ANKIECIE „THE TIMES LITERARY SUPPLEMENT"

ANTONI GOŁUBIEW

Przeczytałem ze zdumieniem wypowiedzi o losach książki, w których piękne i mądre myśli pomieszane są w przedziwny sposób z pośpiesznymi uogólnieniami i „smaczkami", całkiem jak groch z kapustą. Lektura ta jest jednak nader pouczająca — obrazuje chaos myślowy, jaki znamionuje nasze czasy, brak jednolitych systemów i szkół intelektualnych, zagubienie się i niepokój wobec nowoczesności. Nad wszystkim góruje lęk: a może idziemy ku nowemu wspaniałemu światu, w którym wystarczy człowiekowi *soma* i „dotykalny film", książka zaś będzie zakazana, a może tylko niepotrzebna.

Gdybyśmy doszli do nowego wspaniałego świata, los książki, literatury, sztuki zostałby przesądzony, jak wszelkie formy kontemplacji i zadumy nad życiem. Nie wierzę jednak w nieuniknioność nowego wspaniałego świata. Nie będę tego swego sceptycyzmu udowadniał — po prostu znam trochę historię. Głosy o upadku kultury są niemal tak stare, jak sama kultura. Zgadzam się, że dziś kryzys jest wyjątkowo głęboki. Ale istnieje w historii pewne prawo, które nazwałbym prawem amplitudy. Oświecenie miało naiwną wizję wieczystego postępu i szczęśliwej ludzkości, kierowanej rozumnie i zgodnie z naturą. Dziś słyszymy liczne głosy pesymizmu i prostracji — osiemnastowieczny optymizm „dobrego i mądrego człowieka" spłatał nam bolesnego figla. Miejmy nadzieję, że pesymizm dzisiejszy stanowi również „przegięcie" —i że wyjdziemy z obecnego wahnięcia amplitudy dużo szybciej, niż współczesnym katastrofistom się wydaje.

Literatura a książka to są sprawy zupełnie różne — literatura jest dużo starsza od książki. Jej istotę stanowi opowiadanie — o człowieku, o świecie, o życiu; o dręczących nas zagadkach, o tajemnicy istnienia i losu, o poruszeniach naszego serca, o naszych tęsknotach

i nadziejach. Jak długo sprawy te będą nas obchodziły, tak długo będziemy o nich sobie opowiadać i słuchać. Czy więc literatura ma długie życie przed sobą? Sądzę, że tak długie, jak człowiek. Genialność wizji Huxleya polega na tym, że ukazał nam człowieka bez tęsknot, człowieka w pełni zadowolonego — nawet ze śmierci, człowieka, który oderwał się nawet od swego istnienia. To jednak nie jest już człowiek, to wyhodowany w butelce organiczny automat. Jednakże ludzi wciąż jeszcze rodzą kobiety, nie butelki — i jak długo naszą matką będzie kobieta, nie boję się o los literatury. Czy literatura będzie zawsze ujęta w formę książkowego kodeksu, tego nie wiem, ale to nie jest ważne. Ważne jest, że będzie ujęta w formę opowiadania.

Kryzys naszych czasów jest przede wszystkim kryzysem ufności. Nasze pokolenie zbyt wiele razy zostało nabrane, by chciało dać się nabrać raz jeszcze. Dlatego człowiek współczesny jest zjeżony wobec myśli, tzw. „światopoglądów", systemów filozoficznych, poznania, działalności, polityki, wszelkich kanonów i nakazów moralnych. „A może jest inaczej — mówi człowiek współczesny — hola! nie dam się wziąć na plewy". I depcze zdrowe ziarno na równi z plewami, czując się jednocześnie bezradny wobec życia, w którego sens i cele zwątpił, i wobec świata, nad którym coraz doskonalej panuje, coraz gorzej go rozumiejąc. Czyż może być dziwne, że i wiara w literaturę — w opowiadania o wartościach i rzeczach — uległa głębokiemu zachwianiu? Kryzys literatury to również jest kryzys ufności. Lecz kryzys ten potrafimy przezwyciężyć — sądzę, że stosunkowo prędko.

Wierzę w literaturę, bo wierzę w życie, wierzę w człowieka. Zdaję sobie doskonale sprawę, iż dzisiejsza nieufność nastroszy wielu ludzi wobec tak sformułowanego wyznania. Czy aby nie jest to drętwa mowa, literackie ple-ple, słowny bełkot? Bo co znaczy tu termin „życie", co znaczy tu „człowiek" — i w ogóle: jak można budować tak nieodpowiedzialne uogólnienia? To prawda: nie potrafię podać jednoznacznej definicji tego, co nazwałem „życiem", a nawet tego, co nazwałem „człowiekiem". Lecz wiem dobrze, co mam na myśli — i również czytelnik, jeśli tylko zechce odczytać .to zdanie wprost, w zwyczajnej mowie potocznej, będzie wiedział, co miałem na myśli. A wtedy skonstatowanie to będzie zbyt ważne, by mogło być „drętwe".

Lecz może jest naiwne? Otóż to: boimy się naiwności, boimy się być naiwni. Tylko ufność, wielka ufność płynąca z dojrzenia, czym jest życie i człowiek, jego wartość i sens, jego cel i uzasadnienie jego istnienia, może się zdobyć na naiwność — nie naiwność głupoty,

lecz prostego widzenia zawiłych spraw świata. „Widzę i opisuję" — powiedział Mickiewicz o swojej twórczości, a zdanie to określa wszelką literaturę. Wraz z motywacją: „bo tęsknię po tobie". To proste, to naiwne — i stanowi to wielką tęsknotę świata. Jakaż stoi przyszłość przed literaturą? Widzieć nie naiwnie i opowiadać najprościej, najzwyczajniej, najnaiwniej. Tego człowiek współczesny od literatury oczekuje. To nic, że miłościwie nam panująca moda literacka jak ognia boi się naiwności — i drwi bezlitośnie z każdej próby prostego opowiadania o myślach, o uczuciach, o przeżyciach. Ta dyktatura jest niedługa, bowiem tęsknota ludzka wciąż wzrasta. Wrócimy do prostych słów, zwyczajnych zdań w rodzaju: „jestem bardzo wzruszony", „Jaś mocno kochał Kasię i oboje byli szczęśliwi", „chcę być dobrym człowiekiem", „sosna jest pięknym drzewem" — do zwykłych wierszy i do powieści, które będą najzwyczajniejszym opowiadaniem o życiu ludzkim, jak je widzimy współcześnie. Powiada się: taka a taka forma została wyeksploatowana już do dna. Jest to równie mądre stwierdzenie, jak to: miłość między chłopcem i dziewczyną, oglądanie pięknego widoku, lęk przed śmiercią, albo przywiązanie matki do dziecka zostały wyeksploatowane do dna i nic nowego już się w tych przeżyciach nie odnajdzie. Co roku wiosna jest dla nas nowa i każdy pierwszy śnieg ma dla nas nową niespotykaną biel. Współczesna literatura nie chce zaufać tej nowoczesności wiosny i śniegu, i dlatego nie zaspokaja ludzkiej tęsknoty. Gdy nie będzie się bała być naiwną, znowu będzie odkrywcza. A to nastąpi niedługo: jesteśmy już nazbyt zmęczeni swą nieufnością i narzuconym sobie samym dziwaczeniem się formalnym, które ma nam przesłonić brak ostrości widzenia.

Jak długo literatura będzie widzieć i opisywać, możemy być o jej los spokojni. Byleby potrafiła tęsknić, naprawdę mocno, z całej głębi wewnętrznego zaangażowania we wszystko, co tylko jest. Los literatury jest przesądzony: będzie ona zawsze opowiadała człowiekowi o nim samym — o największej, wciąż niepokojącej go zagadce, którą każdej wiosny rozwiązujemy na nowo.

Antoni Gołubiew

STEFAN KISIELEWSKI

CZY POWIEŚĆ SIĘ PRZEŻYŁA?

Pytanie takie stawiane bywa dosyć często. Myślę, że trzeba by je zmodyfikować w sposób rozszerzający. Nie chodzi tutaj o to, czy przeżył się taki lub inny gatunek literacki np. powieść psychologiczna, powieść fabularna lub powieść epicka. Postawić natomiast warto pytanie, czy nie przeżył się ogólnie gatunek sztuki, zwany prozą literacką, polegający na „pisemnym opowiadaniu ciekawych historii".

Moim zdaniem o zestarzeniu względnie przeżyciu się jakiegoś gatunku sztuki lub, inaczej mówiąc, rodzaju odbioru sztuki, mówić można wówczas, jeśli postęp techniczny zastępuje ten rodzaj innym, mającym podobną istotę a wydoskonalonym, zwielokrotnionym i zmodyfikowanym. W tym sensie można np. postawić pytanie, czy wobec rozwoju filmu dźwiękowego i telewizji nie przeżył się teatr. Natomiast dla gatunku sztuki, zwanego prozą literacką, nie widać w dzisiejszym świecie techniczno-artystycznym odpowiednika ani konkurencji i trudno się spodziewać, aby najbardziej choćby fantastyczny rozwój techniki mógł taką konkurencję przynieść. Bowiem specyfika tego gatunku jest niepowtarzalna i w zasadzie bardzo ściśle określona: możliwy jest rozwój wgłąb, wewnątrz gatunku jako takiego, niesposób natomiast wyobrazić sobie jakiejś zmiany ulepszenia samej zasady, odbioru, samej konwencji artystycznej, charakteryzującej ten gatunek.

Jakaż jest ta konwencja? Słuchowiska radiowe nazwano u nas ładnie „teatrem wyobraźni". Otóż myślę, że z większą słusznością można by prozę powieściową nazwać — teatrem myśli i wyobraźni. Jest to teatr odzmysłowiony jak najbardziej idealnie: wszystko zamyka się ściśle właśnie w sferze myśli i wyobraźni, jedynym przypadkowym i zewnętrznym łącznikiem ze sferą zmysłów jest tylko optyczna percepcja szeregów liter. Czytelnik wykonuje na tle percepcji tekstu ogromną a całkowicie indywidualną pracę myślowo-wyobraźniową, tekst jest podnietą, wywołującą w nim cały szereg skomplikowanych, łańcuchowych reakcji kojarzeniowych. Istnieje tyle wyobraźniowych interpretacji jednego i tego samego utworu literackiego, ilu jest czytelników. W żadnym gatunku sztuki odbiorca nie jest tak dalece współtwórcą dzieła, w żadnym gatunku szkielet formalny, stworzony przez autora nie zostaje w tak dużym stopniu obudowany przez czytelnika, osnuty tkaniną czytelniczej indywidualności, czytelniczej myśli i wyobraźni.

Drugą niezwykle charakterystyczną cechą tego gatunku sztuki jest fakt, że czytelnik najzupełniej autonomicznie reguluje sobie czasowo całościowy przebieg jej odbioru. Można czytać powieść jednym ciągiem, można z przerwami, których długość i częstotliwość zależy od czytającego. Można najpierw pobieżnie zapoznać się z fabułą, a potem czytać dokładnie i po kolei. Można powtarzać lekturę poszczególnych fragmentów. W ogóle można wszystko. Element czasu, jeden z najbardziej zasadniczych wymiarów, w których ujęte jest wszelkie biologiczne i biologiczno-psychiczne bytowanie, wnoszony jest do dzieła literackiego przez czytelnika, który ustala sobie czasowe normy i wymiary odbioru dzieła. Jakżeż różni się to np. od odbioru utworu muzycznego, w którym normy czasowe ustalone są rygorystycznie i opieszały słuchacz, zamknięty ściśle w minutach i sekundach wykonania może po prostu nie nadążyć z odpowiednią koncentracją psychiczną i w rezultacie nie odnieść w ogóle żadnego wrażenia.

Jeszcze jedną, bardziej zewnętrzną cechą techniki odbioru dzieła literackiego jest fakt, że czytelnik sam wybiera sobie okoliczności, w których ma zamiar włączyć swoją myśl i swoją wyobraźnię do procesu kojarzeniowo współtwórczego, jakim jest czytanie. Można czytać w tramwaju, w przerwach pracy, w domu, na spacerze, siedząc, chodząc, w poczekalni dentysty, w kolejce po mięso. Książka to kieszonkowy teatrzyk myśli, który każdy czytelnik ma do swojej całkowitej dyspozycji, każdej chwili, mogąc za pociśnięciem guziczka włączyć natychmiast jego skomplikowane funkcjowanie, jak włącza się kieszonkowy przenośny aparacik radiowy. Jest to przy tym aparacik niezwykle osobisty, teatrzyk prywatny, w którym, nie pomijając wkładu autora, czytelnik jest jednak wszystkim: dyrektorem, reżyserem, dekoratorem, operatorem świetlnym i — widzem.

Takie więc są zgrubsza i pobieżnie wymienione niezwykle specyficzne właściwości gatunku sztuki, zwanego prozą powieściową czy w ogóle prozą literacką. Dla gatunku tego nie widzę we współczesnym, tak przecież bogatym w wynalazki i urozmaiconym świecie, konkurencji. Nie widzę też żadnych możliwości technicznych, które mogłyby tu coś zasadniczo zmienić, tak jak np. odkrycie filmu dźwiękowego zmieniło istotę kina. Zmiany i udoskonalenia są możliwe, ale jak pisałem, wewnątrz samego gatunku, bez zmiany jego najogólniejszej konwencji techniczno-odbiorczej. W ten sposób pytanie: „Czy powieść się przeżyła?" należałoby zamienić na inne: „J a k a powieść się przeżyła?"

Z tym „przeżyciem się" trzeba jednak obchodzić się nader ostrożnie. Przede wszystkim samo pojęcie powieści jako określonej formy literackiej nader jest rozciągliwe. Za powieść uważamy zarówno:

W poszukiwaniu straconego czasu Prousta jak i *Trzech muszkieterów*, zarówno *Ulissesa* Joyce'a jak *Nie ma orchidei dla miss Blandish* Chase'a, a także przecież *Złotego osła* Apulejusza Madaureńczyka. Niejasne i dowolne jest również kryterium powieści współczesnej. Wszak za „ostatni dreszcz" uważane są dziś dwie książki o skrajnie przeciwnych metodach pisarskich i ideologiach estetycznych: *Komedia ludzka* Williama Saroyana (polski tytuł: *Śmierć nie omija lilaki*) i *Odmiany czasu* Michała Butora.

Niewątpliwie formę powieści oczekuje jeszcze wiele eksperymentów i wzbogacających odkryć. Wynalazki w tej dziedzinie różnie bywają przyjęte, zależnie od miejsca i czasu. U nas bez echa przeszło kiedyś kapitalne odkrycie Irzykowskiego w *Pałubie*: akcja powieściowa, prowadzona równolegle z psychologiczno-intelektualnym komentarzem autora do tej akcji. Odkrycia tego nie zauważono z winy może niedostatecznego talentu prozatorskiego autora. Natomiast znacznie łatwiejszy, tego samego gatunku pomysł w *Klimatach Maurois* (te same wydarzenia widziane kolejno oczami kilku osób) dzięki błyskotliwej realizacji „chwycił", znalazł mnóstwo naśladowców i kontynuatorów.

Współcześni literaccy freudyści uważają, że kryterium nowoczesności prozy szukać należy w precyzji jej skalpela psychologicznego, że pisarz to zegarmistrz duszy, zdejmujący pincetką z jej mechanizmu utajone tarcze, odkrywający i wykręcający niewidoczne, mikroskopijne śrubki. A jednocześnie Hemingway i inni lansują pisarską metodę rygorystycznej zewnętrzności: autor nie widzi wnętrza swych postaci, lecz demaskuje je wyłącznie poprzez widoczne dla wszystkich postępki i słowa. Obie koncepcje są współczesne, lecz która z nich jest naprawdę „nowoczesna"?

Myślę, że kryterium absolutnej nowoczesności w prozie literackiej jest nieporozumieniem i że nigdy jedna metoda nie wyprze całkowicie innych. Jest tu raczej różnica temperamentów niż epok. W każdym okresie pisarz „psychologiczny" będzie skrycie zazdrościł powieściopisarzowi-fabuliście, a posiadacz techniki fabularnej będzie marzył, aby raz chociaż napisać powieść nie o faktach, lecz o myślach. Wydaje mi się, że wachlarz gatunków powieści współczesnej (tj. pisanej dziś) zawiera ich wielką mnogość, że wszystkie te gatunki funkcjonują w jednym czasie na zasadzie specyficznej wieży Babel. Jedna z największych znawczyń mody w Polsce powiedziała mi, że miastem, gdzie ludzie nie ubierają się modnie jest... Paryż. Paryż lansuje mody dla całego świata, lecz w Paryżu ludzie ubierają się jak najrozmaiciej: można tam włożyć wszystko i z każdej epoki — nikogo to nie będzie razić, bo funkcjonuje tam

współczesna uniwersalizacja gustów, syntetyczna wieża Babel. Podobnie dzisiejszy słuchacz muzyki, dysponujący radiem, płytą i taśmą może sobie, żyjąc przecież w określonej epoce dowolnie i bez szowinizmu wybierać — między Haendlem a Wagnerem, Ellingtonem a Webernem.

W wypowiedzi niniejszej nie chodziło mi więc o fluktuacje czy nawet trwałe przemiany stylów, metod i form literackich. Chodziło mi o nieprzemijalną specyfikę samego gatunku zwanego prozą literacką, dla którego we współczesnym świecie nie widzę, powtarzam, ani konkurencji ani istotnego, trwałego zagrożenia w postaci jakiegoś wynalazku techniczno-artystycznego. Tak jak miłość między dwojgiem ludzi będzie na pewno tematem „atrakcyjnym" bez względu na wszelkie przemiany socjologii i cuda techniki, tak „opowiadanie ciekawych historii na piśmie" wydaje mi się nieodłącznie związane z istotą kultury gatunku ludzkiego. Myślę, że niezależnie od wszelkich możliwych wewnętrznych inowacji i udoskonaleń trwać będzie owo opowiadanie wraz z trwaniem owego gatunku zwanego, może nieco dowolnie i megalomańsko, *homo sapiens.*

Stefan Kisielewski

MARIA MORSTIN-GÓRSKA

Paradoksalne i pesymistyczne przepowiednie Christopher Logue'a są na szczęście pozbawione wszelkiego prawdopodobieństwa. Umiejętność czytania jest nie tylko potrzebna do rozkoszowania się arcydziełami literatury, ale także do przekazywania wiedzy i do porozumiewania się między ludźmi. Potrzeba wrażeń artystycznych wygaśnie chyba dopiero z końcem istnienia ludzkości i „piękna sztuka pisania" nie może być tu wyjątkiem. Zawsze znajdą się osobniki, dla których pewien układ słów, wyrażający coś więcej niż te same słowa w mowie potocznej — *a word-pattern,* jak mówi Aldous Huxley — będzie źródłem zachwytu i wzruszenia. Nie wyginą zapewne i tacy, którzy będą chcieli do tych wzruszeń do woli powracać, a to może dać im jedynie książka — dyskretny, nie narzucający się, a za każdym zdjęciem z półki gotowy do udzielania się przyjaciel.

Można by jednak z dużą słusznością powiedzieć, że w przyszłości tę potrzebę dostatecznie zaspokoi ta gałąź literatury, w której rozkosz artystyczna wypływa najbezpośredniej z deseni słów, to jest

poezja. Kino i telewizja nie są w stanie z nią rywalizować i ona nie wydaje się przez nie zagrożona. Ale przedstawiając fikcyjne postacie, ich losy i ramy życiowe sztuka ekranu wkracza istotnie na teren powieści. Niewątpliwie też powieść przeżywa dziś najcięższy kryzys, jak widać z ankiety „Times Literary Supplement".

Trudno też zgodzić się z zarzutami Alan Pryce-Jonesa, który pisarzy wini o to, że nasza cywilizacja się nam samym już znudziła. Dzisiejszą epokę, otwierającą przed ludzkością z jednej strony tak wspaniałe, a z drugiej tak groźne perspektywy, można o wszystko pomawiać tylko nie o stagnację i nudę. Świat współczesny jest stokroć bardziej interesujący niż przeszłość. I jeśli — jak stwierdza Snow — pisarze, których talent błyszczy w publicystyce lub półnaukowej prozie, zdają się kurczyć wewnętrznie zabierając się do pisania powieści, to trzeba by przypuścić, że ta ostatnia stała się rzeczywiście formą przeżytą, niezdolną już do wyrażania naszego czasu.

Nie ulega wątpliwości, że wiek dziewiętnasty był złotym wiekiem tego rodzaju literackiego, że w nim on się rozwinął i wysunął na czoło piśmiennictwa. Długie okresy się bez niego prawie obchodziły, uznając tylko powieść w kształcie poetyckiego eposu. Za to w ubiegłym stuleciu powieść mogła zawsze liczyć na większą liczbę odbiorców niż wiersze liryczne lub tom esejów. Skąd ta nagła potrzeba wyrażania się w tej formie u pisarzy, i to wyraźne zamiłowanie czytelników?

Romantyzm obudził zainteresowania psychologią jednostki, przede wszystkim jednostki wyjątkowej, występującej z ogólnego tła. Poeci tej epoki mieli świadomość swojej odrębności — każdy z nich poczuł się samotną wyspą, kręgiem zamkniętym w sobie, ale pełnym nieograniczonych możliwości. W hierarchii uznawanych wartości postawili też świat wysnuty z wyobraźni ponad światem rzeczywistości. Wobec tego ich uczucia i marzenia, ich zawody i namiętności stały się rzeczą najbardziej godną opisu i poetyckiego przeobrażenia. Bohaterowie romantyczni to poprzebierani w różne kostiumy ich twórcy — historie ich miłości to dzieje uczuć samych autorów. Współcześni im prozaicy, którym los odmówił „sztuki składania rymów", ale którzy czuli w sobie moc wywoływania z nicości fikcyjnych postaci, przerzucili na nie tę introspekcję romantyczną. Zaczęli się zajmować już nie tylko ich awanturniczymi czy cudownymi przygodami, jak to robili powieściopisarze osiemnastego wieku, ale ich życiem wewnętrznym, wkładając w nie zarówno własne przeżycia jak i obserwacje dokonane na innych. Stworzenie postaci jak najbardziej żywej i samoistnej stało się ich ambicją i celem. Wprawdzie opisywali nieraz także społeczne czy ekonomiczne

warunki swego czasu, chcąc pokazać związki łączące z nimi danego bohatera, punktem wyjścia ich pracy nie było jednak tło, tylko zawsze żywa, niepowtarzalna osobowość człowieka. Ona była osią, wokół której grupowały się inne czynniki, żeby ją oświetlić, uwypuklić i uprawdopodobnić. Z tych czasów pochodzą te znane nam wszystkim postacie Tołstoja, Flauberta, później Conrada, Sigrid Undset i wielu innych, które stały się nam bliższe i nieraz wywarły na nas większy wpływ od rzeczywistych znajomych. W nich każdy czytelnik odnajdywał coś z siebie, toteż i książki mówiące o nich mogły wzbudzać zgorszenie i sprzeciw, były jednak rozchwytywane nie tylko w kołach literackich ale przez szerokie rzesze szarej inteligencji. Druga połowa dziewiętnastego wieku była również okresem wielkich odkryć naukowych i nawet naiwnej wiary w naukę, nie paraliżowały one jednak — jak to dziś stwierdza C. P. Snow — współczesnych powieściopisarzy, bo to, co dla tych ostatnich było najważniejsze, to nie obraz świata, ale charakter, zarys psychologiczny, powikłania życiowe zrodzonych w wyobraźni twórczej postaci ludzkich.

Sam rozwój tego kierunku i rodzaju literackiego poszerzał coraz bardziej u pisarzy krąg obserwacji i znajomości natury człowieka. W początku dwudziestego wieku wielkie zdobycze naukowców-psychologów wzbogaciły go jeszcze o cały mechanizm podświadomości i odruchowych asocjacji. Równocześnie jednak postępująca, a raczej może tylko coraz jawniejsza dechrystjanizacja europejskiego świata kultury, wytwarzała w nim coraz większą bierność duchową, zagubienie się osobowości ludzkiej wobec praw rządzących jej egzystencją. I gdy powieść średniej miary pulsując już słabiej szła dalej, utartym torem, w książkach śmiałych nowatorów — Prousta, Joyce'a Virginii Woolf, Henry Jamesa, Huxleya i innych — osobowość głównych postaci rozszczepiała się na drobiazgowo zanalizowane stany psychiczne, pomiędzy którymi ciągłość stawała się powoli mniej wyraźna i świadoma. Gdy w *Kontrapunkcie* Huxleya Walter wyrzuca Lucy jej przeszłe wiarołomstwa, ona nie zapiera się ich, odpowiada mu natomiast pytaniem: „Czy to naprawdę byłam ja?" W takiej postawie przejawia się już rozkład poczucia własnej osobowości odpowiedzialnej za swoje wczoraj i budującej świadomie swoje jutro. W wieku dziewiętnastym mówiło się i pisało ogólnie o „bohaterach powieści", przy końcu dwudziestolecia wydawało się nam to już nieco śmieszne — utarło się raczej określenie: „postacie książki", „postacie danego autora". Ta degradacja mogła mieć jednak i głębsze uzasadnienie.

Straszliwe doświadczenia wojenne wywołały wprawdzie ogólny nawrót do zagadnień natury moralnej, ale nawet w dziełach najbar-

dziej zaangażowanych pisarzy spotykamy się dzisiaj raczej z problemami ustrojów, idei, zbiorowisk społecznych niż z dramatem poszczególnych jednostek. Człowiek wtopił się w masę, jak słusznie zauważa w omawianej tutaj ankiecie L. P. Hartley. Osoba ludzka straciła na wartości, nie stanowi już przedmiotu głównego zainteresowania dla literatury. I jednocześnie widzimy, że powieść doszła do krańca udeptanej drogi, a nowej jeszcze nie zdołała wytyczyć. Awangardowa powieść francuska odwracając się od ideologicznego zaangażowania lat powojennych odrzuca jednocześnie psychologiczny rysunek postaci i zajmującą fabułę — pragnie wzamian budzić niepokój, stać się zagadką, dawać jakąś czysto abstrakcyjną wizję życia. Dotychczas nie udało się jej stworzyć dzieła genialnego, które byłoby równocześnie wyrazem naszej epoki. Jaka jest jej przyszłość? Czy grozi jej upadek przepowiadany przez większość uczestników ankiety „T. L. S."? Sądzę, że bez zainteresowania się osobą ludzką i jej przeżyciami, bez pewnego rodzaju introspekcji psychologicznej, nie utrzyma ona swego dotychczasowego stanowiska w literaturze — stanie się jakimś innym rodzajem prozy, odpowiadającym może malarstwu abstrakcyjnemu w plastyce. Jak odniosą się do tego jej przeobrażenia czytelnicy? Zależeć to będzie od pogłębiania się przepaści pomiędzy sferą szukających nowych dróg artystów, a szerokimi masami odbiorców, przepaści, która jest jednym z najtragiczniejszych pęknięć naszej epoki.

Warto zauważyć, że wśród powieściopisarzy dwudziestego wieku stosunkowo tak poczesne miejsce zajmowali i jeszcze zajmują pisarze katoliccy, i to nawet w krajach protestanckich. Sigrid Undset, Mauriac, Bernanos, Graham Greene, Julien Green, Evelyn Waugh — oto autorzy najbardziej dziś znani całemu kulturalnemu światu. Kto wie, czy chrześcijański personalizm, nieodłączny od ich postawy religijnej, nie stał się tu właśnie czynnikiem sprzyjającym, czy silne poczucie organicznej jedności i ważności osoby ludzkiej nie pozwoliło im dosięgnąć szczytów w tej gałęzi literatury, która z niego wyrosła i na nim się rozwijała?

Maria Morstin-Górska

ZOFIA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA

Jeżeli można mówić o kryzysie powieści to chyba w odniesieniu do ogólnego kryzysu kulturowego, tego który płynie w przeważnej części, jak mi się wydaje, z coraz szerszego podchodzenia do kultury szerokich mas. Stąd — z konieczności — podwójność „języka sztuki", podwójność chyba podobna tej, jaka dzieliła ludzi, gdy językiem literackim była łacina, a języki narodowe uchodziły za „gminne". To sprawia, że część książek, pisanych przez elitę i dla elity, jest w tzw. szerokich kołach niepopularna, natomiast książki przez te koła czytane nie uchodzą w kręgach elitarnych za literaturę. Czasem niektórzy autorzy są popularni w obydwu kręgach. Przykład: Hemingway.

Poza tym widziałabym raczej ewolucję niż kryzys powieści, jej zmienianie się, niejako przystosowywanie do wymagań, potrzeb i zainteresowań epoki.

I tak: coraz większą popularność mają utwory krótkie i króciutkie. Jest to zrozumiałe ze względu na tempo życia, także na pochłonięcie przez zajęcia i lektury zawodowe olbrzymiego odłamu ludzkości, inteligencji tzw. technicznej.

Zmieniają się też tematy powieści, inne teraz niż dawniej — wzbudzają zainteresowanie. Książki typu Jules Verne'a, noszące nazwę *science-fiction,* budzą wielkie zainteresowanie przez aktualność swego przedmiotu. Dużo większe niż dawniej zainteresowanie budzą książki o tematyce politycznej i społecznej. Tak często dziś w utworach literackich traktowane zagadnienie stosunku jednostki do społeczności, zagadnienie wolności i władzy, dyscypliny i swobody tkwią w sercu zainteresowań dzisiejszego człowieka. Każdy chce znaleźć odpowiedź na zapytanie dla społeczeństw i jednostek najważniejsze: jak znaleźć równowagę, która by wykluczała anarchię a gwarantowała wolność. Jest to bardzo częsty temat powieści.

Inną charakterystyką dzisiejszej powieści, jej tematyki, jest ukazywanie człowieka „jako takiego", człowieka stojącego wobec głodu śmierci, samotności. Nie samotności psychologicznej, dziewiętnastowiecznych *imcomprises,* ale wobec materialnej samotności morza, pustyni, dżungli, przestrzeni międzygwiezdnych. Człowiek zagubiony w grozie elementów, stąpający po dnie oceanu lub wylatujący ponad ziemską atmosferę staje się, mimo całego wyposażenia technicznego, bliższy pierwotnemu człowiekowi, który świat odkrywa i zdobywa. Jest istotą otaczającemu go światu przeciwstawioną. Nie są ważne różnice dzielące ludzi między sobą. Są jednym i tym samym,

solidarnym gatunkiem. Ludziom St. Exupéry'ego, ginącym z pragnienia na pustyni, było obojętne, czy postać zbliżająca się do nich to był Arab, czy Europejczyk, czy był to człowiek zły lub dobry. Ważne było, że był to Człowiek.

Ale rzecz znamienna. Ta powieść „kosmiczna" i eschatologiczna zaczyna coraz częściej interesować się z powrotem „wnętrzem" człowieka, od którego w epoce swego „uspołeczniania" odwracała się z taką pogardą. Cóż bowiem — mówiono — znaczą odcienia ludzkich uczuć wobec bomby H? Ale oto spostrzeżono się, że bomba H jest w ręku człowieka i od jego woli zależy, czy glob nasz zostanie lub nie zostanie wysadzony. A więc ważne jest to wnętrze, ważna jest decyzja człowieka. A wiadomo: wszelkie decyzje w sercu człowieka mają źródło i swą rację ostateczną. W sercu człowieka rozstrzyga się przyszłość świata.

Więc coraz częściej widzimy, jak powieść zwraca się do człowieka, jego przeżyć i zawikłań.

I ta powieść zdaje się zawsze budzić powszechne zainteresowanie. Bo człowieka nie interesują, wbrew pozorom, tematy egzotyczne, zupełnie mu obce i dalekie. Człowiek szuka w lekturze przede wszystkim siebie, odbicia własnych spraw, tęsknot i niepokojów. A równocześnie szuka w niej wytchnienia, oderwania od swych trosk i narkotyku. I chyba powieść, która będzie zawierać te dwa elementy, nigdy nie padnie ofiarą „kryzysu".

Zofia Starowieyska-Morstinowa

JERZY ZAWIEYSKI

CZY UPADEK SZTUKI?

1

Kiedy spojrzałem na pierwszą stronę nadesłanych mi materiałów, nie zbadawszy dobrze skąd i od kogo pochodzą — byłem przekonany, że jest to memoriał mojego wyborcy Cesarza Jana Witolda I. Bowiem wśród różnorodnej korespondencji, jaką otrzymuję z całej Polski, zaszczyca mnie korespondencją również i Cesarz, ten właśnie Jan Witold I, który co pewien czas nadsyła mi manifesty, instrukcje, pouczenia — i nawet groźby. W wielu tych pismach początkowe zdania brzmią mniej więcej tak, jak w wypowie-

dzi angielskiego pisarza Chr. Logue'a: „Panowie (Cesarz zwracając się do mnie ma na myśli „Znak", cały Sejm, tudzież Władysława Gomułkę) — Panowie, nie ma co dłużej taić, jest źle".

Dopiero po chwili lektury przekonałem się, że materiały nadesłane mi pochodzą nie od Cesarza Jana Witolda I, lecz od redakcji „Znaku" i że zawierają one wypowiedzi anglosaskich pisarzy na temat *Losu książki*. Czytałem te materiały z niejakim rozbawieniem, ale także z zadumą. Naturalnie nie zgadzam się prawie z żadną z tych wypowiedzi. Muszę wyznać i to, że nie razi mnie bynajmniej żartobliwy i dowcipny ton niektórych pisarzy, bo rozumiem doskonale, że o tych sprawach można mówić tak, jak oni, ale można także mówić z patosem, można je poprzeć argumentacją naukową, lub filozoficzno-ideologiczną.

Niedawno krytyk szwajcarski, W. Muschg, ogłosił wstrząsający *essay* o literaturze niemieckiej. Pisał, że tak się wyrażę, krwią i bólem. Ten *essay* Muschga był drukowany w jednym z tegorocznych numerów „Twórczości" i nie wiem, czy został należycie oceniony przez naszą krytykę. Ostateczny sens Muschga był zbliżony do pewnych wypowiedzi anglosaskich pisarzy. Zbliżony, lecz nie identyczny.

Problem poruszony w dodatku literackim „Timesa" istnieje, a ponieważ istnieje naprawdę, jest więc czymś żywym i niepokojącym. Dlatego korzystam z zaproszenia przez redakcję „Znaku" i chcę powiedzieć, co myślę o „losie książki" — i bokiem: co myślę o losie sztuki.

Niech mi będzie wolno napisać o tej sprawie w sposób bezpośredni i subiektywny, bez głębszej motywacji sądów — tak, jak to uczynili anglosascy pisarze.

2

W sierpniu ub. r. odbywało się w Wenecji spotkanie Wschód-Zachód w ramach dorocznego Kongresu Europejskiego Towarzystwa Kultury. Byłem uczestnikiem tego Kongresu, o czym pisałem w 12-ym numerze „Twórczości". Zwiedzaliśmy wówczas gromadnie i indywidualnie wystawę sztuki współczesnej na Biennale. Oglądaliśmy rzeczy dziwne, zwłaszcza z zakresu rzeźby. Oto deska pomalowana na szaro, a na niej trzy dziury, oto pęk drutów z zawieszonymi gwoździami, kawał blachy wygiętej z rurą, trzy szyby, ustawione pod kątem — i w ogóle: żelastwo, szkło, plastik, guma. Nie należy dopytywać o znaczenie tych rzeźb, o ich sens i jaki taki punkt odniesienia do ludzkiej wyobraźni. Właśnie rzeźby na Biennale, a także niektóre sale malarstwa stały się powodem, że

uczestnicy Kongresu mówili o kryzysie sztuki. Nie tylko o kryzysie, lecz o upadku sztuki. Chociaż patrzyłem obojętnie i z pewnym zażenowaniem na wystawę nowoczesnej rzeźby, nie podzielałem sądu uczestników Kongresu, że te rzeczy świadczą o upadku sztuki, lub co najmniej o kryzysie sztuki. W rzeźbach oglądanych dostrzegałem jeden poważny walor: możliwości, jakie nastręcza nowy materiał w postaci dotąd niewykorzystanej, więc żelazo i szkło. Dotychczas królował marmur, glina, gips lub drzewo. Może jednak, jeżeli nie dziś, to kiedyś — powstanie arcydzieło ze szkła, lub żelaza? Aby do tego dojść, trzeba przebyć czyściec dziwactw, prób, poszukiwań, słowem: eksperymentu.

Nasza niecierpliwość osądza często zbyt pochopnie to, co w sztuce jest odwagą nowatorstwa. Jestem dobrej myśli o przyszłości rzeźby, o czym przekonała mnie naocznie międzynarodowa wystawa w Paryżu dwa lata temu, którą urządzono w obrębie muzeum Rodina. Pomysł, by tam wystawić najskrajniejsze próby nowoczesnej rzeźby, uważam za bardzo szczęśliwy, bo dopiero na podstawie porównania z Rodinem widziało się różnice epoki i stylu, widziało się twórczy wysiłek i uderzającą dynamikę artystycznego rozwoju. Więc gdzież upadek sztuki? To tylko nasze upodobania ponoszą klęski.

Na weneckim Kongresie ubiegłego lata mówiło się także w referatach i w prywatnych rozmowach o upadku, względnie o kryzysie literatury. Chodziło o powieść, o ten nieszczęsny i nieczysty gatunek iteratury, nastręczający krytykom i samym pisarzom wiele niepokoju. Wysuwano podobne kwestie co te, które znajdujemy w dodatku literackim „Timesa".

Powieść jest gatunkiem nowym i jej żywot nie jest tak sędziwy, jak żywot poezji, która wzrastała równocześnie z dziejami i kulturą ludzkości. Wydaje się, że od samego początku powieść była źle urodzonym dzieckiem literatury, a nawet według zdania niektórych była jak gdyby dzieckiem nieprawym, niewiadomego pochodzenia. Mam oczywiście na myśli powieść nowoczesną, tę od Walter Scotta, nie zaś powieściowe poematy, lub epikę wierszowaną, bo w takim razie musielibyśmy o ojcostwo tak pojętej powieści posądzać Homera. Powieść od początków swoich narodzin gorszyła dogmatyków poezji, czułych na ścisłe zasady estetyczne. Gorszyła też poetów i gorszy po dziś dzień. Było by rzeczą ciekawą prześledzić, co myśleli o powieści, zwłaszcza w fazie jej rozwoju w pierwszej połowie XIX wieku, różni wybitni poeci? Czy nie załamywali rąk nad upadkiem dobrego smaku, nad upadkiem poczytności poezji, tak jak czynią to dziś pisarze anglosascy w dodatku literackim „Timesa"?

Że takie głosy musiały być, dowodzi mi pewna książeczka, poświęcona zasadom wymowy, wydana w Wilnie u Zawadzkiego w połowie minionego stulecia, w której jest rozdział: „O szkodliwości czytania romansów". Żałuję, że nie mogę znaleźć tej książeczki w swojej bibliotece, bo gdzieś mi się zawieruszyła. Nieraz bawiłem swoich przyjaciół cytatami pełnymi zgrozy i oburzenia z powodu upadku wzniosłej poezji starożytnej, wypartej jakoby przez romanse niejakiego Jerzego Sand i niejakiej baronowej Krüdener.

Nie trzeba sięgać aż czasów tak odległych, by posłużyć się argumentami, że powieść od swoich początków była stale przedmiotem ataków i niepochlebnych opinii. Wystarczy przypomnieć sobie złowróżbne przepowiednie dotyczące sztuki w ogóle, kiedy upowszechniał się film. To właśnie ta X muza miała wyprzeć i teatr, i literaturę, i muzykę, i plastykę — w ogóle wszystko, co wykwintne, co wymaga znawstwa i wysiłku intelektualnego co jest wyrazem kultury. Tymczasem cóż to się stało z filmem na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat? Z kolei film czuje się zagrożony przez telewizję... A teatr? Wielki krytyk francuski, legendarny Francisque Sarcey, przytacza w jednym ze swoich rozkosznych artykułów, że o kryzysie teatru według jego obliczeń mówi się we Francji już od początków XVII wieku. Dodajmy od siebie: mówi się o tym do dziś.

Ale wróćmy do powieści.

W dwudziestoleciu zaatakował u nas powieść, jako gatunek literacki, Stanisław Ignacy Witkiewicz, porównując powieść do worka, w którym się wszystko mieści. A jeżeli mieści się wszystko, wtedy nie mą co mówić o powieści, jako dziedzinie sztuki. I naśmiewając się z owego worka ze wszelkimi nieczystościami siadł i napisał dwie powieści na dowód, że każdy może napisać powieść. Stało się tak, że powieść zemściła się na swoim wrogu w sposób heroiczny i szlachetny. Bo oto Witkacy niebaczny w swej genialnej inspiracji nie tylko napisał dwie doskonałe powieści, ale stał się przez nie (co prawda, nie tylko przez nie) prekursorem europejskiego egzystencjalizmu! Widocznie w Witkacym powieść leżała od dawna, jako możliwość wyrazu artystycznego, chociaż uważał się najpierw za filozofa, później za dramaturga. I oto — o ironio! — autor wypowiedzi, że powieść nie jest i nie może być dziełem sztuki, stał się w swojej epoce najciekawszym powieściopisarzem, który gatunek powieści odświeżył i wyniósł go wysoko.

Ostanio znakomity poeta Julian Przyboś raczył obrzucić powieść inwektywami, srożąc się na ten nieczysty gatunek literacki. Przyboś także obwieszcza koniec powieści, o czym powiada z właściwą sobie surowością teoretyka poezji. Tymczasem to nieprawe,

źle urodzone dziecię literatury na przekór swoim potwarcom zrobiło świetną karierę. Niech powiedzą o tym takie nazwiska, jak: Walter Scott, Balzac, Stendhal, Flaubert, Dostojewski, Tołstoj, Sigrida Undset, Conrad i u szczytu (dotychczas u szczytu!) wielki Tomasz Mann!

I pomyśleć, że to nieszczęsne dziecię literatury ma zaledwie z okładem sto pięćdziesiąt lat. Dlaczego się łamie ręce nad niemowlęciem i woła, że ono umiera, lub, że powinno umrzeć, bo jest niepotrzebne?

3

Kassandryczny ton pisarzy anglosaskich, przybrany w dowcipną szatę słowną, wynika z kilku fałszywych założeń. Najpierw kryzys czytelnictwa, czy też kryzys pisarstwa w Wielkiej Brytanii, lub Stanach Zjednoczonych nie jest miarodajny dla kryzysu literatury w świecie. Nie jest miarodajny dlatego, że literatura anglosaska jest wtórna i drugorzędna. Od wieków bowiem inspiracją w sztuce w ogóle, a w sztuce słowa w szczególności jest Francja. Literatura angielska, druga co do swej doniosłości w świecie nie była nigdy awangardą, bo awangardą była i jest prawdziwie wielka literatura francuska, osiadła w wielowiekowej tradycji. Francja jest ciągle naszą Grecją, zwłaszcza teraz współcześnie, w epoce pomiędzy wojnami i po wojnie ostatniej. W Ameryce powieść dopiero się rodzi, zależna i uległa od Francji i Anglii.

Nie chcę nikogo zjednywać dla swojej opnii, wyrażam tylko przekonanie osobiste.

W dodatku literackim „Timesa" piszą o losie książki pisarze starszego pokolenia, zmęczeni i zniechęceni. A także znudzeni. Znudzeni cywilizacją, jej luksusem, jej natarczywą ingerencją we wszystko, co mogłoby być trudem i niewygodą życia. Nie dziwię się, że w takich warunkach tęskni się za lepianką, lub za kawałkiem spleśniałego, razowego chleba. Ale pisarze anglosascy, ci z „Timesa", ludzie starsi i zmęczeni, mówią zbyt lekkomyślnie o złym losie literatury, tak jakby na nich miała się ona naprawdę skończyć.

Tymczasem przychodzą młodzi. Nie tylko przychodzą — już są. Jeszcze nie dosięgło ich zmęczenie i nie dosięgła ich nuda. Chcą swego udziału w życiu. Niesie ich pasja, zasila ich bunt, utwierdza ich w życiu siła przeczenia. Nowe pokolenie jest zawsze bezwzględne, barbarzyńskie i tym samym brutalne. W ich piersiach mieszczą się siły na zamiary. Oni nie wierzą ani w upadek sztuki, ani w kryzys sztuki. Ponieważ są młodzi, przechodzą ponad problemami wieku dojrzałego i chcą chłonąć, by wyrażać. Sztuka jest

właśnie głodem i nienasyceniem wyrażania i dopóki będą rodzili się ludzie, już od kolebki nieznośni, dziwaczni, przekorni, leniwi, naznaczeni piętnem, lub, jak kto woli, stygmatem talentu — dopóty zjawisko tak zwanego kryzysu jest tylko chwilową próżnią, którą prędko wypełnią inni, nowi, dotąd nieznani. Są tacy już we Francji, zawsze we Francji, w naszej Grecji.

W wypowiedziach anglosaskich pisarzy jest jedna kwestia, która nie wynika z fałszywych założeń — to wspólna nam wszystkim obawa, którą niesie bomba atomowa, zaiste chlubne dzieło naszej sputnikowej epoki. Ale jeśli o to idzie — przywołajmy najlepiej milczenie.

Natomiast obawa, że rozwój techniki przyniesie zagładę sztuki, wydaje się być z gruntu powierzchowna i fałszywa. Głodu humanistyki nic nie zdoła zagłuszyć. Nie wierzę też temu, co mówi Pryce Jones, że sprawy etyki i metafizyki nikogo już dziś nie obchodzą. To tylko pozór i sąd powierzchowny. Być może, dotychczasowe środki i sposoby mówienia o tych sprawach są zwietrzałe, mdłe, nijakie, nie trafiające do współczesnego człowieka. Jeżeli było by tak ze społeczeństwem angielskim, jak o tym mówi Pryce Jones, no to, rzeczywiście, ręce łamać z rozpaczy. Ale myślę, że bardziej myli się Pryce Jones, znając swój kraj, niż ja, znając go bardzo mało.

Mam inną wizję przyszłej epoki, kiedy człowiek, zastąpiony przez mózg elektronowy, będzie miał czas. Będzie miał czas i musi coś z tym czasem zrobić. Zagadnienie wykorzystania tego czasu będzie jednym z najpoważniejszych zagadnień przyszłej epoki. Myślę też na podstawie logicznego wnioskowania, że wówczas to człowiek będzie zajmował się artystycznym rzemiosłem, filozofią, religią — nade wszystko sztuką. Więc i literaturą, więc także powieścią. Kto wie, czy rozwój techniki w ogóle nie prowadzi nas do prawdziwej pełni człowieczeństwa, do rozwoju życia moralnego i umysłowego?

Zdaję sobie sprawę, że w moim profetyzmie jest wiele uproszczeń. Przewiduję także pewne doraźne katastrofy, jeśli idzie o humanistykę w ogóle. Ale już dzisiaj pojawiają się głosy, domagające się, by w wykształceniu politechnicznym, aktualnym na przykład u nas, przewidywać jeśli nie równorzędne, to jakieś przynajmniej znaczne miejsce dla „bezpożytecznych" humaniorów. Chodzi przecież o równowagę zarówno w człowieku, jak i w kulturze. Doświadczenie uczy, że technicy nie są tak całkowicie wyprani z potrzeb życia intelektualnego i duchowego. Zgódźmy się na tę rewelację, że technicy to także ludzie i że nic co ludzkie nie jest im obce. Nowa dzisiejsza inteligencja w Polsce to ludzie o wykształ-

ceniu politechnicznym. I to oni czytają nasze powieści, nasze filozoficzne dysertacje, chodzą do kin i teatrów, sięgają nieraz do tomików poezji, słowem — to oni utrzymują stan naszego czytelnictwa i naszej kultury w ogóle. A wiadomo, że nie mają czasu — i wiadomo, że nie mają mieszkań!

Rozwój techniki wyższego rzędu, o czym poucza cybernetyka, jest jeszcze w powijakach i jej społeczne konsekwencje są bardzo od nas odległe. Wolno jednak snuć przewidywania, że ta nieznana nam w pełni epoka nowych ludzkich stosunków zastanie nas uzbrojonych w oręż humanistyki, która pozwoli rozróżnić, co dla człowieka dobre, co złe. Naturalnie pod warunkiem, że ludzkość pozostanie przy zdrowych zmysłach i nie oszaleje z powodu zimnej wojny i wojny psychologicznej. I jeszcze pod innym warunkiem, że ludzkości nie zagraża powszechna schizofrenia, jak o tym niedawno pouczał mnie pewien profesor psychiatra po swoim powrocie z Ameryki.

4

Rozdział „Temat" jest omówiony przez pisarzy angielskich w sposób efektowny i dowcipny. Doceniam w pełni wynalazczą metaforę „ogonka" na wyrażenie biernej i zależnej postawy współczesnego człowieka. Ale jak każda metafora — i ta także niesie tylko błysk prawdy, coś szczegółowego, co uderza w oczy i co natarczywie domaga się uogólnienia. Zdaje się, że postawa „ogonka" jest charakterystyczna dla współczesnego świata, ale na Boga, ogonek ma to do siebie, że się zmniejsza i w końcu znika. Ogonek jest zawsze zjawiskiem złej koniunktury, która nie trwa wiecznie i która w obrębie nawet swojej *baisse*'y zna różne wahania. Jeżeli jednak postawa „ogonka" jest charakterystyczna dla współczesnego człowieka, to w równym stopniu jest charakterystyczna postawa „czekania na Godota", lub postawa *La Strady*. Osobiście nie wierzę, by którakolwiek z tych postaw miała nas, ludzkość współczesną, w pełni wyrażać.

Chodzi jednak o bohatera powieści. Byłby to osobny i duży temat do przemyśleń, na co nie ma tu miejsca. Mogę tylko w sprawie postawy ‚ogonka" wypowiedzieć swój sceptycyzm. Tak samo doceniam trafność sformułowania, że „artysta wysuwa naprzód tę nogę, którą ma kulawą" z obawy, by w sercach czytelników nie wzbudzić zazdrości.

Dotykamy tutaj problemu „czarnej literatury", która ostatnio staje się polem ostrych ataków, przypuszczanych z różnych pozycji. Czarna literatura, jeżeli staje się modą, ociera się o szmirę, co łatwo rozpoznać. Natomiast zjawiska zła, tragizmu, śmierci, krzywdy,

ceniu politechnicznym. I to oni czytają nasze powieści, nasze filozoficzne dysertacje, chodzą do kin i teatrów, sięgają nieraz do tomików poezji, słowem — to oni utrzymują stan naszego czytelnictwa i naszej kultury w ogóle. A wiadomo, że nie mają czasu — i wiadomo, że nie mają mieszkań!

Rozwój techniki wyższego rzędu, o czym poucza cybernetyka, jest jeszcze w powijakach i jej społeczne konsekwencje są bardzo od nas odległe. Wolno jednak snuć przewidywania, że ta nieznana nam w pełni epoka nowych ludzkich stosunków zastanie nas uzbrojonych w oręż humanistyki, która pozwoli rozróżnić, co dla człowieka dobre, co złe. Naturalnie pod warunkiem, że ludzkość pozostanie przy zdrowych zmysłach i nie oszaleje z powodu zimnej wojny i wojny psychologicznej. I jeszcze pod innym warunkiem, że ludzkości nie zagraża powszechna schizofrenia, jak o tym niedawno pouczał mnie pewien profesor psychiatra po swoim powrocie z Ameryki.

4

Rozdział „Temat" jest omówiony przez pisarzy angielskich w sposób efektowny i dowcipny. Doceniam w pełni wynalazczą metaforę „ogonka" na wyrażenie biernej i zależnej postawy współczesnego człowieka. Ale jak każda metafora — i ta także niesie tylko błysk prawdy, coś szczegółowego, co uderza w oczy i co natarczywie domaga się uogólnienia. Zdaje się, że postawa „ogonka" jest charakterystyczna dla współczesnego świata, ale na Boga, ogonek ma to do siebie, że się zmniejsza i w końcu znika. Ogonek jest zawsze zjawiskiem złej koniunktury, która nie trwa wiecznie i która w obrębie nawet swojej *baisse*'y zna różne wahania. Jeżeli jednak postawa „ogonka" jest charakterystyczna dla współczesnego człowieka, to w równym stopniu jest charakterystyczna postawa „czekania na Godota", lub postawa *La Strady*. Osobiście nie wierzę, by którakolwiek z tych postaw miała nas, ludzkość współczesną, w pełni wyrażać.

Chodzi jednak o bohatera powieści. Byłby to osobny i duży temat do przemyśleń, na co nie ma tu miejsca. Mogę tylko w sprawie postawy ‚ogonka" wypowiedzieć swój sceptycyzm. Tak samo doceniam trafność sformułowania, że „artysta wysuwa naprzód tę nogę, którą ma kulawą" z obawy, by w sercach czytelników nie wzbudzić zazdrości.

Dotykamy tutaj problemu ‚,czarnej literatury", która ostatnio staje się polem ostrych ataków, przypuszczanych z różnych pozycji. Czarna literatura, jeżeli staje się modą, ociera się o szmirę, co łatwo rozpoznać. Natomiast zjawiska zła, tragizmu, śmierci, krzywdy,

niesprawiedliwości, bólu i cierpienia są od wieków pokarmem sztuki. Na tych zjawiskach, w jakiś sposób rozświetlonych i przezwyciężonych, opiera się sztuka wielka, humanistyczna, w pełni prawdziwa, bo zachowująca równowagę pomiędzy złem a dobrem, pomiędzy ziemią a niebem.

Skrót „czarna literatura" odnieść należy do literatury płytkiej, powierzchownej, widzącej tylko w życiu i człowieku, a także w metafizycznych podstawach bytu ową „kulawą nogę".

W różnych miejscach interesujących uwag pisarzy angielskich przewija się też i ta myśl, że na skutek specjalizacji nauki pewne tematy z tej dziedziny, dawniej w powieściach rozwijane, dziś nastręczają wielkie trudności. Polegają one na tym, że pisarz musiałby zgłębić tę dziedzinę nauki, której choćby cząstkę pragnąłby czytelnikom przekazać, z drugiej strony czytelnik jakoby stroni od tego rodzaju literatury naładowanej scjentyzmem i problemami intelektualnymi. Doświadczenia wielkich pisarzy uczą, że właśnie kwestie naukowe i kwestie intelektualne w powieści często zyskują z tego powodu, że są wyrażone językiem artystycznym, innym wszakże niż język dyskursywny. I równocześnie powieść także zyskuje przez zasilenie się nowym elementem strukturalnym i nowym materiałem artystycznym. Któż nie pamięta czarownych rozdziałów o architekturze, lub o muzyce w powieści Prousta? Któż nade wszystko nie pamięta traktatów teologiczno-moralnych w *Czarodziejskiej górze* Manna — opisów anatomicznych lub rozważań o czasie? A *Doktor Faustus* czyż nie jest wielkim kompendium wiedzy o muzyce? Oczywiście, mówiąc o przedstawieniu nauki w powieści mamy na myśli zawsze ten warunek, że owo „przedstawienie" będzie wtopione w organizm dzieła sztuki tą samą tkanką artystyczną, z jakiej zbudowany jest cały utwór. Nie będzie wówczas zjawiska grochu z kapustą, co wyśmiewał u nas Witkacy, bo żywioł intelektualny w każdym dziele sztuki nie istnieje osobno i niezależnie lecz łącznie, powiązany z całością spraw ludzkich, o których to dzieło mówi.

Tyle migawkowo o temacie. Dodam jeszcze nawiasowo, że pewne tematy dewaluuje samo życie, zwłaszcza układ stosunków społecznych. U nas na przykład byłaby niemożliwa do napisania powieść współczesna, dziejąca się dziś na temat pieniądza, ludzi bogatych, środowisk ziemiańsko-arystokratycznych. Przypomnijmy sobie, że cały Balzac wyrósł z piekielnych machinacji pieniądza i jego skutków obyczajowych i moralno-psychologicznych. Większość literatury średniego poziomu była inspirowana w świecie magią spadków i bogactw. A u naszego Fredry? Chyba wszystko obraca się dookoła pieniądza.

Jeżeli już o pieniądzu mowa, to rozdział „Rynek" jest groźnym socjologicznym obrazem sytuacji pisarzy i czytelnictwa w krajach po tamtej stronie mórz. Być może, że i Francja objęta jest tą samą chorobą. Pozwolę sobie na sceptyczną uwagę, że przykład Virginii Woolf jest przykładem gorzkiego losu pisarza, niezależnie od warunków społecznych i miejsca geograficznego na naszym globie.

5

Wracam do Wenecji, do niezapomnianych dni minionego lata, spędzonych w tym mieście ze snu na Kongresie Europejskiego Towarzystwa Kultury. Przytoczę odważne słowa wybitnego poety francuskiego, Georges Emmanuel Clanciera, który wśród katastroficznych głosów na temat literatury, sztuki w ogóle — odezwał się tak: „Myślę, że w epoce bomby wodorowej twórczość artystyczna nie zaginie, tak jak nie zaginęła w epoce dżumy, inkwizycji, wojen religijnych, w epoce wojen dziesięcio-, dwudziesto-, trzydziesto- i stuletnich. Warto więc, aby pisarze czy to ze Wschodu czy z Zachodu zastanowili się przez chwilę nad problemami twórczości artystycznej, zwłaszcza nad genezą powieści i nad genezą poezji".

Wydaje mi się, że nie do pisarzy należy zbadanie politycznych lub socjologicznych przyczyn zamętu współczesnego świata. Do nich należy twórczość, nawet wtedy, kiedy czasy są złe. Bo praca pisarza to nie żaden zawód, lecz powołanie, czyli coś z konieczności i determinacji, coś z tajemnicy której sensu nie znamy, ale której skutki społeczne są fenomenem tak zadziwiającym, że już u początku dziejów próbował o tym powiedzieć ważkie słowo Arystoteles. Sztuka? Może to tylko gorączkowe sny? Zmowa chorych dusz?

Niech nas pocieszy kilka zdań, wyjętych z książki Thornton Wildera, *Idy marcowe*, którą teraz czytam:

„Świat poety to bynajmniej nie wynik głębszego zrozumienia życia, lecz raczej tęsknot silniejszych, niż nasze. Poezja to język nie mający nic wspólnego z naszą codzienną mową, język stworzony dla opisywania rzeczywistości której nie ma i której nigdy nie będzie. A tak urocze są te widziadła, że wszyscy ludzie pragną uznać je za prawdę i ujrzeć samych siebie w zupełnie innym niż dotychczas świetle. Potwierdzeniem moich słów jest to, że nawet wtedy, kiedy poeci wylewają swoje żale na świat, kiedy opisują go w całej jego niedorzeczności, czynią to tak, że czytelnik czuje się ich poezją podniesiony na jakieś wyżyny, abowiem sposób, w jaki poeta potępia świat, zakłada istnienie lepszego i sprawiedliwszego porządku, w imię którego osądza się rzeczywistość i który zdaje się możliwy do osiągnięcia".

Jerzy Zawieyski

HANNA MALEWSKA

Na marginesie opinii powyżej przytoczonych, parę uwag, luźnych i nie pretendujących do jednolitego wątku — aby nie wpadać w wątki już tu naszkicowane, których tak wiele do wyboru.

*

Hemingway mówi (w *Zielonych wzgórzach Afryki*), że proza powieściowa daleka jest jeszcze od swego *optimum*. Laureat Nobla, wielki klasyk współczesności, dostrzega jakiś „czwarty wymiar prozy", niezmiernie jednak trudny do osiągnięcia, a to z powodu warunków, które największy nawet talent muszą wspierać. A łączą się z charakterem i życiem pisarza: z przezwyciężeniem wszelkich zasadzek, jakie dziś zwłaszcza stawia na niego zarówno sukces, jak chwilowa porażka, krytyka, publiczność, komercjalizm, a w tym wszystkim własna niedojrzałość i niewierność powołaniu życiowemu. W tej wypowiedzi dźwięczy piękny optymizm; ton wielkich epok, które ambicję twórczą łączyły z pokorą w obliczu sztuki i rzeczywistości. Hemingway nie wymawia się telewizją, kalkulacją wydawniczą, naciskiem politycznym, tylko stawia egzamin przed pisarzem.

Wynikałoby z tego, że tylko wielcy się dzisiaj ostoją na tak podmywanym z wielu stron terenie, jak powieść o aspiracjach twórczych; inaczej mówiąc utwór napisany dlatego, że w żadnej innej formie jego autor nie znajduje odpowiedniego dla siebie wyrazu (a więc powieść podjęłaby tu uzasadnienie, a zarazem ograniczenie wewnętrzne poezji; nie mogłaby być „workiem" na wszystko). A zarazem musiałaby zachować to, co należało zawsze do istoty powieści: charakter w dużej mierze społeczny i komunikatywny. Powieść musi być komunikatywna, jak film fabularny. Lecz film ma dzisiaj parę kwitnących stylów — nurtów, które niosą także niewielkie talenty w kierunku, jaki odpowiada zarówno klimatowi współczesnemu, a więc dostarcza odbiorców jak i pobudza dostatecznie pomysłowość realizatorów do własnych inowacji na terenie uznanym, ale nie całkiem wyeksplorowanym. Na tym właśnie polegała płodność wszelkich żywych stylów. Tymczasem w powieści panuje dziś nie zaufanie do kryteriów tylko zniechęcenie i zagubienie: poważni nawet twórcy nie śmią nieraz kontynuować i szukają z którego końca możnaby zacząć od nowa?

Cechą wielkich jest, że nie oglądając się na zgiełk, popłoch czy marazm, realizują siebie, bez wysiłku pozwalają sobie być sobą.

Ale ta sama swoboda, świeżość, choć opłacone zapewne większym wysiłkiem i pewną odwagą, wydają się być w dzisiejszej sytuacji ratunkiem także dla zgubionych i niepewnych, a więc tych mniejszego lotu. Realizować po prostu własne możliwości — nie ma się innych do dyspozycji — nie węsząc ciągle, skąd wiatr wieje; a zarazem ciągle próbować wykraczać poza siebie, to jest poza siebie dotychczasowego, nie wykorzystując własnej etykiety, czy własnej popularności, ryzykując. Dialektyka twórczości między tym, czym się jest, a tym czym się być może, nie straciła chyba i dziś aktualności.

Nie zamykamy oczu na fakt, że cała współczesna trudna sytuacja artystyczna i społeczna powieściopisarza determinuje w pewnej mierze czym on jest, a niekiedy go nawet unicestwia. Nie mylił się Hemingway twierdząc, że warunki realizowania prawdziwej literatury, nawet nie tej z „czwartego wymiaru" dotąd nie osiągniętego, wymagają charakteru, a nawet hartu. Przy czym życie ułatwione przez sukces handlowy czy państwowe stypendia bywa często niebezpieczniejsze dla pełnej realizacji, niż widoczne i oczywiste przeszkody.

*

Zdaje się, że w rozbitej, zatomizowanej epoce sztuka *par excellence* humanistyczna: powieść, ma do odegrania szczególną rolę. Grozi skrajna specjalizacja i zmechanizowanie wiedzy i życia: powieść „żywo narodzona" z istoty swojej przynosi jakąś choćby skromną, cząstkową humanistyczną syntezę. Sama metoda poznawcza sztuki — a jest taka — nie powinna zatracić się w doświadczeniu ludzkim, którego jest koniecznym składnikiem; a tym bardziej jej rola jako więzi międzyludzkiej. Gdy twarz człowieka znika nawet z nauk, które kiedyś zwano *humaniora,* a jeszcze w XVII wieku zaliczano je do *belles lettres* — esej i powieść intelektualna, socjologiczna, historyczna, psychologiczna w szerokim sensie, nawet po prostu powieść (która nie może się obejść bez człowieka) będzie — wierzyć wolno — dopływem tej życiowej wiedzy, dla której nie darmo wielu dawnych artystów nazywano mistrzami i mędrcami, choć nie posiadali doktoratów. Psychologia naukowa, historia, filozofia nie wywłaszczą moim zdaniem, powieści — przeciwnie, obwarowując się na pozycjach coraz bardziej specjalnych zostawiają szerokie i konieczne chyba pole prozie artystycznej.

To nie wszystko. Słyszy się naprzemian głosy o samotności i o depersonalizacji, upodobnieniu do tłumu, współczesnego człowieka. Jedne i drugie głosy niebezpodstawne.. Jako antidotum na jedno i drugie powieść utracić może swoje miejsce chyba tylko z własnej

winy, przez własną kapitulację. Jeśli usunie się sama z miejsca, które zajmowała i nadal powinna zajmować w kulturze; wtedy tylko ponieść może klęskę w walce konkurencyjnej z rozrywkami czysto biernymi (powieść do takich nie należy), z popularyzacją naukową, z przyspieszonym biegiem życia, ze standaryzacją ogólną.

Ale wtedy osoba ludzka i jej stosunki z innymi osobami ludzkimi, wejrzenie w innych ludzi, bez czego nie ma rozbudzenia wewnętrznego — ucierpią, bo gdzie indziej nie znajdują i nie znajdą chyba w sferze kultury równie pełnego odbicia.

A kto wie, czy nie literatura właśnie jest najbardziej powołana, by naszkicować nową syntezę cywilizacyjną w naszym rozbitym czasie i świecie?

*

Pisarz, by wypełnić swoje zadanie i zrealizować sam siebie, jest dziś zmuszony bronić się przed dwojaką groźbą i naciskiem. Z jednej strony przed wulgarnością i łatwizną gustów t. zw. masowego czytelnika, albo urzędowego mecenasa. Z drugiej strony przed własnym snobizmem, wpatrzonym w „wybrzydzających" się krytyków pewnego typu; przed „kawiarnią", giełdą fachową, która zapewnia go, że to i tamto już było, to i tamto jest zbyt prostoduszne i *vieux jeu*, a on sam jeśli nawet kiedyś był wart uwagi, dziś jest „skończony", lub będzie skończony najdalej jutro. Tak wysoka cena giełdowa na oryginalność, jak dzisiejsza, zabija właśnie oryginalność; tę prawdziwą, która jest odwagą bycia sobą, a zarazem — by użyć słowa Norwida — jest rzetelnością, sumiennością w obliczu źródeł. Kto chce być za wszelką cenę inny (i koniecznie elitarny) gubi siebie i zapiera się tych źródeł, które w nim — chce czy nie chce — są.

Nie tylko „wulgarny" Dickens i Balzac, „niechlujny w pisaniu" Dostojewski, ale nawet tak wyrafinowani pisarze naszego wieku, jak Proust czy Mann, nie oglądali się na giełdę literacką.

*

W Polsce czytelnik ma szczególne prawa do pisarza. Nie jest jeszcze odebrany książce przez telewizję, ani nawet przez kino, czy ilustrowany magazyn, szuka książki, lubi klasyków lepszych i gorszych. Jeżeli nie będziemy mieć prozaików współczesnych do głębi ludzkich, grających na ludzkich strunach, a zarazem odpornych na obie wymienione wyżej pokusy, utracimy tego czytelnika.

Pisarz nie jest tylko specjalistą swego rzemiosła, choćby był w nim najdoskonalszy i choćby był maniakiem, pasjonatem formy literackiej. Podstawą jego rzemiosła jest pewna wszechstronność, która cechowała humanistów wszystkich czasów. Dyletantyzm? Amatorstwo? Właśnie a m a t o r w wielkiej trupie czy ekipie realizatorów cywilizacji może stać się jej natchnieniem.

*

Lecz jednocześnie pisarz sam musi być wielkim, całożyciowym r e a l i z a t o r e m. Trud, często tragizm tego rzemiosła polega na tym, że im więcej się o nim wie, tym trudniej je realizować. Żadne określenie nie obejmie sztuki. Nie obejmie jej też definicja, że łączyć ona musi sąd z instynktem, wizję z czarną robotą. Ale też — pocieszyć się można — nie obejmie i nie zakończy żywej odrośli sztuki żaden przedwczesny nekrolog.

*

Z nekrologami i z wróżbami bywa dziwnie. Jeden z największych, a kto wie czy nie najsubtelniejszy z artystów prozy, jaki istniał — Platon — ubolewał w porywająco pięknym wyznaniu Sokratesa (a w istocie własnym), że s p i s y w a n i e myśli jest czymś bardzo poślednim w zestawieniu z głoszeniem ich, szczepieniem żywemu, zasłuchanemu gronu uczniów. Ot, zasiewa się pisanymi słowami jakby mały, prywatny ogródek wspomnień... Jakże się mylił i jak uczęszczany jest i będzie ten prywatny jego ogródek! Dziś mówi się, że żywe słowo wyprze lekturę, co by na to powiedział Platon? Zapewne nie czułby się dobrze przed telewizją. Dzisiaj uznałby zapewne, że o s o b i s t e, najbardziej osobiste w warunkach naszego świata, jest właśnie przekazywanie słowa przez książkę. A o to mu właśnie chodziło: o mowę człowieka do człowieka. Ale może to nie wszystko. Artysta, zasiewający ogródek wspomnień, pozornie robi to tylko dla siebie: a więc Artysta w Platonie był niezupełnie w zgodzie z filozofem. I tak jest rzeczywiście u większości chyba prawdziwych artystów: tworzą dla siebie przede wszystkim, to jest sam na sam z dziełem, realizacja, jakiej dzieło od nich żąda, to cel sam w sobie — potem dopiero się okazuje, że dzieło jest dla wielu, a może dla wszystkich.

*

Ten właśnie czysto wewnętrzny, pierwotny bodziec twórczy zabezpiecza w dużej mierze i przed naciskiem rynku i przed snobizmem kawiarni. Jeśli się eksperymentuje, to dlatego, że „ogródek", ten własny, tego wymaga (ogrodnicy też, jak wiadomo eksperymen-

tują, selekcjonują, odsiewają). Poza tym jest przecież nie tylko sąsiedztwo innych ogródków, ale wspólne słońce, klimat; oko i węch, które zawdzięczają tak wiele pokoleniu poprzedniemu, a jeszcze więcej własnemu. Wydaje mi się, że dzisiejsze pokolenie prozaików dobrze robi, jeśli hoduje „kunsztowną bylejakość", „odniechcenie" pełne treści, które wyselekcjonowali, każdy na całkiem odmienny sposób, lecz bynajmniej nie przypadkiem Lew Tołstoj i Dostojewski. Jeśli technika współczesna uczy nas funkcjonalizmu, jeśli styl prozy stara się być przezroczysty i niezauważalny. To chyba zdobycz, z którą nie warto się rozstawać dla hodowania jakichkolwiek secesyjnych czarnych róż. Film uczy skrótu, nauczył tego powieściopisarzy — film i dziennikarstwo — już dobre parę dziesiątków lat temu. Tak jak innego rodzaju skrótu i skromności uczyła się początkująca powieść przed dwoma wiekami od powściągliwej, dobrej rozmowy w salonach Oświecenia. Łączy się z tym konstrukcja — także możliwie nie narzucająca się, ale bardzo surowa, prawie matematyczna.

Iluż pisarzy walcząc z „konwencjami" — i zatracając przy tym te zdobycze — popada po prostu w nudę. Niesłychanie czasem modną, terroryzującą czytelników, aby przez nią przebrnęli, ale niemniej morderczą, niedopuszczalną nudę. Warto pamiętać, że narody wśród których zrodziła się przed wiekami powieść — Grecy przy wiosłach w dalekiej podróży, czy Arabowie na popasie pustynnym, zamknęliby z miejsca usta bajarzowi nudnemu.

*

Skrótowość prozy nie oznacza koniecznie krótkich powieści czy nowel, a stylizowane zdania Manna w *Lotcie w Weimarze* nie mają nic wspólnego z dziennikarstwem. Chodzi o ładunek, o t. zw. „gęstość", która nie powinna jednak być zaprzeczeniem lekkości i „odniechcenia". O tkankę prozy, jej „mięso", jak mówią niektórzy. Jeżeli powieść dobrowolnie ograniczyła się w wielu dziedzinach, to za to rozbudowała i pogłębiła swoją własną posesję, niezastąpioną chyba niczym.

Przed wojną, przypominam sobie, pasjonowała mnie i innych w *Czarodziejskiej górze* jej dialektyka myślowa. Gdy przeczytałam teraz znowu tę książkę, dialektyka okazała się zwietrzała (czy może raczej przeszła od tego czasu na własność powszechną). Natomiast d y s t a n s pisarski, wcielenie Tomasza Manna w zupełnie innego człowieka, w miarę typowego, a w miarę indywidualnego, w Hansa Castorpa; niedostrzegana przedtem, a czasem może prawie nieza-

mierzona ironia, z jaką pisarz traktuje tę osobę, patrząc cały czas jej oczyma — to się nie zestarzało. To pozostało. Nie jako recepta, czasem wolimy coś „prędszego". Ale jako jeden ze szczęśliwie wyhodowanych szczepów w ogródku.

*

Może wolimy dramatyczną samotność człowieka walczącego u Hemingway'a, Camusa, Greene'a, i ich surową, naładowaną osobistym życiem „prędkość". Ileż w nich przejrzystości, skrótu i dystansu, choć robi to każdy kompletnie na swój sposób. Ile w nich też „kształtności" — nie lubimy bezkształtności. Chyba że jest „chytra", zamierzona. Wtedy często szczęśliwie służy za narzędzie bezradności, zbiorowej samotności najmłodszego pokolenia.

Artyzm Hemingway'a, Camusa, Greene'a jest zarówno wytrawny jak dyskretny. Żaden chwyt, żaden „smak", żadna nowość techniczna nie stanowi o ich randze. Stanowi o niej przede wszystkim ładunek treści ludzkiej której mistrzowska przejrzystość konstrukcji i stylu pozwoliła w pełni przemówić.

Martwiliby mnie ci krytycy, którzy twierdzą, że to się „skończyło" (z chwilą kiedy się zaczął Michel Butor i Robbe-Grillet), gdyby nie mocne podejrzenie, że ci krytycy się mylą. Jak również oczywistość, że bez względu na gorliwych komentatorów i zapalonych teoretyków powieść, z której znikłby n a p r a w d ę i człowiek, jakim go znamy, i uogólnienie, które jest konstytutywną cechą człowieka (jakim go znamy) — taka powieść nie istnieje. Inaczej widząc świat, pisarz widzi go znowu po ludzku. Odcinając się od normalnych ludzkich odczuć czasem ulega pozorom, a czasem — rzadziej — tworzy, czy przyspiesza przyszłe ludzkie normalne odczucia. Jakże nas dziwi dzisiaj, że Virginia Woolf uchodziła kiedyś (i to niezbyt dawno) za skrajnie awangardową i elitarną pisarkę. W tym oczywiście jest pochwała awangardy, ale prawdziwej.

Doskonały artykuł S. Kisielewskiego (zamieszczony przed kilku miesiącami w „Tygodniku Powszechnym") ukazuje jak zrozumiałe, jak prawie naturalne stały się dla wielkiej części naszego pokolenia — wizje Kafki.

Selekcja, tak ogrodnicza jak i pisarska, jest czynnością pozytywną. Dobieraniem, krzyżowaniem rzeczy najlepszych i szukaniem jeszcze lepszych. Szukaniem w sobie, w życiu, konfrontacją z dorobkiem kulturalnym; czasem bywa to tak spontaniczne, że nie wydaje się żadną selekcją, może nawet nią nie jest. Ale to pewna, że żyją w sztuce rzeczy żywe, a nie wykombinowane na zasadzie, że „tego

jeszcze nie było". Ani rozsypane dlatego, że spoiwo mogło by być jakąś „konwencją". Rozsypanie i wykombinowanie rodzą nudę.

*

Przeintelektualizowanie, zblazowanie kulturą rodzi sceptycyzm w stosunku do poznawczych (swoiście poznawczych oczywiście) funkcji literatury. Jest to odwrotność „naiwnego realizmu" mało wyrobionych czytelników. Ale pisarz idący spokojnie własną drogą nie kłopocze się ani o jedno ani o drugie. Jest człowiekiem i jest artystą; wyrażając siebie i świat, jakim go dostrzega, apeluje tym samym do człowieczeństwa, do prawdziwego realizmu oraz do zmysłu estetycznego, który może być uśpiony, ale istnieje u ogółu innych ludzi.

*

Nagromadziło mi się tych uwag aż za wiele, ale niech to także wejdzie w obręb odpowiedzi, czy uważam beletrystykę za usychającą z braku problemów, środków wyrazu, czy też zapotrzebowania ludzkiego, gałąź twórczości. Oczywiście jest też mnóstwo powieści niepotrzebnych. Nie czytamy ich. Oczywiście też niejeden pisarz namyśla się dziś gruntowniej niż kiedykolwiek, by nie napisać powieści niepotrzebnej. Ale taki namysł jeszcze nikomu nigdy nie zaszkodził.

Hanna Malewska

ZENON SZPOTAŃSKI

SENS HISZPAŃSKIEJ TYRADY

Nie ma większego przeciwieństwa jak Cervantes i Dickens, a jeśli to porównanie dla różnicy w hierarchii talentów razi, to można je zastąpić porównaniem epok: epokę Cervantesa z epoką Dickensa. Kiedy don Kichot spełniając swoje posłannictwo błędnego rycerza uwalnia prowadzonych na galery przestępców, a w chwilę później zostaje obsypany przez nich kamieniami, to groteskowa nieprzydatność społeczna jego czynu nie budzi w nim zwątpienia w jego słuszność. Jak sam mówi — patrzy on na nieszczęście, nie na winę. W czynie jego jest zresztą coś symbolicznego, w półtrzecia wieku po Cervantesie neapolitański arystokrata Pisacane wypuścił z więzień bandytów wzywając ich do walki o wolność Włoch, a gdy ci poszli na rabunek, zginął sam wraz z garstką towarzyszów. U Dickensa przeciwnie — gdy idzie o ocalenie od długoletnich ciężkich robót w Australii dziesięcioletniego chłopca, przyłapanego na próbie włamania, nie odbywa się bez wielkiego niepokoju, czy chłopiec nie jest zbyt zepsuty aby należało go ratować. A jednak prawdopodobne jest, że gdyby Dickens układał hierarchię cnót, litość znalazła by w niej wyższe miejsce, niż gdyby ją układał Cervantes czy don Kichot. Ale pomiędzy wiekiem don Kichota a wiekiem bohaterów Dickensa leży moralna rewolucja wieku XVIII. Abstrakcyjne cnoty, obce względom na pożytek społeczny, stały się ludziom nienawistne, gdyż ujrzano za nimi Inkwizycję hiszpańską, a wraz z nią tysiące innych pod różnymi nazwami występujących inkwizycji, które zabijały i prześladowały we wszystkich krajach Europy. Ujrzano tysiące ludzi usposobionych idealistycznie, jak don Kichot, a podejrzliwych i okrutnych jak bohaterowie Calderona. Świat się przeraził i symbolem zła stał się dla niego fanatyzm. Nastąpił zwrot ku realistycznemu sposobowi myślenia, a równocześnie w Anglii rozpoczęła się rewolucja przemysłowa. Ceniono wtedy egoizmy osobiste i grupowe upatrując w nich dźwignie ogólnego bogactwa i postępu. Dopiero kiedy przyszła kilkunastogodzinna praca dzieci w kopalniach, zsyłanie do Austra-

lii, wieszanie za kradzieże i włamania wygłodniałych wyrostków, zaczęto powoli rozumieć, że oparcie porządku społecznego na fundamencie żądzy zysku nie zawsze musi być czymś lepszym niż fanatyzm, choćby najdzikszy. Na razie jednak okrucieństwo ciche, zimne i wyrachowane odniosło swoje największe zwycięstwo nad okrucieństwem idealistycznym, teatralnym i namiętnym. A ponieważ terenem jego nie były oblepione tysiącami widzów miejsca straceń, lecz fabryki i kopalnie, a ofiarami jego nie byli umiejący się bronić piórem uczeni i pisarze, lecz analfabeci i dzieci analfabetów, więc triumfowało w poczuciu swojej bezgranicznej moralnej wyższości. Mówiąc innymi słowami: utylitaryzm odniósł zwycięstwo nad sposobem myślenia, który bardzo nieściśle możemy nazwać idealistycznym.

Podłożem, na którym powstał i rozwinął się utylitaryzm, była struktura intelektualna trzymająca się ściśle we wszystkich swoich dociekaniach faktów i lekceważąca wszystko, co wychodzi poza fakty. Dlatego w kraju, który wydał utylitarną etykę, powstał ten szczególny rodzaj zagadki rozwiązywalnej tylko przez ścisłą analizę faktów, jaką jest powieść kryminalna. Ale jakby wyglądał rodzaj literacki, który by był jej przeciwieństwem? Czy znajdziemy go również w ojczyźnie i w epoce Cervantesa? Jeżeli tak, będzie to dowodem, że nasze przeciwstawienie nie było samą tylko igraszką, ale opierało się na właściwościach należących do istoty rzeczy.

Rodzaj literacki będący przeciwieństwem powieści kryminalnej, musiałby — aby znajdować się na jednej z nią płaszczyźnie — zawierać przedstawienie zbrodni i musiałby wydobywać z narracji zagadnienie będące istotną treścią utworu. Nie mogło by nim być odkrycie winowajcy ani zbadanie okoliczności czynu. Wręcz przeciwnie, winowajca, sposób popełnienia zbrodni i okoliczności powinny by być dane z góry, zapytanie powino się odnosić do tego co w klasycznej powieści kryminalnej jest dane: do moralnej i prawnej oceny czynu. Otóż taka literatura istniała, a zbadanie form, którym dała początek, może nam dać odpowiedź, której szukamy. Na razie mówić będziemy o kwitnącej w pierwszych wiekach po Chr. w szkołach retorów rzymskich fikcyjnej wymowie sądowej, „deklamacji". Doszły do nas jej twory przypisywane Kwintylianowi i inne autentycznego już autorstwa Seneki starszego; rzecz ciekawa, że obaj byli z Hiszpanii. I w niej mamy dzieje zbrodni, z reguły najbardziej nieprawdopodobnej. Stan faktyczny jest w niej w większej części wypadków wyjaśniony na samym początku, w krótkim wstępie poprzedzającym właściwą deklamację, a jeżeli nawet — co się zdarza rzadko — osoba sprawcy lub interpretacja jego zamiarów jest wątpliwa, to i wtedy winę lub nie-

winność uzasadnia się niemal zawsze argumentami psychologicznymi, a nie dowodami rzeczowymi.

Najczęściej jednak wątpliwą jest tylko kwalifikacja czynu i tutaj otwiera się pole dla występów retora. Retora, nie sędziego, gdyż czy mamy jedną tylko mowę, czy dwie, w których sprawa przedstawiona jest z punktu widzenia obu spierających się stron — wyroku sędziego brak. To my jesteśmy jakby zaproszeni, aby ten wyrok wydać. Niekiedy będzie to tylko prosta formalność; słuszność jednej ze stron a niesłuszność drugiej jest rzeczą oczywistą, zaś deklamacja jest tylko popisem w obronie sprawy wygranej z góry, ale niekiedy sprawa jest mniej prosta. Zresztą charakter tej wymowy najlepiej będzie można poznać na przykładach.

Hetera litując się nad zakochanym w niej młodzieńcem dała mu napój, który miłość jego przemienił w nienawiść. Powodowany nienawiścią oskarża o otrucie. Napój odebrał mu nie tylko tę jedną miłość, ale samą zdolność kochania i życie jego straciło wszelki sens. A choć nienawidzi winowajczyni swojego nieszczęścia, to jednak nie może powiedzieć, że kochać ją przestał, skoro pozostała w nim tęsknota za straconą miłością i niemożliwe do spełnienia pragnienie jej powrotu. *„Nec amo, qui accusare possem, nec odi, qui amare mallem"* („ani kocham, skoro mogę oskarżać, ani nienawidzę, skoro wolałbym kochać"). *„Et ille, qui odit de amore, miser est"* („A kto nienawidzi z miłości, nieszczęśliwy jest"). Hetery broni adwokat. Tłumaczy, że uwolnienie młodzieńca od niedorzecznej miłości było czynem miłosierdzia i wzywa na niewdzięcznego kary bogów. „Nie prosimy o rozbicie okrętu, o choroby. Niech nędzarzem się stanie i niech wtedy znowu pokocha jaką nierządnicę i kochać niech nie przestanie".

Matce ukazywał się co noc duch zmarłego syna. Mąż sprowadził maga, który przez swoje zaklęcia zamknął zmarłemu drogę do świata żywych. Rozpaczliwa skarga matki jest tematem deklamacji: Postąpiłeś tak, jakby zmarły był nie pocieszycielem swej matki, ale złośliwym upiorem. *„Crudelissime omnium pater, de filio tuo malam umbram fecisti"* („Najokrutniejszy z ojców, z syna twojego zły cień uczyniłeś").

Słyszymy mowę syna apelującego do sądu od ojca, który go się wyrzekł — nie wzrósł on w domu ojca, nie wiedział nawet, kto jest jego ojcem. Ojciec jego przybrany wyznał mu przed śmiercią tajemnicę jego pochodzenia, żądając w zamian przysięgi, że poślubi jego córkę, a teraz i przysięga, i uczucie sprzeciwiają się woli ojca, zakazującego mu pod karą wydziedziczenia tego małżeństwa.

Ojciec raz po raz rozkazywał synowi, aby szedł na wyprawy wojenne. Syn bił się dzielnie, chociaż szedł z rozpaczą. Raz ojciec

zdybał go z trucizną w ręku i oskarżył o zamiar ojcobójstwa. Syn broni się, twierdząc, że chciał być jeno samobójcą.

Mamy tu wszędzie retorykę barwną i namiętną, ale nigdzie nie mamy więcej elementów narracji, niż koniecznie potrzeba do zrozumienia toczącej się przed sądem sprawy. Inaczej być nie może — gdyby gdziekolwiek tu było prawdziwe opowiadanie, uwaga czytelnika nie mogła by się skoncentrować wyłącznie na zagadnieniu — pojawiłyby się charaktery osób działających, wystąpiłyby nasze do nich uprzedzenia i sympatie, i stosunek nasz do konfliktu będącego przedmiotem opowiadania nie pozostałby idealnie obiektywny. Tego typu deklamacja w założeniu swoim miała pobudzić nie do sądzenia żywych ludzi prowadzących spory, ale do sądzenia samych sporów wziętych abstrakcyjnie. Takie założenie, jak w każdej dziedzinie życia tak i w sztuce, doprowadzić mogło tylko do porażki. Toteż mimo siły w sposobie wyrażenia uczuć cała ta twórczość choruje na ubóstwo wyobraźni tak głębokie, że gdyby nie kilka krótkich mocnych zdań, w których napięte emocje znajdują swój wyraz, pozostałaby tylko wielomówność zaledwie zasługująca na miano literatury. Przy wielu brakach sztuka może istnieć, ale przy niedostatku wyobraźni nie ma sztuki, toteż powieść kryminalna jako rodzaj literacki, mimo zwykle mniejszej dbałości o styi stoi nieskończenie wyżej od rzymskiej deklamacji. Ale aby z deklamacji tej zamiast wypracowania adwokackiego stworzyć sztukę, trzeba było tylko tchnienia wyobraźni i to tchnienie pojawiło się po półtora tysiącu lat w ojczyźnie Kwintyliana i Seneki. Powstała tyrada w dramacie hiszpańskim.

Nic bardziej od mowy sądowej nie było zastosowane do ducha tego dramatu, w którym konflikt rozstrzygany był zazwyczaj przez wyrok królewski. Wyrokiem króla zezwalającego na małżeństwo Rodryga z Chimeną kończy się hiszpański przecież, nie francuski w pomyśle i w przebiegu akcji *Cyd. Alkad z Zalamei* Calderona kończy się wyrokiem alkada skazującego na śmierć zbrodniarza i potwierdzeniem tego wyroku przez króla. Niekiedy interwencja nadprzyrodzona przynosi rozwiązanie dramatu, ale wtedy i ona ma zwykle charakter wyroku. W *Uwielbieniu krzyża* Calderona bohater obciążony tysiącznymi zbrodniami ginie wzywając przed śmiercią świętego pustelnika Alberta, z którego rąk pragnie otrzymać rozgrzeszenie. Albert zjawia się, a wskrzeszony bohater, wyspowiadawszy się, umiera powtórnie. W najstarszym opracowaniu legendy o don Juanie przez Tirso de Molinę wyrok zapada w obu światach, w tym i w tamtym. Już don Juan wyzionął ducha w uścisku zwiastującego mu karę bożą komandora, gdy w pałacu królewskim zjawiają się jeden po drugim ci, co zaznali od niego krzywdy, król

postanawia wydać wyrok śmierci i wtedy pojawia się sługa bohatera z wieścią o losie pana. Ale i w *Księciu niezłomnym* przynajmniej poboczna akcja dramatu, jaką jest miłość Muleja i Feniksany, znajduje swoje rozwiązanie w prośbie a właściwie w rozkazie króla Alfonsa, aby przez pamięć Fernanda „któremu Mulej był miły" Feniksana została oddana za żonę Mulejowi. A przecież cała treść *Księcia niezłomnego* jest jednym szeregiem problemów, w których bohaterowie szukają wyjścia zgodnego z sumieniem i honorem.

Wyrok władcy którym rozstrzygane są te sprawy, często jest spóźniony, nie mogący przywrócić życia tym, którzy zginęli, ani wynagrodzić krzywd, które wynagrodzone być nie mogą, ale przecież przywraca on w jakiś sposób ład moralny. Długie tyrady i pojedynki słowne stron słyszymy tutaj nieustannie. Tyrada jest daniem wyrazu namiętności w formie barwnej i kwiecistej, ozdobionej licznymi przenośniami. Niekiedy jest w niej samo tylko uczucie. Taka bywa wtedy, gdy cała jest rozpaczą i lamentem, jak skarga dziewczyny porzuconej przez kochanka w andaluzyjskich górach, ale często, będąc wylewem emocji, jest także wymagającym panowania nad sobą i chłodnej rozwagi popisem adwokackiej dialektyki. Ta sprzeczność, której zarodek znajdował się już w rzymskich sądowych deklamacjach, jest jedną z najsilniejszych dźwigni dramatyczności hiszpańskiego teatru. Pedro Crespo, który jest alkadem w Zalamei, błaga gwałciciela swojej córki, aby się żenił ze swoją ofiarą. W dziwnym dla nas egoizmie mówi przez cały czas nie o losie dziewczyny, ale tak jak mówią wszyscy u Calderona o swoim honorze. Mówi jak znaczna i szanowana we wsi i w okolicy jest jego rodzina, że jest bogaty a nikt przeciw niemu nie szemrze, że jest skromny, a nikt go nie znieważa, ofiarowuje cały swój majątek nie zostawiając nic dla siebie ani dla syna, wreszcie pada na kolana błagając o zmiłowanie. W odpowiedzi otrzymuje obelgi. Lżąc go kapitan, bo kapitanem jest złoczyńca, nie wie, a raczej nie rozumie tego (o czym Pedro Crespo na razie świadomie milczy), że życie jego jest w rękach alkada i że pastwienie się nad córką i nad jej ojcem będzie musiał przypłacić śmiercią. Ten kontrast między rzeczywistym położeniem względem siebie pokrzywdzonego i zbrodniarza a błagalną postawą pierwszego i obelżywą arogancją drugiego stanowi o dramatycznym napięciu tej sceny. Kontrasty między namiętnością a panowaniem nad sobą, między bezpośredniością i siłą retoryki a refleksją dialektyki, pojawiają się u Calderona ciągle, niekiedy w sposób rozpaczliwie smutny, jak w *Malarzu swojej hańby* (Serafina, która kocha don Alvara, na fałszywą wieść o jego śmierci wychodzi za innego, którego narzucił jej ojciec.

Ukochany wraca, Serafina wita go z rozpaczą, a gdy on zapytuje ją, czy wolałaby raczej aby nie żył, odpowiada, że wtedy mogłaby przynajmniej opłakiwać go nie znieważając swojego honoru. A jednak płacze i gdy Alvarowi wydaje się, że może wyczytać w tych łzach jakąś nadzieję, mówi mu, że ból każe jej przelewać je, kiedy wspomni, kim była, a honor wstrzymuje je, kiedy przypomni sobie, kim jest). Bo ta dialektyka jest dialektyką honoru i pytanie, co każe czynić honor, stoi nieustannie przed bohaterami Calderona. To co człowiek „dobrze urodzony" jest winien swojemu pochodzeniu, całe to dziwne połączenie namiętności z prawniczą kazuistyką, ma dla nich większą wagę niż nakazy wywodzące się z religii, czy choćby tylko prosty ludzki instynkt, wstrzymujący od okrucieństwa. Bo ten honor jest bóstwem okrutnym, w jego imię mąż Serafiny zabija żonę wraz z kochankiem, a bohater z innego dramatu Calderona, *Lekarz swojego honoru*, zabija na podstawie niesprawdzonych i niesłusznych podejrzeń swoją żonę donię Mencię; w obu wypadkach czyn ten spotyka się z zupełną aprobatą władcy. To poczucie honoru przy jakimkolwiek powodzie do podejrzenia reaguje nieufnością w stylu Inkwizycji, ale Inkwizycji przeniesionej w stosunki prywatne. Bohater dramatu *Nie zawsze najgorsze jest prawdą*, don Carlos, podejrzewając swoją ukochaną o zdradę na wszystkie jej usprawiedliwienia odpowiada, że „zawsze najgorsze jest prawdą". Przy tym jest to poczucie honoru skrajnie formalistyczne — subtelnościom ówczesnego kodeksu honorowego poświęcane są wszystkie względy ludzkie.

Ale — i tu leży najgłębsza wewnętrzna sprzeczność Calderona, a zarazem najgłębsze źródło uroku, jakie wywierają jego utwory — jest on przekonany, że „całe życie jest snem, a sny są snami". Zawsze byli ludzie, którzy sądzili rozumiejąc to w ten lub w inny sposób, że życie jest ułudą i snem. I zawsze było bez porównania więcej takich, którzy żyli w atmosferze wartości sztucznych, stworzonych przez społeczeństwo, ale dla człowieka samotnego nie istniejących. Calderon był może jedynym, który wartości konwencjonalne przeżywał w sposób tak intensywny, który konflikty na ich podłożu powstałe wprowadził do prawie wszystkich swoich dzieł i który jednocześnie tak głęboko odczuwał ich absolutną nicość. I w tym wypadku refleksja przeciwstawiała się namiętności.

Doszliśmy wreszcie do centralnego punktu naszych rozważań. Jeżeli przeciwieństwo pomiędzy retoryką a dialektyką doprowadziło do powstania pewnego artystycznego stylu, to musimy dążyć do tego, aby zdać sobie sprawę, na jakim gruncie powstała retoryka, a na jakim dialektyka, czy dwa te zjawiska zawsze występują

sprzęgnięte ze sobą, czy też zbiegły się w jakichś szczególnych okolicznościach, gdzie i kiedy mogło to nastąpić. Retoryka, bogactwo wysłowienia i liryczna rozlewność, rozsadzająca każdą oszczędniejszą w swoich środkach artystycznych formę, występowały zawsze w kulturze ludów Południa, co na obszarze naszej cywilizacji znaczy: w kulturze ludów śródziemnomorskich. Wszystkie te cechy mamy u Hebrajczyków i u Arabów, częste są u Indusów i Greków, w Europie nowożytnej do rozkwitu dochodzą w czasach baroku, z wpływem włoskim i hiszpańskim sięgają wprawdzie na północ, ale się tam nie zadomawiają. W plastyce i w architekturze spotykamy ich odpowiedniki w przesyceniu bujnością i bogactwem ornamentów świątyń induskich czy Alhambry. Zdaje się, że ten rodzaj sztuki nie może być odłączony od żywości południowców, od ich gestykulacji i sposobu mówienia. Zupełnie czym innym jest dialektyka. Jest ona tworem nie jakiegoś kręgu ras i ludów, ale epoki niezmiernie długotrwałej, w czasie której powstały i osiągnęły swój rozkwit filozofia grecka, prawo rzymskie i scholastyka, a na obszarach innych cywilizacji — aby wymienić to tylko, co pierwsze na myśl się nasuwa — poupaniszadowa filozofia hinduska i Talmud. Epoki, która zresztą w wieku XVII była już przeszłością i której ostatnim odblaskiem był klasyczny dramat hiszpański. Myślenie ludzi tych czasów polegało w o wiele wyższym stopniu niż nasze na analizie pojęć, a w o wiele niższym stopniu na analizie faktów. Zaczerpnijmy jeszcze jeden przykład z Calderona. Stary książę namawia do nauki swego hulaszczego syna, ale czyni to bez skutku. Wywiązuje się między nimi taki dialog: książę pyta, syn odpowiada:

Es amor voluntad? Di.
Voluntad es el amor.
No es potencia inferior
Del entendimiento? Si.

(„Czy miłość jest wolą? powiedz. Wolą jest miłość. Czy nie jest ona władzą niższą od umysłu? Tak". „ A więc gdy rozwiniesz swój umysł, to i kochać będziesz mocniej" — ciągnie dalej ojciec. „Ale to nie znaczy, że i kochany będę mocniej" — odcina się syn).

Przekonanie, że tak się rzeczy mają, mógł Calderon z całą pewnością osiągnąć na drodze doświadczenia. Ale gdy starał się je uzasadnić, za punkt wyjścia obrał nie doświadczenie, ale stosunek zachodzący między pojęciami.

Nic lepiej nie oddaje różnicy między epokami jak ewolucja, w wyniku której rolę jak gdyby pierwszego eksperta w sprawach życia społecznego z rąk prawnika przejął socjolog. Prawnik, zwłaszcza prawnik owych czasów, miał pewną ilość jasno wyrażonych

zasad, które zastosowywał do niezliczonej liczby okoliczności, jakie znajdował w życiu. Przedmiotem jego uwagi były instytucje, wspierające się na ujętych w pojęcia zasadach. Socjolog pracuje inaczej — on bada nie instytucje wzięte w oderwaniu, ale siły i przyzwyczajenia ludzkie, na których one się wspierają. Socjolog należy do świata nauki empirycznej, tak jak dawny prawnik należał do świata filozofii scholastycznej.

I teraz rozumiemy, że literatura analizująca czyny ludzkie z punktu widzenia ich zgodności z pojęciami musiała, przynajmniej na razie, ustąpić wobec literatury, dla której czyn jest przede wszystkim faktem i która bada związki jego z innymi faktami. Niech nas nie łudzi problematyka moralna dzisiejszej literatury — jeżeli pominiemy rzadkie wyjątki, przedmiotem jej nie są pojęcia moralne i ich subtelności wzięte w oderwaniu, ale najbardziej realny ze wszystkich faktów, fakt cierpienia i krzywdy ludzkiej.

Ale — i tu czas nam odpowiedzieć na pytanie, które postawiliśmy przed chwilą — czy te zmiany w sposobie myślenia epok musiały być równoczesne ze zwiększeniem się udziału w tworzeniu kultury narodów o temperamencie bardziej zimnym i wyobraźni artystycznej mniej bujnej? Czy w epoce dialektyki Południe, z ognistością swojej retoryki, nie było jakby stworzone do odgrywania pierwszej roli i czy ze zmianą ducha epoki nie musiało ustąpić miejsca innym? Chyba tak. Chyba gorąca uczuciowość i wyobraźnia mniej jest uzdolnioną do operowania na zimno faktami i wyłącznie faktami. Chyba, chociaż musimy to na razie pozostawić w rzędzie hipotez, poszczególne narody są mniej lub bardziej predestynowane do wybijania się na czoło w życiu umysłowym poszczególnych epok.

Ale co stało się ze stylem Południa, gdy przychylny mu klimat intelektualny się skończył? Przecież nie skończyły się narody, w których ten styl powstał. Być może, że odpowiedź znajdzie się dość blisko. Swoje „Południe" miała też i Polska. Tym z jej poetów, w którym duch jego żył najsilniej, był Słowacki. On też poezję Calderona przyjął jako pokrewną sobie, przejął się jej formą i przetworzył tę formę w swoich dramatach. Ale co naprawdę z Calderona wziął? Czy zakańczanie dramatu przez wyrok? Nie. Wprawdzie w *Samuelu Zborowskim* mamy scenę sądu zakończoną niedomówionym przez Chrystusa wyrokiem, ale rzecz dzieje się na innym planie. Czy Calderonowską dialektykę? Też nie. Ale wziął retorykę i liryzm tyrady. Te znajdziemy u niego we wszystkich jego najlepszych dramatach, bo nie tylko w Calderonowskich z formy, jak *Ksiądz Marek* i *Sen srebrny Salomei*, czy *Zawisza Czarny*, ale i w *Księciu twerskim* i w zupełnie nie calderonowskim *Królu Agisie*. A więc pozostało u Słowackiego to, co na Południu było zawsze,

ale nie to, co należało tylko do minionej już epoki. Mamy wreszcie (aby wymieniać tylko tych, którzy należą do największych) już w XX stuleciu Miguela de Unamuno. Retoryka? Jest jej aż za wiele w jego prozie. Przez jego poezje namiętności przelewają się, a jednocześnie jest to poezja refleksyjna, i to chyba wiąże go z tradycją poetycką jego ojczyzny. W jego erotykach jest refleksja, ale refleksja gwałtowna, namiętna i znowu — jak u Calderona — tym, co nadaje im jakiś egzotyczny urok, jest sprzężenie ze sobą dwóch tak niepodobnych do siebie żywiołów. Tak samo jest w jego poematach filozoficznych. Gdy zapytuje gwiazdę Aldebarana, czy wszechświat jest jedną wielką całością, której częściami składowymi są poszczególne systemy planetarne, czy też każdy ze światów gwiezdnych żyje sam dla siebie, to w sposobie, w jaki zadaje to pytanie, mamy raczej wszystko inne niż chłodną rozwagę myśliciela. Ten profesor filologii z Salamanki, jeden z nielicznych w czasach nowożytnych poetów, którzy talent poetycki łączyli z uzdolnieniem do pracy naukowej, zaskakuje nas pytaniem, czy gwiazdy kochają się ze sobą, czy komety przenoszą poselstwa miłości? Ta filozofia nie mogłaby być oddana prozą, nie przestając być sobą. Mamy tęsknotę i namiętność, i wiersz niekiedy przechodzi jak gdyby w arabskie zawodzenie:

Aldebaran
Aldebaran Aldebaran ardiente

I nigdy nie filozofuje Unamuno inaczej, jak pod działaniem bodźców uczuciowych. Kiedy na cmentarzu poległych za Francję napotyka napisy baskijskie, wtedy on, sam Bask i Hiszpan zarazem, dobywa z siebie jęk:

Por qué? Por qué? Jamás esta pregunta
terrible torturó vuestra inocencia;
nacisteis... nadie sabe
por qué ni para qué... ara la yunta,
y el campo que ara es toda su conciencia,
y canta y vuéla el ave...

(„Dlaczego? Dlaczego? Nigdy to pytanie straszliwe nie dręczyło waszej niewinności; urodziliście się... nikt nie wie na co, ani po co... orze zaprzęg wołów i pole, które orze, jest całą jego świadomością, i śpiewa, i lata ptak...").

Jakże daleko od tej uczuciowej obojętności (która zdaniem niektórych miałkich ludzi zapewnia jasność myśleniu) jest Unamuno wtedy, gdy jest najgłębiej filozofem.

I tak wszystkie elementy tej tak zakorzenionej formy pozostały na jej ojczystej ziemi.

Zenon Szpotański

JAN ZAJEWSKI

SPÓR O INTELIGENCJĘ

Max Scheler, usiłując dokonać filozoficznej interpretacji powszechnych zjawisk społecznych dowodził, iż w dziejach ludzkich kolejno dominowały: prymat krwi, prymat siły i prymat ekonomii. Ta ostatnia, tj. ekonomia, zrobiła w XIX i XX wieku ogromną karierę. Poglądy zaś Schelera kwalifikują się już do historii socjologii. Pamiętam, jeszcze niedawno każdy referat, nawet średniego urzędnika z powiatowej rady narodowej musiał mieć obowiązkowo optymistyczną część wstępną tzw. podłoże ekonomiczne w cyfrach. Rozważania o inteligencji również wymagają orientacji w problematyce ekonomicznej, chociaż zbędne są efekty teatralno-cyfrowe. Niestety, środowiska katolickie na ogół z chłodną rezerwą traktują problemy socjologiczno-ekonomiczne. Co więcej, narada przyjaciół i współpracowników „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku" utwierdziła mnie w przekonaniu, że wśród niektórych kół inteligencji o światopoglądzie chrześcijańskim występują określone tendencje do izolacjonizmu, do zamknięcia się we własnym getcie społeczno-kulturalnym. Naturalnie, że ten izolacjonizm pseudo-organicznikowski występował w ścisłej korelacji z pesymizmem i szermował hasłem trzeźwości i rozsądku. Ale na dnie tych obaw kryła się niewiara w możliwość konstruktywnego dialogu i tym samym pragnienie zejścia na margines, ślimacza aspiracja do zamknięcia się w obrębie jednej, pozornie monolitycznej grupy. Zapewne, wtedy świat jest znacznie łatwiejszy, prostszy. „Tam są czarni" — „tutaj biali" taka dychotomia zwalnia od myślenia, nic nie komplikuje, zabezpiecza przed szerszym i głębszym widzeniem rzeczywistości. Byłoby zarozumialstwem mniemanie, iż schematycy i dogmatycy są tylko wśród marksistów. Szczególnie zaś statyczne wydają mi się poglądy niektórych środowisk katolickich na kształtowanie się, rolę i funkcję inteligencji w Polsce powojennej. Gorzej, podejrzewam, iż niektórzy publicyści i działacze katoliccy mają bardzo mesjanistyczną lub wręcz „narodnicką" koncepcję inteligencji. Sądzą oni (nie dostrzegając głębokich zmian społeczno-ekonomicznych

wpływających siłą rzeczy na genealogię i świadomość inteligencji powojennej), iż wystarczy **tylko** utrwalać i pogłębiać chrześcijański pogląd na rzeczywistość wśród inteligencji, a ta „pójdzie w naród", niosąc z sobą chrześcijańską wizję świata. Może nie tak naiwnie sformułowane, ale w każdym razie takie koncepcje istnieją. Dzisiaj jednokierunkowy flirt z inteligencją, jako „przywódczynią narodu" jest już czymś więcej niż optymizmem bez miary, jest po prostu grubym anachronizmem. Toteż warto zapoznać się z ostatnią publikacją wybitnego polskiego socjologa prof. Chałasińskiego oraz z polemiką, jaka rozgorzała wokoło jego poglądów i wniosków.

Przypomnę, że Polski Instytut Literacki w Rzymie w r. 1947 wydał zbiór artykułów prof. Chałasińskiego oraz uwagi krytyczne J. Ulatowskiego pt. *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*. Obecnie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza opublikowała zbiór artykułów prof. Chałasińskiego pod tym samym tytułem [1]. Rozdział pierwszy pracy tworzy artykuł pt. *Inteligencja i naród*, przedrukowany z „Kultury i Społeczeństwa" nr 1/1958; rozdział drugi jest przedrukiem *Społecznej genealogii inteligencji polskiej* (1946); rozdział trzeci pt. *Zagadnienia historyczno-socjologicznej samowiedzy inteligencji polskiej*, przedruk z „Myśli Współczesnej", II/1946; rozdział czwarty pt. *Polska leży w Europie*, przedruk z „Odrodzenia" (1. XII. 1946).

Społeczna genealogia inteligencji — wywołała w 1946 żywą reakcję i polemikę. Wtedy publicystyka marksistowskiej „Kuźnicy" była młoda, prężna, bojowa, pełna rewolucyjnego uroku, przynajmniej dla pewnego odłamu inteligencji. Katolicy w kraju przeszli głęboką ewolucję intelektualną, wyłamywali się z własnego, sienkiewiczowskiego zaścianka (zarzewiem był ruch akademickiej grupy „Odrodzenie" w okresie dwudziestolecia), pełnymi garściami czerpiąc z krynicy chrześcijańskiej myśli europejskiej. Ale nie od razu to zauważono.

Praca prof. Chałasińskiego nie kokietowała ani marksistów, ani katolików, ani liberałów. Przeciwnie, jej treść naukowa jątrzyła zarówno marksistów, katolików, jak i liberałów. Żadne ze wspomnianych ugrupowań ideologicznych nie znalazło takiego wizerunku, takiego obrazu przeszłości, jakie pragnęłoby widzieć. To fakt, że prof. Chałasiński dysponował mniej więcej tym samym materiałem, co i jego poprzednicy, badający ten sam problem. Ale jego zasługą było postawienie nowych pytań i sformułowanie nowych, nie stereotypowych odpowiedzi. Na tym właśnie, między

---

[1] Józef **Chałasiński**, *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, Warszawa 1958, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

innymi, polega postęp w naukach humanistycznych. Każda epoka ma swoje własne problemy i pytania. Cóż dziwnego, że szuka ich genealogii w przeszłości! Wątpiących odsyłam do pracy prof. Kuli — *Rozważania o historii.*

Oto w najgrubszym skrócie tezy prof. Chałasińskiego: inteligencja polska kształtowała się w warunkach odmiennych niż inteligencja większości krajów Europy zachodniej. Złożyły się na nie brak politycznej niezawisłości i własnego, niepodległego państwa, poważne zacofanie ekonomiczne, liczne przeżytki feudalizmu, przewaga klasy szlachecko-ziemiańskiej w hierarchii społecznej, słabe mieszczaństwo, nikły i opóźniony przemysł, rozwijający się nierównomiernie, w poważnej mierze pozostający w rękach obcych kapitalistów, spauperyzowana i zacofana wieś. Do inteligencji zaliczali się wszyscy ludzie, posiadający przynajmniej średnie wykształcenie i wykonujący zawody pracowników umysłowych. Przy czym nie dokonała się w Polsce instytucjonalizacja kategorii zawodowych, ale nastąpiła instytucjonalizacja całej warstwy, rekrutującej się w XIX wieku przeważnie ze zubożałej szlachty, częściowo z elementów mieszczańskich. Warstwa ta wytworzyła swój własny styl życia, własne koncepcje o swoim powołaniu i o swoich funkcjach społecznych. Decydujące piętno na kształtowanie się inteligencji polskiej wycisnęła szlachta, nie zaś te klasy i grupy, które składają się na pojęcie „stanu trzeciego". „Strukturę inteligencji polskiej w sposób istotny określił fakt, że powstała ona z elementu szlachecko-ziemiańskiego w drodze społecznej degradacji, a nie społecznego awansu" (s. 80). Degradacja społeczna była konsekwencją degradacji ekonomicznej inteligencji, która „pozbawiona była pańszczyźnianego folwarku, jako ekonomicznej podstawy egzystencji" (s. 63). Cechą łączącą inteligencję było posiadane wykształcenie oraz swoista funkcja ideowo-polityczna: „w okresie porozbiorowym inteligencja była jedyną spadkobierczynią szlacheckiej idei państwowej, stanowiła »moralny« rząd narodu polskiego" (s. 62). Otóż ta inteligencja, która była ubocznym produktem przekształcenia się Polski szlachecko-ziemiańskiej w Polskę przemysłowo-kapitalistyczną, tworzyła w mieście izolowane od innych warstw społecznych g e t t a towarzyskie. Uwidaczniała się wyraźna tendencja utrzymania zamkniętej warstwy elitarnej, zabiegi o mecenat duchowy arystokracji, niechęć do popularyzowania nauki i kultury w masach: „inteligencja polska to był rodzaj arystokratycznej ambasady zachodnio-europejskiej kultury na dzikich polach chłopskiej, murzyńskiej Polski, »przedmurza chrześcijaństwa«" (s. 88).

Znamienna też była silna niechęć, oddziedziczona po szlachcie, do zawodów techniczno-ekonomicznych. „Czołową postać społeczno-

narodowego życia Polski drugiej połowy XIX w. stanowił powieściopisarz-literat, a nie inżynier-przedsiębiorca" (s. 68). Toteż inteligencja szlachecka nie była konstruktywnym elementem w rozwoju techniczno-ekonomicznym kraju. Duchowe oblicze getta szlachecko-inteligenckiego zostało ostatecznie skrystalizowane przez *Trylogię* Sienkiewicza [2]. „Genialnego romansopisarza szlachecko-inteligenckie getto uczyniło naczelnym filozofem-historiozofem Polski" (s. 104). Nic dziwnego, że końcowa ocena prof. Chałasińskiego była miażdżąca: „Inteligenckie getto to była ogromna siła reakcyjna, społeczna, pasożytująca na polskim życiu kulturalnym" (s. 106). Jakie postulaty wysuwał prof. Chałasiński pod adresem chwili bieżącej? Przede wszystkim domagał się, aby inteligencja zdawała sobie sprawę, iż „znajduje się niewątpliwie w zwrotnym punkcie swojej historii" (s. 44). Zwracał uwagę na niezwykłość i doniosłość naszej sytuacji w świecie powojennym, i to nie tylko dla nas samych, wołał o śmiały, szeroki kontakt z myślą naukową i dorobkiem kulturalnym całej ludzkości (s. 49). Wytykał, że do tych nowych, niezwykłych zadań, wobec których postawiła nas historia, nie są dobrze przygotowani ani katolicy, ani marksiści (s. 44—45). Wołał o wielki, ogólnonarodowy ruch umysłowy, który by postawił „polski prowincjonalny zaścianek w rodzinie narodów przodujących w dorobku kulturalno-technicznym". Przypominał: „Nasze wewnętrzne reformy i prace muszą mieć ogólnoludzkie znaczenie" (s. 49).

O ile się nie mylę, przecież po dzień dzisiejszy to samo pisze w swoich felietonach Kisiel, zwracając uwagę na niezwykłą szansę Polski jako pomostu między Wschodem a Zachodem. W tym układzie rzeczy teza Gołubiewa, że Polska leży nad Wisłą, jest tezą realistyczną. Wprawdzie p. Juliusz Mieroszewski ośmiesza ją na łamach paryskiej „Kultury" powołując się na historię emigracji dziewiętnastowiecznej, ba nawet na pobyt w Londynie samego Karola Marksa, ale mniemam, iż wypływa to ze zbyt słabej znajomości losów emigracji dwudziestowiecznej (np. gruzińskiej), jeżeli już pominiemy wszystkie inne różnice. Getto pozostanie gettem niezależnie, czy jest ukształtowane wewnątrz czy na zewnątrz kraju, tyle że w tym drugim wypadku szybciej skazane jest na upadek.

---

[2] Sienkiewicz jest wciąż aktualnym i najpopularniejszym polskim pisarzem. Zob. artykuł Jadwigi Kołodziejskiej, *Nie czytam, bo się dokształcam*, „*Nowa Kultura*" nr 42 z 19. X. 1958, analizujący ankietę czytelniczą, zorganizowaną przez Wojewódzką Bibliotekę Pedagogiczną w Warszawie wśród nauczycieli szkół podstawowych województwa warszawskiego. Piękne świadectwo dla talentu autora *Trylogii*, ale nie zapominajmy, że katolicyzm na prowincji w sporej mierze kształtuje właśnie Sienkiewicz, a nie Pascal lub Bernanos. A to już mniejszy powód do radości.

Niezmiernie interesujący jest artykuł pt. *Inteligencja i naród*, poświęcony problematyce inteligencji powojennej, a wokół którego rozgorzała gwałtowna polemika [3]. Artykuł jest tak interesujący, że nie podejmuję się go streszczać, powinien być przeczytany w całości. Podam tylko zasadnicze wnioski. Prof. Chałasiński przekonywująco pokazuje, iż w miejsce nie istniejącego już po wojnie getta szlachecko-inteligenckiego usiłowano utworzyć inteligencję klasową, pełniącą funkcję ściśle służebną, zawodową wobec klasy robotniczej, sprawującej rządy w kraju od 1944 r. pod formą dyktatury proletariatu. „Bilans 13 lat? Produkcja inteligencji klasowej robotniczej i chłopskiej nie powiodła się u nas" (s. 30—31). Okazało się, że nowa inteligencja, czy to zrodzona z rewolucyjnych przeobrażeń po r. 1944 na drodze awansu partyjno-politycznego, czy to wytworzona już przez uczelnie Polski Ludowej, mimo swego robotniczego czy chłopskiego pochodzenia, wcale nie wykazuje silnej więzi społecznej i duchowej z macierzystym środowiskiem ludowym czy robotniczym. Inteligencja obecna nie sprawuje już moralnego „rządu dusz" w narodzie, jak w XIX wieku, nie jest dziś synonimem warstwy oświeconej i narodowo uświadomionej, ani też synonimem warstwy ekonomicznie zamożnej. Powojenna inteligencja straciła swoje dawne znaczenie, a nowego nie osiągnęła. Autorzy pamiętników młodej inteligencji powojennej na ogół zgodnie podkreślają swoje r o z c z a r o w a n i e społeczne lub polityczne. Źródłem pierwszego jest (co może budzić zdziwienie) brak zdrowego awansu społecznego, opartego na rzeczywistych walorach zawodowych (wiedza, kwalifikacje, praktyka) i społecznych osobnika (szczególnie pamiętniki z prowincji); drugim źródłem rozczarowań były wynaturzenia aparatu państwowego w okresie tzw. kultu jednostki. W tej sprawie pamiętniki wyrażały głęboki optymizm po zmianach dokonanych w wyniku VIII Plenum. Nie wytworzyła też inteligencja nowa żadnego określonego stylu kultury. Jest bezkształtna w swojej strukturze społecznej i kulturowej, w swojej socjo-psychologii i społecznej świadomości. Wniosek końcowy autora brzmi: „Klasowa koncepcja inteligencji jest anachronizmem sprzecznym z so-

---

[3] Znamienny jest artykuł Piotra S t e f a ń s k i e g o, *Niedomówienia profesora Chałasińskiego*, *„Tygodnik Demokratyczny"* nr 37, 17 IX—23 IX 1958, oskarżający artykuł *Inteligencja i naród* o „lodowaty wprost pesymizm". Są też biadolenia, iż w „książce nie można znaleźć pozytywnego, twórczego programu dla inteligencji". Mniemam, iż prof. Chałasiński nie pisał programu dla inteligencji skupionej w Stronnictwie Demokratycznym, a opublikował artykuły naukowe o inteligencji. Odnośnie do pesymizmu, to szkoda, że Stefański pominął tak cenne źródło do wiedzy o młodej inteligencji, jakim jest bodaj 800 pamiętników w Zakładzie Socjologii UŁ.

cjalizmem naprawdę naukowym" (s. 49, „Kultura i Społeczeństwo" nr 1/1958). Nadto: „nurt świadomej ideologii klasowo chłopskiej i klasowo robotniczej jest wśród ogółu nowej inteligencji raczej słaby i nie rosnący na sile. Góruje nad nim zdecydowanie narodowy aspekt procesów ideologicznych wśród inteligencji" (s. 41).

Wnioski prof. Chałasińskiego wywołały żywą reperkusję wśród publicystów i socjologów marksistowskich [4]. Przy czym nie ograniczono się do polemiki z tezami prof. Chałasińskiego, ale poruszono wszystkie problemy związane z kształtowaniem się nowej inteligencji. Generalnym oponentem prof. Chałasińskiego był prof. Stefan Żółkiewski. Intonując dyskusję na łamach „Nowych Dróg" zaatakował przede wszystkim artykuł *Inteligencja i naród* od strony metodologicznej, wytykając wąską, niedostateczną i jednostronną — jego zdaniem — bazę źródłową. „Przede wszystkim chciałbym zakwestionować wagę i znaczenie owej dokumentacji, którą posługuje się prof. Chałasiński. (...) Spór dotyczy wartości dokumentarnej życiorysu, pamiętnika czy wszelkiego przekazu osobistego. Nie analiza takich jednostronnych dokumentów ale obserwacja zbiorowego zachowania się środowisk inteligenckich daje okazję do formułowania sądów niewątpliwie bardziej pewnych, sprawdzalnych, i obiektywnych. (...) Prof. Chałasiński wybrał z okresu międzywojennego Żeromskiego, Pigonia i Nałkowskiego, i świadomość takich ludzi zestawia z pierwszym lepszym absolwentem weterynarii czy historii, który pracuje w określonym małym miasteczku, najczęściej po ukończeniu niepełnych studiów 5-letnich, a czasem uproszczonego kursu trzyletniego" (s. 92—93). „I te dokumenty — rozważa prof. Żółkiewski — mają świadczyć, że eksperyment tworzenia inteligencji ludowej całkowicie się nie udał, i że nowi inteligenci są pod każdym względem rozbitkami" (s. 91). Prof. Żółkiewski kwestionuje również sposób interpretacji pamiętników młodej inteligencji. „Jeśli chodzi o świadomość tej młodej inteligencji, to ja te same dokumenty, z którymi miał do czynienia prof. Chałasiński, interpretowałbym wręcz odwrotnie, jako dokumenty pod wieloma względami świadczące o bardzo istotnym i głęboko sięgającym związku tej nowej inteligencji z klasą robotniczą i chłopstwem" (s. 94). Zdaniem prof. Żółkiewskiego socjolog całkowicie pominął fakt, że „trzeba natomiast raczej powiedzieć, czego w efekcie minionego 10—12-lecia w świadomości tych ludzi z pewnością nie ma" (s. 93). Osobiste poglądy prof. Żółkiewskiego na problem inteligencji przedstawiają się następująco: znaczna większość spośród inteligencji to inteligencja nowa, ukształtowana już w Polsce Ludowej, przy czym mniej

[4] *Inteligencja a partia (dyskusja)*, „Nowe Drogi" nr 7/1958.

więcej w połowie wywodzi się ze środowiska robotniczego i chłopskiego. Inteligencja w swej ogromnej większości wzięła aktywny, twórczy udział w industrializacji kraju i budowaniu ustroju socjalistycznego, tzn. jej obiektywna funkcja była jak najbardziej pozytywna. Poza tym ta nowa inteligencja, choć ma nieraz błędne poglądy polityczne, pragnie oprzeć stosunki międzyludzkie na ideale sprawiedliwości i równości społecznej, a więc na humanizmie socjalistycznym. Ocena procesu kształtowania się nowej inteligencji w minionym dwunastoleciu jest krańcowo odmienna. Zdaniem prof. Żółkiewskiego był to proces, „który prawidłowo zmierzał w kierunku związania jej z klasą robotniczą i chłopstwem" (s. 94). Błędne było tylko oddziaływanie polityczne, bo „szkoła politycznego myślenia, realizowana u nas w okresie planu 6-letniego była często fałszywa" (s. 94). Prof. Żółkiewski stanowczo wypowiada się za kontynuacją eksperymentu kształtowania nowej inteligencji, wywodzącej się z klasy robotniczo-chłopskiej i ściśle powiązanej z tymi klasami (s. 95).

Odnośnie do zastrzeżeń metodologicznych prof. Żółkiewskiego nasuwa się kilka uwag. Sprawa źródeł: przedwojenne prace prof. Chałasińskiego nad inteligencją również zasadniczo bazowały na pamiętnikach — nie był to materiał szczególnie reprezentacyjny, ale nierozwinięte badania statystyczno-ankietowe i inne siłą rzeczy zwężały bazę źródłową. Prof. Chałasiński prowadząc swe badania nad inteligencją w Polsce powojennej również oparł się na pamiętnikach. Nie bardzo też rozumiem, dlaczego w aspekcie socjologicznym pamiętniki prowincjonalnego aptekarza, weterynarza czy nauczyciela mają posiadać mniejsze znaczenie? Czy kształtowanie się świadomości inteligencji prowincjonalnej jest mniej ważne i ma pozostać poza zakresem badań socjologicznych? Nie jest też chyba kwestią przypadku, że katedra socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, która na zlecenie Ministerstwa Szkół Wyższych podjęła badania nad światopoglądem studentów warszawskich, zaniechała form pamiętnikarskich, posługując się kwestionariuszem zawierającym 150 pytań [5]. Tak jak każda relacja źródłowa ankieta ma swoje strony pozytywne i negatywne. Te ostatnie ściśle łączą się z problematyką semantyczną. Np. na 725 studentów ok. 70% wypowiedziało się za tym, „aby świat szedł w kierunku socjalizmu". Nasuwa się od razu trudność: jaką treść podkładał każdy uczestnik ankiety

---

[5] Zofia Józefowicz, Stefan Nowak, Anna Pawełczyńska, *Studenci: mity i rzeczywistość*, „Przegląd Kulturalny" nr 29 z 17 VII 1958 oraz „Nowa Kultura" nr 41 z 12 X 1958.

pod termin „socjalizm", który bynajmniej nie jest jednoznaczny [6]. Różnice indywidualne mogły być poważne. Przy tego rodzaju wątpliwościach pamiętnik może okazać się źródłem znacznie dokładniejszym, szerszym, wyczerpującym.

Polemizował poniekąd z impresjami prof. Żółkiewskiego Henryk Golański. Jego zdaniem spostrzeżenie, że inteligencja aktywnie uczestniczyła w industrializacji kraju, nie jest szczególnie odkrywcze. Inteligencja nie tylko uczestniczyła, ale w szczególny sposób oddziaływała na klasy społeczne, z którymi jest związana, wpływając na świadomość ich roli w państwie ludowym. Zdaniem Golańskiego „inteligencja nie jest i być nie może ani demiurgiem, ani służką" obecnej rzeczywistości (s. 98). Pesymizm i zniechęcenie młodej inteligencji, szczególnie prowincjonalnej, miał poważne uzasadnienie ekonomiczne. „Teza o wynagrodzeniu uzależnionym od ilości i jakości pracy przeradzała się z rzeczywistości w abstrakcję" (s. 97). To miało poważne konsekwencje społeczne, ekonomiczne i polityczne. Część z dyskutantów zaakcentowała fakt, iż do niedawna niejedno ogniwo partyjne i wielu odpowiedzialnych działaczy szykanowało inteligencję, sztucznie podniecając nastroje antyinteligenckie, tworząc mit o inteligencji jako samodzielnej klasie, jeżeli nie wręcz burżuazyjnej, to tkwiącej na peryferiach między burżuazją a klasą robotniczą. Józef Skrzekot poinformował, że na ostatnim Kongresie Inżynierów i Techników Polskich wszyscy aktywiści ruchu stowarzyszeniowego domagali się uznania inteligencji technicznej za część klasy robotniczej, aby w ten sposób uchronić się przed dyskryminacją ze strony niektórych personalników, traktujących rubrykę „inteligent pracujący" w ankiecie personalnej dość podejrzliwie.

Minimalne rozbieżności zarysowały się przy analizowaniu perspektyw przyszłości. Zarówno prof. Chałasiński, jak prof. Żółkiewski i Golański są zdania, iż z upływem czasu granice między środowiskiem robotniczym a inteligenckim będą się zacierały, wraz z rozwojem techniki i automatyzacji. Oponenci prof. Chałasińskiego z „Nowych Dróg" odrzucili jego tezę o inteligencji narodowej, ale nie lansowali też uproszczonej, naiwnej koncepcji o inteligencji klasowej. Prof. Żółkiewski mówił o ścisłym powiązaniu nowej inteligencji z klasą robotniczą i chłopską i postulował „wyraźną zmianę metod oddziaływania politycznego" (s. 96). Ale gdy prof. Chałasiński woła, aby „połączyć wysoki poziom kultury naukowej i technicznej z wysokim poziomem kultury humanistycznej", prof. Żółkiewski oświadcza, iż „potrzebna nam będzie w odległej przyszłości

---

[6] Por. artykuł Władysława Bieńkowskiego, *Socjalizm— przeciw mitologii*, „Przegląd Kulturalny" nr 51—52, 18 XII 1958.

inteligencja wykształcona fachowo i politycznie", ale dodał też, że istotna jest dla inteligencji „moralna i historyczna świadomość celów, którym mają służyć automaty w świecie ludzkim" (s. 95).

Warto na zakończenie zasygnalizować ostatnią wypowiedź prof. Jana Szczepańskiego [7]. Zakwestionował on w ogóle pojęcie „inteligencja" w tradycyjnym sensie tego słowa. Uprzednio trzon inteligencji stanowił element twórczy (artyści, pisarze, profesorowie, dziennikarze itp.), warstwa ta była kulturalnie i naukowo twórcza, była na ogół niezależna ekonomicznie i posiadała wysoki prestiż społeczny. Po wojnie sytuacja radykalnie się zmieniła i dziś to tradycyjne pojęcie jest już anachronizmem. W r. 1956 na 2100 tys. pracowników umysłowych wykształcenie wyższe posiadało niecałe 200 tys. osób. Olbrzymia większość tych ludzi nie wyróżniała się przeto wykształceniem, a pewne odłamy swym poziomem nie wiele różniły się od pracowników fizycznych. Trudno też mówić o twórczym stosunku do wartości kulturowych. Aspiracje tych grup mają dość wyraźny związek z „przedwojennym drobnomieszczaństwem". „Stąd więc możemy postawić pytanie, czy te warstwy pracowników umysłowych nie stanowią społecznej kontynuacji drobnomieszczaństwa w nowym wydaniu, w warunkach społeczeństwa socjalistycznego". Następnie prof. Szczepański formułuje ogólnie, jakim kryteriom musiałaby odpowiadać inteligencja socjalistyczna i stawia pytanie: „czy te masy pracowników umysłowych są nową inteligencją socjalistyczną"? I odpowiada: „O masach pracowników umysłowych trudno powiedzieć, że w całości są one wcieleniem ideału inteligencji socjalistycznej. Zwłaszcza ich stosunek do klas pracujących budzi wiele istotnych zagadnień. Są oni otoczeni z reguły niechęcią lub pogardą pracowników fizycznych jako biurokraci, ucieleśniający swoim postępowaniem pogardzany, wyśmiewany i zwalczany fantom biurokracji. Są zdegradowani ekonomicznie i politycznie. Wiele kategorii pracowników umysłowych nie stoi wyżej, niż pracownicy fizyczni". Ta rosnąca masa pracowników umysłowych nie jest ani inteligencją w tradycyjnym sensie tego słowa, ani częścią klasy robotniczej, ani drobnomieszczaństwem. Czym więc są? „Są one nowym charakterystycznym zjawiskiem, które w drugiej połowie XX wieku ostatecznie przybierze właściwą sobie postać".

Myślę, że w obliczu tej niezwykle interesującej kontrowersji naukowej powinniśmy szczególnie pamiętać o ogólnoludzkim aspekcie naszego światopoglądu: o uniwersalizmie chrześcijańskim i per-

---

[7] Jan Szczepański, *Pracownicy umysłowi — proletariat, inteligencja czy klasa średnia*, tamże.

sonalizmie. Kto wie, czy ta nowo tworząca się warstwa społeczna, zrażona i zniechęcona antagonizmami klasowymi i narodowymi, jakie wciąż rozdzierają stary świat, nie tęskni i nie szuka nowych, uniwersalnych horyzontów otwierających perspektywy dla pracy, nauki i pokoju wszystkim ludziom. Wszak w skład tej warstwy wchodzi nie tylko przytępiona biurokracja. A jaki jest stosunek do religii tej nowo tworzącej się grupy społecznej? I odwrotnie: w jaki sposób religia dociera do ludzi z tej warstwy społecznej i w jakim stopniu kształtuje ich świadomość społeczną i moralną? Bez szczegółowych badań socjologicznych niesposób odpowiedzieć na te pytania.

Jan Zajewski

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

POWIEŚĆ I ROMANS

Współczesna powieść amerykańska sprawia, jak wiadomo, nie lada kłopoty krytykom europejskim, nie mówiąc już o publiczności. Podobnie jest zresztą w USA gdzie recenzenci bądź szafują enigmatycznym językiem wtajemniczonych, obracając się w swych ocenach wyłącznie niemal wśród „alegorii" i „symboli", bądź też piszą wprost o „nieprzeniknionej tajemnicy" powieści amerykańskiej. Jeżeli chodzi o Anglików, to wydaje się niewątpliwe, że żadna inna literatura nie wprawiała ich i nie wprawia w tak głęboką konsternację jak literatura USA — i to nie tylko literatura ostatnia ale również jej klasyczne już dziś pozycje.

Na terenie Anglii tłumaczono sobie dotąd rozmaicie trudności, na które napotyka czytelnik próbując rozgryźć i przyswoić sobie powieść amerykańską. Dość powszechny jest pogląd, że Amerykanie są zanadto „zajęci sobą" jak na angielski gust. Owo żenująco czasem introspekcyjne nastawienie tłumaczone jest często swego rodzaju kompleksem narodowym. „Któż słyszał kiedy — pisał Constance Rourke w *Humorze Amerykańskim* — o powieści angielskiej, która nazywałaby się *Anglik*, lub o jakimś wybitniejszym dziele francuskim pod tytułem *Francuz*? Temat taki przyciąga przede wszystkim wyobraźnię, zajętą nieustannie problemem t y p u narodowego".

Inna charakterystyczna postawa krytyczna polega na traktowaniu literatury amerykańskiej jak pacjenta i obmyślaniu terapii. Jedna z poważniejszych prac pt. *Studies in Classical American Literature,* D. H. Lawrence'a, skoncentrowana jest właśnie na skrupulatnym wyliczaniu błędów i braków tej literatury pod kątem widzenia, oczywiście, tradycji europejskiej.

Na tle tego rodzaju postaw, które niewiele chyba wnoszą nowego do interpretacji współczesnego powieściopisarstwa amerykańskiego, bardzo interesująca wydaje się wydana niedawno praca Richarda Chase pt. *The American Novel and its Tradition.* Autor w krytyce postawy Lawrence'a bardzo wyraźnie określa swoje podejście do tematu. „Był on zbyt zajęty wyszukiwaniem błędów — pisze — ażeby odpowiedzieć na

elementarne pytanie, jaka jest literatura amerykańska". Chase'a interesuje więc przede wszystkim definicja. Próbuje on ukazać w powieściopisarstwie USA tradycję specyficznie amerykańską, odmienną od nurtu angielskiego, a często nawet przeciwstawną.

Już sam „kompleks amerykański", którym tak często usiłuje się tłumaczyć na zachodzie Europy szereg zjawisk kultury USA, znajduje w pracy Chase'a interpretację bardziej złożoną aniżeli „obsesja typu narodowego". Twierdzi on, że autorzy amerykańscy odczuwali pewien rodzaj zakłopotania, ilekroć przełamywali jakąś konwencję literacką zatwierdzoną przez Europę — kolebkę kultury. Zakłopotanie to powodowało potrzebę samousprawiedliwień — Hawthorne na przykład uważał za wskazane wyjaśnić w przedmowie do swej książki *The Seven Gables*, że nie zamierzał napisać powieści, ale romans. Podobne zastrzeżenia czynili już wcześniejsi powieściopisarze amerykańscy, jak J. F. Cooper i W. G. Simms. Świadczy to nie tylko o „kompleksie Europy", który wydaje się zjawiskiem, ale o tym, że od dawna już kiełkowała z uporem w Ameryce inna koncepcja powieści aniżeli ta, która uznana jest powszechnie za „normę" w starym świecie, i że autorzy USA realizowali ją nieomal wbrew samym sobie.

Już w klasycznych dzisiaj pozycjach literatury amerykańskiej dostrzec można ową wieloznaczność przedstawianych sytuacji, czy też — jak to nazywa Lawrence — „podwójne dno". U Coopera, u Hawthorne'a, u Melville'a zewnętrzne pozory spraw są złudne. *Moby Dick* Melville'a np. nie rozgrywa problemów moralnych bezpośrednio w kontekście realnego życia, jak to się dzieje w powieściach Balzaca, George'a Eliota czy nawet Jamesa.

Jakaż więc jest zasadnicza różnica pomiędzy jednowymiarową powieścią angielską a specyficznie amerykańską „powieścią tajemnicy"? R. Chase doszukuje się jej przede wszystkim w typie wyobraźni. Podczas gdy w Anglii przeważa jego zdaniem „wyobraźnia moralna", Ameryka wykształciła „wyobraźnię melodramatyczną", której korzenie sięgają tradycji kalwińskich i prezbiteriańskich z epoki pionierów, osamotnionych nieraz w walce z naturą i z niebezpieczeństwami twardych i niespokojnych lat, oraz zdanych na własny, osobisty kodeks moralny. Wyobraźnia melodramatyczna samotników, nieraz wyrzutków społeczeństwa, wykazywała też tendencje w kierunku ześrodkowania melodramatu wewnątrz własnej osobowości, w kierunku „melodramatu własnego ja" — stąd też owo zafascynowanie sobą i nadmiar introspekcji, tak typowy dla powieści amerykańskiej.

Oto jak charakteryzuje Chase dwie odmienne tradycje powieściopisarstwa, których drogi rozchodziły się coraz bardziej w ciągu ostatniego stulecia.

„Powieść angielska odznacza się trzeźwym, zdrowym rozsądkiem, oraz świetną, frapującą kompozycją, która wiąże rozległe dziedziny przeżyć ludzkich w centralny problem moralny, rozstrzygnięty następnie przez zrównoważony osąd autorski. Powieść ta stanowi kontynuację nurtu tragedii starożytnej i sztuki chrześcijańskiej, które charakteryzuje dążenie — poprzez sprzeczności — do jakiejś ostatecznej harmonii: do pojednania, do *catharsis*, do przeobrażenia. Powieść amerykańska natomiast, w przeciwieństwie do angielskiej, ma skłonność do pozostawania wśród ekstremów wyjątkowych sytuacji jednostkowych, nie dając ani szerszej skali przeżyć ludzkich, ani też ostatecznego rozwiązania. Jeśli nawet do rozwiązań takich zmierza, jak to ma miejsce najczęściej w utworach typu melodramatycznego czy idyllicznego — czyni to w sposób kręty i dwuznaczny moralnie, nie mogąc oprzeć się pokusom tzw. humoru amerykańskiego, który polega na eksploatowaniu czysto estetycznego, melodramatycznego efektu alienacji, sprzeczności czy nieładu. Amerykańska beletrystyka jest więc przede wszystkim dziełem wyobraźni typu melodramatycznego, operującej skrajnymi sprzecznościami i oddającej rzeczywistość w sposób pośredni tylko lub wręcz poetycki. Akcja ma tu na ogół pierwszeństwo przed psychologią postaci, i toczy się swobodniej aniżeli w utworach, które przywykliśmy uważać za powieści zwykłe, gdyż napotyka na mniejszy opór rzeczywistości. Bohaterów nie łączą żadne bliżej określone stosunki ani pomiędzy sobą ani też ze społeczeństwem otaczającym lub z jego historią, są oni raczej abstrakcyjni i wyidealizowani, a często stanowią zaledwie jeden z elementów akcji. Ponieważ ten rodzaj literacki jest mniej skrępowany koniecznościami skrupulatnego oddawania rzeczywistości, obiera częściej formy mitów, alegorii czy symboli. Melodramat własnego ja — przenoszący napięcia sytuacji wyjątkowych wprost na wewnętrzne przeżycia osobiste bohatera, czyni, rzecz jasna, zaskakujące wrażenie na czytelniku, przywykłym do osadzenia akcji w pełnym kontekście życia codziennego lub przynajmniej do pełnego i konsekwentnego opisu psychologii bohatera."

Richard Chase proponuje dla scharakteryzowanego wyżej typu powieści nazwę „romansu", w odróżnieniu od „powieści" w potocznym rozumieniu tego słowa. Podaje on też szereg przykładów z literatury amerykańskiej, gdzie element romansu gra mniejszą lub większą rolę. Z bardziej znanych czytelnikowi polskiemu pozycji figuruje tu więc *The Scarlet Letter* Hawthorne'a, *Moby Dick* Melville'a, *The Adventures of Huckleberry Finn* Mark Twaina, *The Sun also Rises* Hemingway'a. Gdyby powieści te powstały w Anglii, stwierdza Chase, uznano by je być może za rodzaj „kpiny literackiej" — jak *Wuthering Heigths* Emilii Brontë. Na gruncie Ameryki jednakże niepodobna popełnić takiej

omyłki: romans powieściowy jest bowiem zbyt mocno osadzony w tamtejszej tradycji, zbyt często powtarza się w najlepszej literaturze, aby mógł być podejrzewany o jakąś mistyfikację.

Ze szczególnym zainteresowaniem śledzi Chase proces starcia elementów „powieści" w sensie europejskiego realizmu, i elementów „romansu" w poszczególnych utworach literackich. Hawthorne, jego zdaniem, przeszedł w późniejszych latach swej twórczości całkowicie na stronę romansu i dlatego skończył się jako powieściopisarz. Henry James natomiast, w książce *The Portrait of a Lady*, osiągnął niezwykle subtelnymi sposobami całkowite zasymilowanie romansu przez powieść, która nie straciła przez to właściwych sobie walorów. „Powieść — zdaniem samego Jamesa — powinna zawsze odpowiadać powszechnemu poczuciu prawdopodobieństwa." *Portret Damy* jest jednakże wzbogacony o całą poezję romansu, dzięki szczególnemu wdziękowi bohaterki, która widzi swój los jako melodramat duchowy i ta cecha warunkuje rodzaj chłodnego, amoralnego dystansu wobec życia, chorobliwą nieomal pasję obserwowania go z oddali, oraz przychylność z jaką spotyka się u niej teoria Osmonda o „czynieniu z własnego życia dzieła sztuki". W powieści tej jest więc James krytykiem amerykańskich postaw romantycznych, co jednakże pozwala mu wprowadzić całkiem legalnie sam romans i jego frapujące napięcia.

Innym interesującym przykładem przenikania elementu romansu do powieści, tym razem obyczajowej, jest książka F. S. Fitzgeralda *The Great Gatsby*. Literacki rodowód bohatera wyprowadza Chase nie tylko z tradycji *self-made-mana* ale także z purytańsko-pionierskich tradycji „niewinności, samotnych ucieczek, osobistego kodeksu moralnego" — które są wspólne dla wielu klasyków amerykańskich, począwszy od Marka Twaina. Wartość powieści Fitzgeralda polega, zdaniem Chase'a, na osadzeniu owego legendarnego i bardzo „amerykańskiego" bohatera w odmalowanej skrupulatnie i realistycznie sytuacji społecznej. Tu więc także, podobnie jak w wypadku Jamesa, romans został całkowicie zasymilowany przez powieść.

Najbardziej reprezentatywny dla tradycji romansu amerykańskiego jest — zdaniem Chase'a — Faulkner. W powieściach jego zbiegają się wszystkie chyba typowe dla tej tradycji elementy: bohater osamotniony i potępiony zdany na swój osobisty kodeks moralny, melodramat skrajnych, wyjątkowych sytuacji, nostalgiczne tęsknoty za przeszłością sielankową i czystą, i wreszcie humor ludowy, łagodzący napięcia, które są chwilami nie do zniesienia. Prócz oczywistych podobieństw do Melville'a i Hawthorne'a książki Faulknera zdradzają jednak także wpływ mistrzów europejskich, szczególniej Conrada i zeuropeizowanego Jamesa, i dlatego może romans rozgrywa się tu na tle wyjątkowo dokładnie i żywo udokumentowanego tła środowiskowego.

Trudno przewidzieć czy książka Chase'a rzeczywiście „zrewolucjonizuje interpretacje krytyczne powieści amerykańskiej" — jak to przepowiada krytyka angielska. Wydaje się jednakże, że teoria jego wyjaśnia w znacznym stopniu nie tylko „tajemnicę" najlepszych pozycji literatury USA, ale również niepojęty dla Europejczyka sukces jakim cieszą się w Ameryce niektóre drugorzędne „romanse" — „ubodzy i zdegenerowani krewni" tej samej tradycji Nowego Świata, która wydała Melville'a, Hawthorne'a, Hemingway'a i Faulknera.

Niewątpliwą wartość książki stanowią także trafne i błyskotliwe syntezy, które otwierają nieraz szereg ciekawych i nieoczekiwanych perspektyw. Omawiając np. *Moby Dicka* jako „epopeę demokratyczną", Chase daje interesujący opis procesu powstawania epopei przez „przeobrażanie się podstawowych zjawisk kultury w poezję, dzięki narastaniu folkloru, mitu, legendy". Wiele refleksji nasuwa także spostrzeżenie dotyczące rodowodu intelektualnego powieści. „Najlepsi powieściopisarze amerykańscy — twierdzi Chase — nie pochodzili z inteligencji klas średnich. Byli to albo wyrafinowani intelektualiści, jak James, albo przedstawiciele i wyznawcy prymitywu jak Mark Twain, Frank Norris, Dreiser i Sherwood Anderson, albo wreszcie ludzie łączący prymityw z wyrafinowaniem, jak Melville, Faulkner i Hemingway. Tu więc znowu powieść amerykańska stanowi kontrast powieści angielskiej, której najlepsze pozycje zawdzięczamy inteligencji klas średnich.

Według „The Times Literary Supplement" opracowała

M. G.

„BEAT-GENERATION"

Od niepamiętnych czasów buntują się artyści i pisarze przeciwko „własnej rzeczywistości", przeciwko życiu, które ich otacza i w które są włączeni. Nie zmienia tego porządku rzeczy fakt, że otaczające poetów życie bywa wygodne i bogate. Przeciwnie. Nieraz tym bardziej pobudza ich do rewolty. Tak właśnie przeciwko bogactwu i zbytkowi, przeciwko zbytniemu postępowi, radiu, telewizji, mechanizacji i wygodzie współczesnego życia zbuntowała się w Ameryce pewna grupa pisarzy i poetów.

Grupa ta — dość liczna by ją nazwać ruchem — lubi się nazywać, zapożyczając terminologii od jazzu, *„Beat-generation"*. Otóż prawdziwy *„Beat-man"* ucieka chętnie od zorganizowanego życia przemysłowych i kapitalistycznych miast wschodniej Ameryki — i szlakiem dawnych pionierów ciągnie na zachód, przebiegając dalekie amerykańskie drogi, biedny, pogardzany, z tomikiem Rimbauda w kieszeni. Jest nieprzejednany choć zrozpaczony, dźwiga w piersi serce twarde a zarazem dziwnie miękkie. Nieraz

zaznaje głodu i biedy, nieraz szuka pociechy w narkotykach, ale jest dumny: nienawidzi poetów i pisarzy uznanych i nagradzanych, poetów i pisarzy, których nazywa „dworakami".

Tak wędrując zaszło wielu spośród *„Beat-manów"* aż do San Francisco. To miasto im odpowiada: jest duże i prowincjonalne i śliczne. Tu za swą siedzibę obrali zbuntowani poeci *„The Cellar"*, piwnicę, lokal gdzie przygrywa doskonały jazz. Przy jego dźwiękach piszą wiersze, dyskutują i deklamują swe utwory.

Ruch ten ma już swoją tradycję. Rozpoczął się jeszcze przed wojną. Za jego założyciela można uważać człowieka, znanego pod pseudonimem William Lee.

Ten William Lee syn jednej z bogatych rodzin Nowego Jorku, narkoman, człowiek utalentowany, wywiera wielki wpływ na młodszych, głównie przez sposób i styl swego bycia. Do grupy, której przewodzi, należą pisarze tacy, jak Chandler Brossard, Norman Mailer, Nelson Algreen oraz ich wszystkich ojciec i poprzednik — Henry Miller. Należy też Jack Kerouac, może z nich najzdolniejszy. On to ochrzcił swą grupę nazwą *„Beat"*, on też dał nam o niej najwięcej informacji, wręcz kronikę, w swych powieściach *On the Road* i *The Subterraneana.* Kerouac za najwybitniejszego pisarza epoki uważa Celine'a, poza nim spośród pisarzy anglosaskich lubi Millera, Geneta, Dylana Thomasa. Tych uważa za swych mistrzów; jedni nauczyli go buntu, inni poddali mu rytm i tonację jego utworów. Nie lubi natomiast takich pisarzy, jak James, Hemingway i Faulkner.

Cechą jego dzieła — i w ogóle twórczości całej grupy — to akcent przygody, akcent głębokiej rozpaczy, jaką musi zrodzić świat współczesny, to sentymentalna wędrówka: skrzyżowanie *Rhapsody in Blue* i *Podróży do kresu nocy.* Przy tym swoista religijność. „Gdyby nie moja matka, którą muszę się opiekować, wstąpiłbym do klasztoru" — mówi Kerouac. Spośród pisarzy przebywających w San Francisco, William Emerson i Philip Lamatia są katolikami, jeden Brat Antonius, jest nawet Dominikaninem. Kościół przedstawia się tym zbuntowanym pisarzom, jako jedna z możliwości wymknięcia się ze współczesnego świata. Innymi drogami ucieczki są dla nich poezja i dla niektórych narkotyki.

Te metody ucieczki zdaje się chętnie używać mała grupa *„Beat-generation"*, przebywająca w tej chwili w Paryżu. Tu, na *rive gauche,* w tanim hoteliku, zamieszkał William Lee z dwoma towarzyszami, Allenem Ginsbergiem i Gregorym Corso. Nie mają pieniędzy, żeby brać udział w bujnym życiu Paryża, siedzą więc w pokoju i dyskutują. Całe noce spędzają na filozoficznych rozmowach. Piszą mało, tylko wtedy, gdy mają natchnienie. Natchnienie jednak nie przychodzi zbyt często. Czasem całymi miesiącami czy nawet latami nie biorą pióra do ręki. „Nie jesteśmy wyrobnikami pióra — mówi Gins-

berg — jesteśmy mistykami. Teraz już wiem, że widzieliśmy oblicze Boga: mógłbym Go dokładnie opisać, prawie narysować". Gregory Corso jest mniej wzniosły. Twierdzi, że on nie oglądał oblicza Boga, że raczej widział oblicze Lucyfera. Napisał poemat na cześć bomby wodorowej, w którym — jak ciągle sam twierdzi — w sposób nader szczęśliwy łączy się liryzm z humorem. Nawet układ typograficzny poematu jest symboliczny: ma bowiem kształt złowrogiego grzyba... William Lee, człowiek zmęczony i zgaszony, przyznaje się jawnie do tego, że się narkotyzuje. Jednak twierdzi, że narkotyki nie zaciemniają wizji świata, lecz przeciwnie, czynią ją bardziej wyraźną i bardziej przejrzystą.

Przyszłość pokaże, co da literaturze to zbuntowane pokolenie. Niewątpliwie wielu spośród *„Beatów"* zmarnuje się w dziwactwach i narkotykach, ale — być może — niektórzy potrafią stworzyć dzieło poważne. Ostatecznie literatura amerykańska zna takich wybitnych buntowników, którzy — zdawało się — robią wszystko, by się zniszczyć i zaprzepaścić: E. A. Poe, Jack London, Hart Crane...

Nie przesądzając więc przyszłości i wstrzymując się od wróżb trzeba odnotować to ciekawe, typowo amerykańskie zjawisko: buntu przeciwko bogactwu i łatwości życia.

Zofia Starowieyska-Morstinowa

LITERATURA A DOKTRYNA

Czy ocena słuszności poglądów autora, wyrażonych w jakimś utworze wchodzi w zakres krytyki literackiej *sensu stricto*? Czy i o ile ocena taka, dokonana przez cenzora, decydować może o udostępnieniu utworu publiczności? Czy istnieje jakaś płaszczyzna porozumienia między tymi, którzy widzą w literaturze przede wszystkim narzędzie komunikowania ludziom pewnych treści ideowych, a tymi, którzy chcą rozpatrywać ją i osądzać wyłącznie w kategoriach czysto estetycznych?

Pytania powyższe, znane nam tak dobrze z polskiej prasy, dyskutowane bywają — nie mniej gorąco — także na Zachodzie. Jedną z ciekawszych wypowiedzi na ten temat zamieścił niedawno amerykański tygodnik katolicki, „The Commonweal". Autor jej, Daniel J. Callahan, wykładowca Harvardu, wychodzi od konkretnej analizy krytycznej pracy Randalla Stewarta pt. *American Literature and Christian Doctrine*. Praca ta, pisana zresztą z pozycji niekatolickich, stanowi próbę metodycznego zastosowania doktrynalnego kryterium oceny w klasyfikacji twórców amerykańskich. Przyjmując stosunek danego autora do tragedii i cierpienia w życiu człowieka, przyjmując go jako klucz jego postawy wobec problemu grzechu pierworodnego, Stewart przeprowadza dość nieocze-

kiwaną linię podziału pomiędzy „racjonalistami", jak Jefferson i Whitman, Paine i Emerson, a tymi, których koncepcja człowieka jest w jakiś sposób zgodna z doktryną grzechu pierworodnego. Po tej stronie figurują więc obok siebie Melville, James i Eliot oraz tacy — „reakcyjni", zdaniem Stewarta — pisarze, jak Faulkner i Robert Penn Warren. Daniel J. Callahan nie poprzestaje na jednostronnym wykazaniu absurdu takiej metodologii. Stawia on sprawę bardzo obiektywnie i śmiało. Jeśli przyjmiemy — pisze on — metodę oceniania dzieła sztuki wyłącznie z punktu widzenia teologicznego, czyli z punktu widzenia stosunku autora do którejś z uznawanych przez nas prawd, na przykład do istnienia grzechu pierworodnego, dojdziemy nieuchronnie do identyfikowania wszelkiej literatury z katechizmem. Będziemy tym samym skazani na klasyfikowanie według jednego i tego samego wzorca prac beletrystycznych, politycznych i religijnych, bez możliwości uwzględnienia specyfiki każdej z nich: odrębnych tematów i celów, odrębnych środków wyrazu.

Jeżeli jednak odrzucimy, jako nieadekwatną, metodę powyższą, pomijającą kryteria estetyczne, to czy tym samym uznać musimy za nieistotne dla oceny dzieła literackiego kryterium „prawdziwości wizji artystycznej"? — A może zgodzić się musimy, w takim wypadku, że istnieje wiele osobnych prawd: religijna, filozoficzna, estetyczna, i że każde poszczególne dzieło sztuki oceniać trzeba według „jemu właściwej" prawdy?

Pytania takie, twierdzi Daniel J. Callahan, wydają się nieuniknione w każdej poważnej dyskusji nad kryteriami oceny literatury. Odrzucając bowiem mechaniczną i jednostronną klasyfikację „doktrynalną", możemy łatwo popaść w drugą skrajność, niemniej niebezpieczną, jaką jest dzielenie i wzajemne izolowanie ludzkich „prawd". Próby zastępowania kryteriów estetycznych kryteriami dogmatycznymi są z pewnością metodą niezmiernie powierzchowną i prymitywną. Jednakże nie mniej powierzchowne i prymitywne jest twierdzenie, że prawda wizji artystycznej pisarza jest bez znaczenia dla wartości jego dzieła. Zresztą sami twórcy nie są bynajmniej tak obojętni na ową prawdę, jak ich estetyzujący krytycy. Każdy twórca, w gruncie rzeczy, chce abyśmy mu w i e r z y l i.

Od zarysowania dwu „ekstremistycznych" niejako postaw krytycznych Daniel J. Callahan przechodzi do własnej próby syntezy. Pragnąc przekazać, możliwie ściśle, interesujący tok jego rozumowania, podajemy w dalszym ciągu, z niewielkimi skrótami, tłumaczenie tego fragmentu tekstu.

Nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa stronniczej interpretacji dzieła sztuki. Tym niemniej, oceniwszy według kryteriów estetycznych formę i technikę pisarską utworu, wolno i należy zapytać także, czy jest ono prawdziwe; czy wizja świata, jaką w nim odczytujemy, odpowiada

rzeczywistości. Istnieje oczywiście wiele dzieł literackich, wobec których jest niezwykle trudno postawić takie pytanie. Tam gdzie wizja autorska zrośnięta jest organicznie z formą literacką, wyodrębnienie kryteriów niezwykle się komplikuje. Tym niemniej, upoważnieni jesteśmy do prób w tym kierunku, nawet w takich wypadkach.

Niejeden krytyk literacki odpowie na taką tezę metodą uniku, twierdząc że pytanie powyższe jest domeną filozofa lub teologa, a nie zaś jego własną. Unik ten jednak nie może przesłonić oczywistego faktu, że literatura mówi zawsze, na swój własny sposób, o naturze człowieka i że krytyk, który ten jej aspekt neguje, musi stawiać oceny jednostronne lub wręcz fałszywe.

Najbardziej nawet zagorzały „formalista" przyzna bez wątpienia, że literatura jest jednym z narzędzi poznania rzeczywistości. Czemuż więc miałoby być czymś tak bardzo uwłaczającym porównanie doświadczeń poznawczych autora i naszych własnych? Czemu mielibyśmy poprzestawać na badaniu zgodności dzieła sztuki z zamierzeniami i z warsztatową sprawnością twórcy, cofając się przed zestawieniem jego wizji człowieka z naszą własną koncepcją ludzkiego losu i przeznaczenia? Przy największej nawet wrażliwości na czysto estetyczne aspekty literatury niesposób utrzymać wobec niej całkowitego intelektualnego dystansu. Niesposób, ponieważ literatura nie jest tylko zbiorem efektów werbalnych i gramatycznych. Jest ona także wiedzą życia, jest sztuką, jak mówi Coleridge, odczytywania wzajemnych stosunków wszelkich ludzkich spraw. Choć więc możemy na czas jakiś świadomie „zawiesić niedowierzanie" czytając na przykład *L'Immoraliste* A. Gide'a, to prędzej czy później będziemy musieli zakwestionować trafność koncepcji homoseksualizmu jako drogi do „szczerości".

Jeśli więc literatura jest, jak widzimy, jednym z narzedzi poznania ludzkiej rzeczywistości, to ten jej aspekt nazwać można funkcją użytkową. Każde dzieło literackie: powieść, dramat czy poezja, składa się z kilku warstw „użytkowych", przy czym niektóre z nich niewiele mają wspólnego z istotą czy znaczeniem literatury w sensie czysto estetycznym. Każda z owych „warstw użytkowych" odpowiada innym zainteresowaniom innych czytelników, którzy wykorzystują je nieraz do bardzo różnych celów osobistych. Ta wielość funkcji użytkowych literatury, a raczej jej niedostrzeganie przez wielu ludzi, powoduje szereg konfliktów na temat jej właściwej natury, oraz zażarte nieraz spory różnego typu czytelników z których każdy patrzy na literaturę z jednego, wąskiego punktu widzenia, z punktu widzenia jednej „warstwy", którą dostrzega.

Cenzor na przykład widzi w literaturze tylko jej funkcję społeczną, funkcję kształtowania opinii, postaw i moralności. Socjolog szuka w niej odbicia prądów społecznych i intelektualnych danej epoki historycznej.

Filozofowie i teolodzy czytają często literaturę piękną po to, ażeby przy pomocy pisarskiej spostrzegawczości autora wyostrzyć własne wyczucie współczesnej problematyki moralnej i kosmologicznej. Krytyk literacki wreszcie pyta „co to jest literatura“ i „jaki powinien być stosunek pisarza do jego dzieła“. Próbując odpowiedzieć na te pytania krytyk usiłuje odciąć się od nieistotnych, przypadkowych funkcji i implikacji literatury, usiłuje dotrzeć do „faktu" literackiego, który — w przeciwieństwie do wielorakich warstw użytkowych — jest dla niego samą „istotą" literatury. Dla oceny „faktu" literackiego, w powyższym rozumieniu, reakcja indywidualnego czytelnika czy też całej czytającej publiczności jest całkowicie obojętna.

Tym niemniej funkcje użytkowe literatury pozostają ważne. Bez względu na to czy dany autor zamierzał świadomie wywrzeć wpływ na moralność, stworzyć dokument historyczny swojej epoki, lub też skonkretyzować i ucieleśnić te czy inne abstrakcyjne poglądy religijne czy filozoficzne — wszystkie te interpretacje stają się realnymi możliwościami z chwilą gdy książka znajdzie się w rękach czytelników. Krytycy bowiem mogą pouczać publiczność do woli o tym, jakie „powinno być“ podejście do literatury, publiczność jednak nie zrezygnuje nigdy, jak się wydaje, z poszukiwania w niej tych właśnie „ubocznych“ warstw użytkowych, które są dla niej osobiście cenne i ważne.

Jakkolwiek mocne byłyby argumenty krytyków i pisarzy na temat obowiązku artysty ukazywania tego, co czuje, że musi ukazać, cenzor ma niezaprzeczalne podstawy do twierdzenia, że literatura ma swe moralne i społeczne konsekwencje. Z punktu widzenia krytyka literatury możemy kwestionować cenzorską hierarchię wartości, stawiającą moralność publiczną wyżej niż sztukę i pisarzy. Z ludzkiego punktu widzenia trudno nie przyznać, że cenzor ma moralne prawo decydowania — na korzyść publicznej moralności. Można także łatwo wykazać socjologowi, że nie ma on pojęcia „o co właściwie chodzi“ w literaturze. Odpowie on jednakże stwierdzeniem faktu oczywistego, że literatura daje przecież rzeczywiście niezwykle pożyteczny wgląd w historię danej epoki, i że to właśnie odpowiada jego celom i zainteresowaniom osobistym.

W tej sytuacji jednego tylko czynić nam nie wolno: nie wolno nam używać ani też sądzić dzieła sztuki bez wzięcia pod uwagę — w jakiejś ocenie całościowej — także jego natury „faktu literackiego" samego w sobie. Możemy czytać Virginię Woolf i Dostojewskiego ze świadomym zamierzeniem poszukiwania treści filozoficznych i w tym sensie — ale w tym sensie jedynie — ocenić wyżej Dostojewskiego. Możemy też szukać w dziełach obojga wartości czysto artystycznych i w tym sensie — wiedząc dokładnie, o co nam chodzi — dać pierwszeństwo Virginii Woolf.

Mamy prawo czynić to jednakże tylko pod tym warunkiem, że przyznamy otwarcie i świadomie zamierzoną stronniczość swej oceny, stronniczość, na którą decydujemy się dla tych czy innych celów, znając niebezpieczeństwa takiej decyzji. Najważniejszym z tych niebezpieczeństw jest niewątpliwie możliwość stopniowej utraty z oczu innych wartości dzieła sztuki, nieraz ważniejszych niż wartość, na której skoncentrowaliśmy swą uwagę.

Można rozpatrywać literaturę, w sensie ogólnym, jako drogę do prawdy lub jako czynnik, który kształtuje lub odzwierciedla społeczeństwo. Dopuszczalne to jest jednak tylko wtedy, jeżeli umie się jednocześnie ocenić każdy poszczególny utwór przede wszystkim jako niepowtarzalne dzieło sztuki samo w sobie, a nie zaś w mechanicznym odniesieniu do którejś z powyższych funkcji. „Ocenić dzieło sztuki samo w sobie" — znaczy nieraz: „zawiesić nasz osobisty kierunek oceny, by zrobić miejsce innym, większym nieraz wartościom, których może byśmy nie dostrzegli idąc tylko za własnym, jednym kryterium wartościowania". Jest rzeczą jasną, że postawa taka wymaga wielkiej świeżości i szerokości spojrzenia. Można budować system krytyki literackiej odnoszącej się do istoty literatury, do tak zwanego wyżej „literackiego faktu". Wszelkie sztywne systemy jednakże, które zmierzałyby do ustalania norm oceny „funkcji użytkowych literatury", owych ubocznych i akcydentalnych implikacji, które każdy odczytać może dowolnie, na własny użytek — prowadzić mogą tylko do szkodliwych i zgubnych wypaczeń. Oceny tego aspektu literatury, o którym powtarzaliśmy kilkakrotnie, że jest bezsprzecznie realny i ważny, mogą być tylko ocenami indywidualnymi poszczególnych utworów i wszelkie metodologiczne uogólnienia wydają się niebezpieczne. Zawsze bowiem były i — jak się wydaje — zawsze będą arcydzieła literatury, z którymi nikt nie może się „zgadzać", a które przecie budzą ogólny podziw dzięki wartościom innym niż „bezkompromisowa prawda".

M. G.

DZIEWIĘĆ WIEKÓW

Zbiorowe dzieło pod redakcją Emile'a Henriot, *Dziewięć wieków literatury francuskiej* nie zastępuje dotychczasowych podręczników literatury francuskiej Lansona czy Bédier-Hazarda. Ma natomiast na celu poddanie czytelnikowi szeregu nowych myśli, nasuwających się przy lekturze klasycznych utworów. Ludzie współcześni, pełni niepokoju intelektualnego, nowego podejścia do wielu problemów usiłują przekazać czytelnikowi swe sądy, swe odczucia w obliczu literackich pomników swego kraju. Usiłują oni odkryć w dziełach literackich, co

w nich jest wiecznie młode, co zdolne jest wzruszyć i pobudzić do myślenia umysły współczesnych. Wiele ich sądów pokrywa się z powszechnie znanymi z klasycznych podręczników literatury. Wielu natomiast wnosi nowe sądy, nowe myśli, nowe ujęcia. I to właśnie stanowi wartość ich dzieła, bardzo pochlebnie ocenionego m. in. przez świetnego krytyka, Roberta Kempa, w „Nouvelles Litteraires" (27. II. 1958).

W swej przedmowie Emile Henriot przedstawia ciągłość myśli francuskiej i jej niesłychaną żywotność od kantyleny św. Eulalii do Apollinaire'a i Mauriaca. Literatura francuska to dziewięć wieków rodzenia się, zatracania i odradzania. Różnorodność i ciągłość. Ciągłe zmiany świadczą, że ona żyje ale wśród różnorakich tendencji i kierunków na plan pierwszy wysuwa się jej niezmienna cecha: poznać człowieka i służyć mu; przynieść mu w darze prawdę, wolność, sprawiedliwość. Literatura francuska — mówi Henriot — jest stale trwającą walką, i to walką o sprawę, która w gruncie rzeczy jest zawsze ta sama: jest nią obrona autonomii rozumu i myśli, walka o wolność i godność człowieka. Toteż literatura francuska jest stale antykonformistyczna. Cóż to jest konformizm? Jest to „panowanie, rozmyślnie przedłużane, prawd martwych, które uważa się jeszcze za żywotne i aktywne; zbiór wierzeń i reguł, które szanuje się i narzuca, kiedy one już dawno przestały być skuteczne, albo służą tylko do obrony straconych pozycji".

Wszyscy klasyczni pisarze Francji to antykonformiści: Rabelais i Montaigne, Descartes, Molière, Voltaire, Rousseau i Diderot, Beaumarchais, Chénier, Stendhal, Hugo, Renan, France, Gide, Valéry. I Zola i Anouilh... Lista ich może być wciąż uzupełniana.

Cechuje ich niepokój umysłu, będącego stale w pogoni za prawdą.

Literatura francuska żyje i trwa. A jeśli czasem nabiera oddechu i zdaje się drzemać, na przebudzenie jej nie trzeba nigdy długo czekać.

Po tej ogólnej charakterystyce zabierają głos profesorowie-znawcy literatury dając nam wgląd w szczegółowo przez siebie opracowane epoki.

Wiele ciekawych i uderzających swą nowością sformułowań znajdziemy zarówno w studium średniowiecza Emila Mireaux, który zdaje się wszystko wiedzieć i wszystko rozumieć z tej najtrudniejszej epoki, jak i w pracy Raymond Lebègue'a, znawcy okresu Odrodzenia. Nigdy dostatecznie — mówi Lebègue — nie docenimy roli tego zastrzyku świeżej krwi, który Francja wyczerpana licznymi wojnami, otrzymała ze świata helleńskiego.

Wspaniałą panoramę XVII w. daje nam René Bray opracowując kolekcję autorów najbardziej ze wszystkich znaną, od Corneille'a do La Bruyère'a. I tutaj niejedno zdanie autora zaskakuje czytelnika, który zatrzymuje się nad nim w nagłym zamyśleniu. Taką jest np. wypowiedź Braya o Pascalu: „Pascal to największy poeta francuski piszą-

cy prozą. Wyśpiewał on całą poezję człowieka i świata".

Wiek XVIII, czas wojen i zmagań intelektualnych, odżywa w studium André Billy. Nie umniejszając w niczym wagi Voltaire'a, Billy pierwszeństwo oddaje Diderotowi, stawiając go obok Bossueta dla jego niezrównanego stylu.

Doskonały znawca i wydawca dzieł Chateaubrianda profesor Sorbony Maurice Levaillant, mówi nam o romantykach. Znajdziemy w jego dziele koncentraty nowych prawd na temat znanych utworów Chateaubrianda, Lamartina, Vigny, Hugo, Nervala.

Powieść XIX w. to temat pracy René Dusmenila. Porusza się on z największą swobodą wśród roju talentów i geniuszy powieściopisarskich XIX w. ukazując nam w pierwszym rzędzie Stendhala, a po nim lub przed nim — zależnie od upodobań czytelnika — wielkiego Balzaca. Jego wnikliwe analizy pozwalają nam lepiej smakować dzieła Flauberta, Maupassanta, Zoli, France'a, Huysmansa, Barrèsa.

Dokładny obraz poezji od Parnasu do surrealizmu daje nam Henri Clouard, wraz z doskonałą oceną utworów Verlaina, Rimbauda, Stefana Mallarmé.

Utwory historyków, krytyków i moralistów XIX w. opracowuje Robert Kemp. Bergson, Maurras, Sorel, Benda są tak żywi w naszkicowanych przez Kempa w portretach, że zdają się tylko czekać momentu do wszczęcia ożywionej polemiki.

Książka kończy się szeregiem szkiców Roberta Kanters, który uporządkował i naświetlił okres ostatni do 1940 r. Podkreślił on z punktu widzenia psychologii wnikliwą i subtelną sztukę Prousta, Rollanda, Giraudoux, Mauriaca. A jako znawca teatru mówi o sztuce Valéry i Sartre'a.

Choć każdy z autorów zachował w swej pracy całkowitą niezależność myśli i jej ekspresji, całość stanowi ciekawy dokument przeżycia starych pomników literatury przez współczesnego człowieka, w wielu wypadkach poddającego rewizji dotychczasowe oceny historyków literatury i krytyków.

Teresa Skawińska

KWESTIA RASOWA W RODEZJI

W r. 1962 Polska Misja w Rodezji, powierzona polskim Jezuitom, obchodzić będzie pięćdziesięciolecie swego istnienia. Największy jej rozkwit przypada na lata po ostatniej wojnie, kiedy na jej czele stanął Ks. Adam Kozłowiecki, najpierw jako Wikariusz Apostolski, a od r. 1955 jako pierwszy polski Biskup misyjny.

Sytuacja obecnie jest taka, że jeżeli Rodezja ma być katolicką, misja musi nadążyć za ogólnym rozwojem całej Federacji obu Rodezji.

W szybkim tempie rozwija się przede wszystkim przemysł a z nim miasta. Misja boryka się z wieloma trudnościami — największa trudność to brak ludzi (po wojnie nikt z Polski nie mógł wyjechać do Rodezji). A mimo to misja nie tylko nadąża za rozwojem techniczno-przemysłowym kraju, ale na wielu polach, jak oświaty, szkolnictwa, rolnictwa, lecznictwa, stoi w pierwszym szeregu i ma wiele do powiedzenia.

Kwestia rasowa w ostatnich latach stała się bardzo żywa i zarazem drażliwa. Rodezja sąsiaduje z Unią Południowej Afryki, w której panuje w całej pełni dyskryminacja rasowa. Obowiązuje tam zupełny rozdział ras z tym, że czarni są zupełnie wykluczeni z niektórych dziedzin życia społecznego i politycznego. Sytuacja ta ma duży wpływ na rozwój stosunków społecznych i rasowych w Rodezji. Są tacy, którzy chcą naśladować utarte i. wypróbowane w Unii Południowej Afryki formy i metody polityki rasowej. Czasopismo „Central Africa Post" z 14 maja 1958 roku podaje np. wiadomość, że minister kolonii Lennox-Boyd odrzucił wniosek wprowadzenia na teren Rodezji Północnej ustawy o dyskryminacji rasowej. W ogóle czasopisma poruszające kwestię pełne są różnych i skrajnych opinii na ten temat. Daleko jeszcze w Rodezji do równości rasowej — wiele jest nadużyć i krzywd — jednak w porównaniu z radykalną pod tym względem polityką Unii Południowej Afryki jest w Rodezji o wiele lepiej.

Walka o równouprawnienie toczy się właściwie ponad głowami zainteresowanych. Większość bowiem Murzynów jest albo obojętnie ustosunkowana do rozwijających się stosunków społecznych w ich kraju, albo w ogóle nie ma żadnego o nich pojęcia. Z drugiej jednak strony ruch wolnościowy przybiera na sile i obejmuje coraz liczniejszych Murzynów. Ruch ten koncentruje się w „Kongresie Afrykańskim" i dochodzi nieraz do skrajnego nacjonalizmu. Coraz śmielej radykalni Murzyni głoszą hasło: „Afryka dla Afrykańczyków". Walka o równouprawnienie toczy się wokół konkretnych rzeczy; idzie przede wszystkim o równe zarobki. Czarny zarabia prawie pięć razy mniej od białego. Są już nawet próby całkowitego zerwania ze wszystkim, co ma coś wspólnego z Europejczykami, na pierwszym miejscu z religią chrześcijańską. Chodzi tu przede wszystkim o głośny dziś w Rodezji tzw. „Lumpa Church". Jego założycielką jest Murzynka, „prorokini" Lensina wraz ze swym mężem Petrosem. Ruch Lensiny, który rozpoczął się w roku 1953, nie zrodził się samorzutnie i bez uprzednich przygotowań. Prawie każda bowiem nowa sekta czy odłam religijny w Afryce powstaje na podłożu społecznym, jest ruchem nie tylko religijnym, ale zarazem politycznym, przygotowanym przez ludzi wybitniejszych od tych, którzy dali mu początek. Tak było również z ruchem Lensiny. Petros przeszedł uprzednio specjalny kurs w Tanganice. Lensina odegrała „cud" zmartwychwstania i zaczęła głosić, że Bóg posłał ją z powrotem na ziemię,

dla spełnienia specjalnego posłannictwa Bożego. Zadaniem jej jest ratować czarny lud od ucisku. W ruchu tym występuje chęć zupełnego wykorzenienia religii chrześcijańskiej, którą znienawidzeni Europejczycy obdarzyli Murzynów, a chęć stworzenia własnej religii narodowej. Lensina między innymi głosi, że biali chcą zrzucić na czarnych winę za ukrzyżowanie Chrystusa. Obdarzają ich w tym celu różańcami, krzyżykami... W dzień sądu Bóg pozna morderców Swego Syna po tych właśnie dewocjonaliach i na nich spadnie kara potępienia. Dlatego zwolennicy Lensiny niszczą wszelkie oznaki przynależności do wiary chrześcijańskiej. Lensina porwała za sobą całe tłumy Murzynów. Największe straty poniosła szkocka misja kościoła prezbiteriańskiego w Rodezji Północnej. Prawie wszyscy jej wyznawcy przyłączyli się do Lensiny, która również należała do tego kościoła. Sąsiednie misje katolickie ponoszą również poważne straty. Odstępcy od wiary katolickiej liczą się na tysiące. Przyczyną tak szybkiego rozwoju tego ruchu jest strach przed strasznymi następstwami nieprzyłączenia się do Lensiny. Oto jeżeli w wiosce wydarzyło się jakieś nieszczęście, np. pożar, śmierć, to winę za to ponosi ten, kto nie poszedł za Lensiną. Ściąga on na siebie nienawiść całej wioski i grozi mu nawet śmierć przez otrucie.

Stanowisko Kościoła w tej sprawie jest jasne. Misja Polska w swoim zakresie i w ramach swych możliwości stara się dopomóc do rozwiązania problemu rasowego. Na własnym terenie misja nie uznaje żadnych różnic rasowych, toteż swymi pociągnięciami zjednywa sobie wielu niekatolików, z drugiej jednak strony ma wielu wrogów. Tak było np. z decyzją Ks. Bpa Kozłowieckiego przyjęcia do zakonu SS. Dominikanek dziewczyny hinduskiej. Podobnie zamiar budowy w Lusace międzyrasowego kolegium dla chłopców spotkał się z wielkim uznaniem u jednych a krytyką u drugich.

W roku 1957 Ks. Biskup zorganizował Tydzień Studiów Społecznych, w którym czynny udział brali świeccy zarówno katolicy jak i niekatolicy. W styczniu 1958 roku biskupi rodezyjscy wydali list pasterski do katolików całego kraju omawiający kwestię rasową. Tekst tego listu w imieniu wszystkich podpisanych biskupów ułożył Ks. Biskup Kozłowiecki. List ten w skróceniu podajemy niżej w tłumaczeniu polskim.

Tadeusz Loska

LIST PASTERSKI BISKUPÓW KATOLICKICH RODEZJI PÓŁNOCNEJ W SPRAWIE DYSKRYMINACJI RASOWEJ

Najmilsi Bracia!

Pan nasz Jezus Chrystus przed Swoją Męką i Śmiercią modlił się w szczególniejszy sposób o jedność wśród ludzi. „Ojcze święty — prosił — zachowaj ich w imię Twoje, których mi dałeś, aby byli jedno, jako i my... Aby wszyscy byli jedno, jako Ty, Ojcze, we mnie a ja w Tobie, aby i oni w nas jedno byli, aby uwierzył świat, że Ty mnie posłałeś. A ja chwałę, którą mi dałeś, dałem im, aby byli jedno, jak i my jedno jesteśmy. Ja w nich, a Ty we mnie, aby osiągnęli doskonałą jedność i żeby świat poznał, że Ty mnie posłałeś i umiłowałeś ich, jako mnie umiłowałeś" (Jan 17, 11; 21—23).

Kościół ustawicznie przypomina swoim dzieciom tę modlitwę Boskiego Zbawiciela i dlatego z troską i niepokojem obserwuje zjawiska nieszczęśliwego współżycia wśród obywateli tego kraju i rozwój nieszczęsnych i zgubnych podziałów rozbudzanych przez całkowicie błędne podkreślanie różnic rasowych.

Sądzimy, że nadszedł już czas, abyśmy my, wasi biskupi, wypowiedzieli się w tej tak ważnej sprawie stosunków rasowych. Zwracamy się do was, chrześcijan pozostających w jedności ze Stolicą Świętą, członków każdej rasy w Rodezji Północnej, aby wam przypomnieć podstawowe chrześcijańskie zasady stanowiące fundament wszystkich zagadnień rasowych, czy innych natury społecznej, oraz aby upomnieć i zachęcić was, byście wypełnili wasz indywidualny i zbiorowy obowiązek wobec Boga Wszechmogącego i uczynili wszystko, co jest w waszej mocy, celem przyczynienia się do rasowego i społecznego pokoju, pokoju Jezusa Chrystusa.

JEDNOŚĆ RASY LUDZKIEJ

Nauka o jedności rasy ludzkiej należy do podstawowych w Kościele. Faktu tej jedności nie zmieniają żadne drugorzędne różnice, takie jak różnica koloru w grupach składających się na jedną rasę ludzką. Kościół uczy, że cała rasa ludzka pochodzi od Adama i Ewy i dlatego ma ten sam początek, tę samą naturę, te same zasadnicze prawa i obowiązki — i to samo nadprzyrodzone przeznaczenie.

Uczy dalej Kościół, że wszyscy ludzie są sobie braćmi w Chrystusie. Św. Paweł szczególny nacisk kładł na tę prawdę pisząc: „Wszyscy bowiem jesteście synami Bożymi przez wiarę, która jest w Jezusie Chrystusie; gdyż którzy tylko jesteście ochrzczeni w Chrystusie, oblekliście się w Chrystusa. Nie ma Żyda ani Greka; nie ma niewolnika ani wol-

nego; nie ma mężczyzny ani niewiasty. Albowiem wy wszyscy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie" (Gal. 3, 26—28). I znowu w swym pierwszym liście do Koryntian tak pisze: „Jak bowiem jedno jest ciało, a członków ma wiele, wszystkie zaś członki ciała, choć ich jest wiele, są jednym ciałem, tak samo i Chrystus. Albowiem my wszyscy w jednym duchu jesteśmy ochrzczeni w jedno ciało, czy Żydzi, czy poganie, czy niewolnicy, czy wolni i wszyscy jesteśmy napojeni jednym duchem, gdyż i ciało nie jest jednym członkiem, ale wieloma" (1 Kor. 12, 12—14). Przypominamy tę prawdę o istotnej jedności rodzaju ludzkiego nie po to, by korzystała z niej jedna wyłącznie grupa ludzi, ale dla dobra całej naszej trzody. Wzywamy wszystkich katolików, aby myśleli, mówili i działali zgodnie ze swoją wiarą w jedność ludzkości i nie przypisywali przesadnej uwagi przypadkowym różnicom wśród ludzi, zwłaszcza różnicy koloru.

WSZYSCY LUDZIE MAJĄ TE SAME PRAWA

Ponieważ rasa ludzka jest z istoty swojej jedna, wszyscy ludzie mają te same zasadnicze ludzkie prawa. Kościół uczy, że Bóg dając człowiekowi duszę dał mu zarazem pewne prawa, z których następujące odnoszą się do naszego zagadnienia:

Prawo do życia i nietykalności osobistej.

Prawo do zaspokajania potrzeb życiowych w sposób godny człowieka.

Prawo do kultu religijnego.

Prawo do należytego rozwoju swoich zdolności.

Prawo do posiadania własności prywatnej.

Prawo do pobytu w miejscu i przenoszenia się.

Prawo do małżeństwa i życia rodzinnego.

Prawo do wychowania dzieci według własnego wyboru.

Prawo do stowarzyszania się.

Tylko człowiek wypełniający swoje obowiązki wobec społeczeństwa i szanujący prawa współobywateli może żyć w społeczeństwie i swobodnie korzystać ze swoich uprawnień. Jeśli tego nie czyni, społeczeństwo może zmusić go do podporządkowania się za pomocą prawnie ustanowionych sądów. Rzeczą Rządu jest regulowanie używania praw ludzkich i zabezpieczenie ich każdej jednostce i całemu społeczeństwu. Ale nawet Rząd nie może dowolnie nikogo pozbawiać tych praw, które przysługują każdemu człowiekowi, niezależnie od tego, jakie jest jego stanowisko społeczne czy ekonomiczne albo stopień wykształcenia.

Zdajemy sobie sprawę, że niełatwo jest pogodzić prawa wszystkich grup w kraju takim, jakim jest Rodezja Północna, której ludność składa się z narodów różniących się pod wieloma względami. Ale różnice czę-

sto rozmyślnie się wyolbrzymia, uregulowanie praw wyraźnie ze sobą sprzecznych, czego wynikiem jest rozgoryczenie i ciągle wzrastająca niezgoda między ludnością, która może i powinna stanowić jeden harmonijny naród. Potrzeba — i to koniecznie potrzeba — aby przeniknął wszystkie narody duch chrześcijańskiej dobrej woli, oraz by wszyscy mieli to przekonanie, że sprawiedliwości stanie się zadość wtedy dopiero, gdy każdy człowiek popierał będzie prawa bliźniego tak, jak swoje własne.

ODPOWIADAJĄCE PRAWOM OBOWIĄZKI

Ludzie powinni nie tylko żądać praw, ale też przyjąć i wypełnić swoje obowiązki. Niestety, w dzisiejszej Rodezji Północnej czasami zbyt wiele mówi się o prawach, a zbyt mało o obowiązkach.

Jednym z pierwszych obowiązków każdego człowieka jest być sprawiedliwym, to znaczy szanować i przyznawać prawa innym ludziom. Czasami powiada się, że niebezpieczną byłoby rzeczą przyznać każdemu człowiekowi całkowite i równe korzystanie ze swoich praw dlatego, że nie wszyscy ludzie są jednakowo zdolni do wypełnienia swoich obowiązków względem społeczeństwa. Obawę tę wyraża się szczególnie względem pewnej określonej rasy. Stosując jednak bezkrytycznie ten argument do jednej rasy możemy się stać winni aktu niesprawiedliwości w stosunku do wielu jej członków, którzy mogą i chcą odpowiedzieć swoim obowiązkom.

Następnym obowiązkiem każdego człowieka jest miłość wszystkich ludzi. Jest to część pierwszego i najważniejszego przykazania danego nam przez Pana Naszego, Jezusa Chrystusa: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali; jak ja was umiłowałem, abyście się i wy wzajemnie miłowali. Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie mieć wzajemną miłość" (Jan 13, 34—35). Mało jest słów tak źle zrozumianych jak te słowa: „miłość" — „miłować". Miłość chrześcijańska nie jest uczuciem, jakie odczuwamy do drogich nam osób. Polega ona na tym, że życzymy dobra naszym bliźnim i że we właściwy sposób przyczyniamy się do ich duchowej i materialnej pomyślności. Nie tylko nienawiść sprzeciwia się prawu chrześcijańskiej miłości, lecz także obojętność na dobrobyt naszego bliźniego. W naszym kraju przekraczają prawo miłości ci, którzy w swej działalności politycznej, społecznej czy zawodowej dbają o pomyślność tej tylko części społeczeństwa, do której sami należą, a za mało lub wcale nie zwracają uwagi na powodzenie innych grup. Obłudą byłoby twierdzić, że chodzi nam o chrześcijańską cywilizację, jeśli zapominamy drugiej części najważniejszego przykazania Chrystusowego, przykazania miłości wszystkich naszych bliźnich jak samego siebie.

Przypomnijmy sobie charakterystyczne cechy miłości według nauki św. Pawła: „Miłość jest cierpliwa, jest łaskawa, miłość nie zazdrości, na złość nie czyni, nie nadyma się, nie pragnie zaszczytów, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie myśli złego; nie raduje się z niesprawiedliwości, ale weseli się z prawdy" (1 Kor. 13, 4—6).

Dlatego Kościół przemawiając imieniem Boga Wszechmogącego potępia wszelkie słowa i czynności obliczone na rozbudzenie zgubnych uczuć, ponieważ sprzeciwiają się one specjalnemu przykazaniu Jezusa Chrystusa, abyśmy miłowali każdego człowieka niezależnie od tego, jaki będzie jego kolor, poziom kulturalny czy stanowisko społeczne.

Przestrzegamy wszystkich katolików, by nie wpadli w sidła zastawione przez apostołów nienawiści, „którzy przychodzą do was w odzieniu owczym, a wewnątrz są wilkami drapieżnymi" (Mat. 7, 15) i którzy pod płaszczykiem miłości dla jednej grupy głoszą nienawiść i pogardę dla innych. Tym, którzy osiągnęli wyższy stopień kultury, Jezus Chrystus nie tylko zabronił gardzić braćmi o niższej kulturze lub odmawiać im praw albo środków do zdobycia wyższej kultury, lecz także zobowiązał ich, by pomagali im do tego, chociażby sami ponieść musieli jakieś ofiary. Z drugiej strony warstwy upośledzone muszą również pamiętać, że nienawiść tych, którzy są w lepszym położeniu, jest ciężkim grzechem przeciw pierwszemu i najważniejszemu przykazaniu. Nie zawiścią, która jest grzechem, osiągamy wyższą stopę życiową, lecz wytrwałą pracą każdego z nas.

RODEZJA PÓŁNOCNA JAKO SPOŁECZEŃSTWO WIELORASOWE

Najgorętszym pragnieniem Waszych Biskupów jest, aby Rodezja Północna rozwinęła się w kraj kwitnący szczęściem i zgodą. Wielorasowe społeczeństwo może być tam tylko, gdzie różne grupy żyją w zgodzie, razem pracują dla wspólnego dobra, korzystają z tych samych udogodnień politycznych, społecznych, oświatowych, zawodowych i kulturalnych. Tylko wtedy będzie miało miejsce współżycie w każdej dziedzinie i jedność narodowa.

Tylko takie pojęcie wielorasowego społeczeństwa uzyska poparcie Kościoła katolickiego, ponieważ tylko ono odpowiada wymogom ludzkiej godności i zapewnia wszystkim obywatelom równość praw, a zarazem dopomaga ludziom o niższej kulturze w osiągnięciu tego samego, co inni, poziomu w życiu publicznym i zawodowym. Czysto fizyczne rozmieszczenie strefy afrykańskiej, europejskiej i azjatyckiej jest tylko wypaczeniem terminu społeczeństwa „wielorasowego" i nie stworzy ani społeczności, ani narodu. Nie ma społeczeństwa wielorasowego dopóty, dopóki różne grupy ludności bywają zmuszane żyć oddzielnie jedna od drugiej. Niektóre ograniczenia mogły być uzasadnione w przeszłości

ale dziś nie mają one żadnego usprawiedliwienia. Jeśliby trzeba było utrzymać jakieś ograniczenie, to jego jedynym usprawiedliwieniem byłoby dobro wspólne, a nie korzyść jednej tylko grupy ludzi.

Doskonale zdajemy sobie sprawę z trudności kształtowania się wielorasowego społeczeństwa w kraju takim jak nasz, gdzie istnieje tyle i tak wielkich różnic między grupami składowymi. Niektóre różnice zawsze będą istniały wśród ludzi. Niemożliwa jest do osiągnięcia całkowita równość wśród ludzi i społeczeństwo bezklasowe. Ale odrzucamy podział ludzi według koloru, dokonywany w tym celu, by ludzie jednego koloru zajmowali niższe stanowiska, a ludzie innego koloru wyższe.

Potępiamy wszelkie usiłowania zmierzające do opóźnienia procesu podnoszenia na wyższy stopień kultury mniej rozwinięte grupy społeczeństwa. W kraju takim jak nasz, gdzie szerokie rzesze ludności żyją na niskim poziomie kulturalnym, na społeczeństwie spoczywa obowiązek uczynienia wszystkiego, co możliwe, aby jak najprędzej podnieść tych ludzi na wyższy stopień materialny i moralny. Warstwy nieuprzywilejowane muszą ze swej strony pamiętać, że szczera chęć poprawienia swoich obecnych warunków jest ich obowiązkiem wobec społeczeństwa, i zrozumieć, że cel ten osiągną głównie swoją własną pracą i wysiłkiem. Odpowiednio do ich wysiłków społeczeństwo jest zobowiązane — i uważamy to za jego pierwszy obowiązek — ulepszać warunki życia tych upośledzonych współobywateli.

Ludność Rodezji Północnej, podobnie jak każde społeczeństwo ludzkie, musi posiadać swoje prawa i przepisy. Pamiętać jednak trzeba, że prawo miłości i sprawiedliwości obowiązuje nie tylko jednostki, ale i organy państwowe. Prawa muszą mieć na celu dobro całej społeczności, a nie tylko jednej jakiejś grupy. Pragniemy, aby polityka i prawodawstwo Rodezji Północnej opierały się raczej na jedności rasy ludzkiej, niż na drugorzędnych różnicach wśród ludów zamieszkujących nasz kraj. Ostrzegamy wszystkich katolików, że niezgodne są z ich katolickim sumieniem wszelkie zabiegi o wprowadzenie ustawodawstwa, które zabezpieczałoby prawa jednej części społeczeństwa uszczuplając przez to prawa innych; mamy na myśli te przede wszystkim prawa, które wymieniliśmy wyżej.

Wzywamy wiernych wszystkch ras, aby pracą ze wszystkich sił przyczyniali się do utworzenia z Rodezji Północnej szczęśliwego i żyjącego w zgodzie społeczeństwa. Jeżeli kraj ma się cieszyć chrześcijańskim ładem i dać przykład chrześcijańskiego braterstwa i współpracy światu szarpanemu w tak wielu miejscach społecznymi i rasowymi walkami, to żaden katolik nie może pozostać bezczynny. Katolicy stanowią znaczną część naszego kraju. Zjednoczeni ze swoimi biskupami i klerem i poparci przez elitę katolików wszystkich ras, dobrze znających społeczną

naukę Kościoła, muszą głosić tę naukę we wszystkich dziedzinach życia publicznego, społecznego i zawodowego. W ten sposób współdziałać będą w budowie chrześcijańskiego porządku w naszym kraju.

W encyklice „Fidei donum" Ojciec święty [Pius XII] pisze: „Większość tych krajów podlega tak ważnym przemianom społecznym, ekonomicznym i politycznym, że wywrą one prawdopodobnie ogromny wpływ na ich przyszłość... Pragniemy najgoręcej, aby w Afryce zapanowała owocna i jednomyślna współpraca, wykluczająca wzajemne uprzedzenia i urazy, przezwyciężająca niebezpieczeństwa i zdradliwe sidła nieumiarkowanej miłości ojczyzny, by te kraje mogły uczestniczyć wraz z narodami bogatymi w zasoby naturalne i patrzącymi radośnie w przyszłość — w bezcennych dobrodziejstwach chrześcijaństwa, które tyle pożytku przyniosło narodom innych kontynentów".

„Bóg zaś cierpliwości i pociechy niech wam da, żebyście to samo między sobą rozumieli według Jezusa Chrystusa" (Rom, 15, 5). Pamiętając zawsze o tym oddamy wszyscy — bez względu na rasę — nieocenioną usługę krajowi, bo przy naszej współpracy stanie się on państwem wzorowym, zbudowanym na sprawiedliwości, miłości, wolności i jedności.

Lusaka, w Święto Objawienia Pańskiego, 6 stycznia 1958.

† Franciszek Mazzieri OFM Conv., † Marceli Daubechies WF, † Tymoteusz Phelim O'Shea OFM Cap., † Firmin Courtenmanche WF, † Adam Kozłowiecki T. J., Ks. R. Pailloux WF, Ks. A. Furstenberg WF.

PROGRAM „MIĘDZYNARODOWEJ" MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Episkopat australijski wydaje coroczne „Deklaracje Sprawiedliwości Społecznej", w których naświetla pod kątem widzenia katolickiej etyki społecznej aktualne problemy socjalne i ekonomiczne swego kraju. Wysuwa przy tym określone sugestie konkretnych praktycznych rozwiązań, zastrzegając się jednak wyraźnie, że sugestie te mają czysto doradczy charakter, w żadnym wypadku nie wiążący katolików. Tam bowiem, gdzie chodzi już nie o zasady, lecz o praktyczne zagadnienia polityki społecznej, tam każdy chrześcijanin, wychodząc z ogólnych założeń nauki Chrystusa, winien szukać takich rozwiązań, jakie wedle swej najlepszej wiedzy uzna za najbardziej celowe.

W jednej z ostatnich takich „Deklaracji"[1] hierarchia australijska zajmuje się sprawą już nie wewnętrzną swego kraju, lecz sprawą o kapitalnym ogólnoświatowym znaczeniu i doniosłości: sprawą stosunku Australii do krajów biednych i słabo ekonomicznie rozwiniętych oraz praktycznych możliwości pomocy tym krajom.

We wstępie, zatytułowanym: „Świat głodu", „Deklaracja" szkicuje zwięźle — w oparciu o dane ONZ — ogólną sytuację materialną wspomnianych krajów.

Dwie trzecie ludzkości, tzn. ponad półtora miliarda ludzi, jest stale niedożywionych; większość z nich zamieszkuje rozległy kontynent azjatycki. Standard życiowy przeciętnego robotnika australijskiego jest 15—20 razy wyższy, niż u przeciętnego mieszkańca Chin, Wietnamu, Indonezji, Burmy, Korei czy innych słabo ekonomicznie rozwiniętych krajów. Człowiek żyje średnio w tych krajach 30 lat, podczas gdy w krajach bogatych, jak Stany Zjednoczone, W. Brytania, Australia, Francja czy Niemcy — 63 lata. Pierwszy spożywa dziennie pokarm o wartości 2000 kalorii, tzn. niewystarczającej dla właściwej regeneracji sił organizmu, drugi — ponad 3000 kalorii.

W krajach bogatych przypada średnio na 100 000 mieszkańców 106 lekarzy, w krajach biednych — 17. W krajach biednych tylko 22% ludności potrafi czytać i pisać, w krajach bogatych — 95%.

Głód idzie często w parze z przeludnieniem. Kraje Azji południowo-wschodniej ze swą średnią gęstością zaludnienia ponad 100 ludzi na milę kwadratową wydają się niemal puste w porównaniu z Indiami i Chinami, gdzie wskaźnik ten wynosi 300, lub Japonią, gdzie wynosi on 600.

„Żaden katolik — konkludują biskupi australijscy we wstępie — żyjący w którymkolwiek z bogatych krajów, nie ma prawa odpowiedzieć milczeniem na zew głodu, który stanowi straszliwą rzeczywistość egzystencji milionów mężczyzn i kobiet, jego braci i sióstr w Chrystusie. Jeśli nie chce ściągnąć na siebie Boskiego wyroku jaki spadł na Kaina, nie może zadawać Kainowego pytania: »Czyż jestem stróżem brata mego?«"

Jakież są zatem główne zasady, które winny wyznaczać stosunek chrześcijanina do zasygnalizowanych wyżej faktów? „Deklaracja" wymienia następujących 6 przykazań „międzynarodowej" miłości bliźniego:

1. Wszyscy muszą pamiętać, że ludy ziemi stanowią jedną rodzinę w Bogu.

2. Naszym stosunkiem do każdego członka wszechludzkiej społeczności, niezależnie od jego rasy, religii, sytuacji materialnej czy poziomu

---

[1] „Annual Social Justice Statement of the Australian Hierarchy". 1956.

wykształcenia, winno kierować wyłącznie prawo miłości, które jest najwyższą wytyczną i wskaźnikiem postępowania chrześcijanina.

3. To prawo miłości winno kierować nie tylko myślami i działaniem poszczególnych jednostek w ich wzajemnych stosunkach, lecz także postępowaniem jednych narodów względem drugich. To miał niewątpliwie na myśli Pius XII mówiąc w swym orędziu z okazji Bożego Narodzenia r. 1941: „W ramach nowego ładu, opartego na zasadach moralnych, nie ma miejsca dla tego zimnego i wyrachowanego egoizmu, który zmierza do takiego nagromadzenia zasobów ekonomicznych, przeznaczonych dla użytku wszystkich, że narodom, mniej uprzywilejowanym przez przyrodę, zostaje odcięty dostęp do nich".

4. Skoro prawo miłości ma kształtować stosunki między państwami i narodami, to poszczególni obywatele tych państw nie mogą uchylać się od odpowiedzialności za postępowanie swego kraju, oczywiście w zakresie, w jakim mogą mieć wpływ na to postępowanie.

5. Żaden naród nie może rościć pretensji do wyłącznej kontroli nad bogactwami naturalnymi w granicach swego terytorium — bez względu na potrzeby innego narodu — w imię absolutnej suwerenności.

6. Każda istota ludzka — niezależnie od swej rasy, wyznania czy barwy skóry — posiada szereg fundamentalnych praw osobowych, między którymi znajduje się prawo do używania dóbr materialnych. Umożliwienie realizacji tych praw przez narody biedne jest obowiązkiem moralnym, ciążącym na rządach i społeczeństwach narodów bogatych.

Z kolei „Deklaracja" przechodzi do praktycznego programu wkładu Australii do dzieła pomocy ogólnoludzkiej.

„Naszym podstawowym celem narodowym winno być maksymalne wykorzystanie zasobów i bogactw Australii, tak by nasz wkład w zaspokojenie potrzeb naszych mniej uprzywilejowanych sąsiadów mógł być coraz większy". Nawiasem przyznać należy, że dziwnie brzmi dla nas tego rodzaju „internacjonalnie humanistyczna" motywacja rozwoju gospodarki narodowej.

Następuje bardzo krótka, zwięzła analiza krytyczna ekonomiki Australii ze wskazaniem jej punktów newralgicznych, jak zaniedbanie rozwoju arterii komunikacyjnych, niedostateczne zabezpieczenie przeciwpowodziowe, nieodpowiedni rozwój rolnictwa.

Drugim punktem praktycznego programu „Deklaracji" jest wzmożenie akcji imigracyjnej. „Najbardziej bezpośrednią drogą, jaką rozwój Australii może stać się pomocny dla narodów biedniejszych, jest kontynuowanie i rozszerzenie powojennego programu imigracyjnego". Podkreślenie tego punktu jest szczególnie ważne w związku z występującymi ostatnio w Australii tendencjami do ograniczenia imigracji. Niewątpliwie Australia, jak każdy inny kraj przyjmujący, ma prawo regulować migrację stosownie do uzasadnionych względów dobrobytu eko-

nomicznego i spójności narodowej. Nie ma jednakże prawa kontynuować rozrzutnej i bezradnej polityki ekonomicznej, a powstałe stąd trudności podawać jako przyczynę zaprzeczania prawa do przestrzeni życiowej dla tych, dla których ma u siebie wystarczająco dużo miejsca i bogactw naturalnych. Nie ma także prawa wykorzystywać słusznego postulatu pewnego stopnia spoistości narodowej jako pretekstu dla nietolerancji rasowej i religijnej, które to akcenty dość często pobrzmiewają w dyskusji na temat imigracji.

Bardzo istotnym sposobem polepszenia sytuacji ekonomicznej ludności państw ubogich, eksportujących przede wszystkim środki żywności i surowce, jest popieranie akcji międzynarodowych umów handlowych długoterminowych. Gwałtowna fluktuacja popytu oraz spekulacja na rynku wymiany międzynarodowej stanowi mianowicie poważną przeszkodę w normalnym handlu wymienionymi produktami, co pociąga za sobą brak stabilizacji ekonomicznej, która z kolei jest nieodzowną przesłanką sprawiedliwości społecznej i trwałości ustroju politycznego. Długoterminowe umowy handlowe pomagają właśnie do uniknięcia tych fluktuacji, do powstania trwałego systemu ekonomicznego i stabilizacji dochodu narodowego.

Australia powinna zarówno popierać zawieranie tego rodzaju umów międzynarodowych, jak i sama na tej zasadzie budować swe stosunki handlowe z poszczególnymi krajami. Także w tej dziedzinie — podobnie jak przy zagadnieniach imigracji — „Deklaracja" ostrzega przed niebezpieczeństwem dyskryminacji. „Chrześcijańska postawa odnośnie do tych zagadnień musi się opierać na prawie miłości w stosunku do wszystkich krajów, jakikolwiek by był ich ustrój polityczny czy społeczny. Bardzo często, niestety, głosy, domagające się wzmożenia handlu międzynarodowego, mają swe źródło nie w racjach moralnych czy choćby ekonomicznych, lecz w zimnym wyrachowaniu politycznym, stanowiąc jeden z aspektów osławionej „zimnej wojny".

Następny punkt to bezpośrednia pomoc międzynarodowa dla krajów słabo ekonomicznie rozwiniętych. Episkopat australijski akceptuje ją oczywiście w całej pełni, jednocześnie jednak wysuwa pewne postulaty co do sposobów jej realizacji. Oto główne z nich: należy położyć nacisk na dostarczanie tym krajom przede wszystkim dóbr nie konsumpcyjnych, lecz produkcyjnych, które pozwolą na ich aktywizację gospodarczą; należy zainicjować w jak największej skali ochotnicze wyjazdy techników, agronomów, lekarzy, nauczycieli itp. na kilka lat do krajów ubogich, gdzie pracowaliby oni nad podniesieniem poziomu ekonomicznego i kulturalnego miejscowej ludności.

„Deklaracja" kończy się sformułowaniem obowiązków, jakich na swoim indywidualnym odcinku winien przestrzegać każdy mieszkaniec Australii, by przyczynić się do realizacji w skali ogólnej wymienionych zasad.

Opracował *Juliusz Zychowicz*

DWA SPOJRZENIA NA MISJĘ KOŚCIOŁA

W wygłoszonym niedawno przemówieniu ks. Chappoulie, biskup Angers i były przewodniczący oddziału paryskiego Papieskiego Dzieła Misyjnego, zajął się stosunkiem Kościoła do rozmaitych cywilizacji, jakie ten w swej pracy misyjnej napotyka. Kościół zdaje sobie w pełni sprawę z głębokiego wstrząsu, jaki głoszone posłannictwo Chrystusowe wnosi w całą strukturę społeczną, w ramach której ludność danego kraju żyje przed przybyciem misjonarzy. Dlatego też właśnie, dążąc do zachowania wszystkiego tego, co może być zachowane z praw, obyczajów i instytucji danego narodu, Kościół żąda przede wszystkim używania miejscowego języka, do czego tak niewielu Europejczyków potrafi się zmusić.

Dzięki znajomości języka misjonarz może w maksymalnym stopniu poznać i wykorzystać dla swej pracy tradycje lokalne, np. w dziedzinie cnót rodzinnych, wyrazu artystycznego i w ogóle bogactwa kulturalnego.

Papież Pius XII od samego początku swego pontyfikatu podkreślał poszanowanie Kościoła dla różnorodności cywilizacyjnej i wysiłki w kierunku pozyskania „wszelkich płodnych wartości duchowych dla żywego głoszenia Ewangelii Chrystusowej".

*

„Le Monde" z 5 listopada r. 1957 przynosi ciekawy artykuł Jean Lacroix *Cywilizacja i chrześcijaństwo*. Dla nas katolików jest to problem obecnie szczególnie aktualny. Jak widać, pasjonuje on teologów, filozofów, pisarzy, prawników, socjologów i artystów zarówno z Zachodu jak i ze Wschodu, którzy współpracują w „Towarzystwie Kultury Europejskiej", wydającym swój organ — „Comprendre". W tym to przeglądzie polityczno-kulturalnym wypowiedzieli na ten temat swoje uwagi: Camus, Giraudoux, Roland, Barthes i inni.

Jean Lacroix podaje w wielkim skrócie zasadnicze myśli pracy publikowanej ostatnio w „Comprendre". Transcendentna myśl chrześcijańska zawierała zawsze w sobie pierwiastek boski, była jedyna, wieczna i podporządkowana duchowi, podczas gdy cywilizacje były — i są — typowo ludzkie, rozliczne, przemijające i poddane wpływom czasu.

Europa w rozwoju cywilizacji poprzez wieki miała niewątpliwie prymat przesycania kulturą chrześcijańską tych, którzy z nią się stykali. Dziś jednak, po tak wielu popełnionych błędach, czy nie musiała zwątpić w swoją misję?

Od trzech wieków Europa rozwijała tylko cywilizację, którą człowiek w końcu stawia pod wielkim znakiem zapytania — jeśli idzie o osiągnięcie kryterium uniwersalistycznego. A cywilizacja ogólnoludzka jest dopiero prawdziwą cywilizacją człowieka.

„Chrześcijaństwo powinno połączyć się z kulturą europejską na nowo, nie tylko faktycznie, lecz także i prawnie, w swoim wspólnym powołaniu ogólnoludzkim. Wtedy uniwersalizm przejawić się będzie mógł w technice, nauce i filozofii oraz koncepcji chrześcijańskiej człowieka" — pisze Campagnolo. Wszystkie walki wyzwoleńcze młodych narodów, walczących przeciw Europie, które atakują ją w imię swoich czystych wartości, są tego najlepszym dowodem.

Francuzi widzą obecnie dwie możliwe drogi dla cywilizacji europejskiej:

1. Dla ocalenia cywilizacji europejskiej stworzyć jakby odciętą od innych, niepełną przez to i bardzo ograniczoną cywilizację.

2. Inni, potępiając tamto cofnięcie się niejako do barbarzyństwa, uważają, że jedynym sposobem dla cywilizacji europejskiej jest pozostać wierną swemu powołaniu ogólnoludzkiemu i odrodzić cywilizację chrześcijańską. W tym ostatnim ujęciu jest chyba jakieś zaufanie w wielką misję Europy w obecnych czasach, kiedy to wyzwalanie każdego dobra ludzkiego pozostaje w impasie i niepewności.

Juliusz Zychowicz i *Halina Żulińska*

TEOLOGIA EKUMENICZNA

Z zainteresowaniem obserwuje się rozwój ruchu ekumenicznego. Wśród rozlicznych wyznań protestanckich daje się zauważyć silna tendencja do unifikacji.

Książkę amerykańskiego protestanta W. Hortona[1] (pisze o niej „The Times Literary Supplement" z 31 sierpnia 1956 r.) cechuje troska odnalezienia tego, co wspólne wielu wyznaniom chrześcijańskim. Autor wychodzi z założenia, że ponieważ jest jeden Bóg, musi być jedna teologia. Stąd płynie przekonanie, że teologia powinna być traktowana jako dziedzina ekumeniczna, powszechna, a nie z punktu widzenia takiego czy innego wyznania chrześcijańskiego.

Rozdziały książki są następujące: „Wiedza o Bogu", „Natura Boga", „Bóg i świat", „Bóg i człowiek", „Chrystus - Zbawiciel", „Kościół i źródła łaski" i „Chrześcijańska Nadzieja". W. Horton rozważa na tle tych zagadnień teologicznych: a — problem człowieka, b — rozwiązanie tych zagadnień przez kościoły chrześcijańskie, oraz c — rzeczy nierozwiązane i sporne.

Sposób opisywania poglądów katolickich i protestanckich jest obiektywny, nie zacierający różnic, wolny od polemicznego zacietrzewienia.

Jedną z ciekawszych obserwacji jest stwierdzenie, że za mało po-

---

[1] Walter Marshall Horton, *Christian Theology. An Ecumenical Approach*. Lutterworth Press (*Teologia chrześcijańska z punktu widzenia ruchu ekumenicznego*).

święca się uwagi doktrynie o naturze i funkcji Kościoła. Autor uważa, że nawet św. Tomasz z Akwinu daleki był od dokładności w tym względzie.

Książka Hortona może pobudzić do rozważania różnych, dotychczas nie dość dokładnie sprecyzowanych zagadnień teologicznych.

Jerzy Reichan

GABRIEL MARCEL — „CHRZEŚCIJAŃSKI EGZYSTENCJALISTA"

Prasa katolicka na Zachodzie komentowała żywo letnią wizytę francuskiego filozofa i dramaturga, Gabriela Marcel, w Japonii, w której dotychczas przeważały wpływy egzystencjalizmu niemieckiego. Zainteresowanie Jean-Paul Sartrem było w tym kraju żywe lecz krótkotrwałe i japońscy egzystencjaliści uważają na ogół, że jego teoria nie otwiera ciekawszych perspektyw, szczególnie w dziedzinie etyki. Na tym tle zrozumiałe jest, że kontakt z Gabrielem Marcelem może być dla Japończyków szczególnie interesujący i — być może — letnie kontakty wydadzą za jakiś czas owoce. Co jednakże przeciwstawia konkretnie Marcel Heideggerowi i Jaspersowi, którzy, jak dotąd, królują w młodej filozofii japońskiej? Jego nazwisko kojarzy nam się zwykle z tak zwaną „katolicką wersją" egzystencjalizmu. Owa „katolicka wersja" stanowić jednak może dla wielu czytelników określenie niebezpiecznie ogólnikowe, i niejednemu nasuwa chyba pewne pytania.

Egzystencjalizm znany jest powszechnie jako postawa niejako „zamknięta" zastanym i koniecznym układem warunków. Sam nawet akt wolności „dla wolności" jest tu immanentnie daremny. Katolicyzm natomiast jest „otwarty" i to „otwarty" w dwu perspektywach: skuteczność czynów a nawet myśli, „skuteczność wolności" sięga poprzez „czynienie ziemi poddaną" aż w plan nadprzyrodzony. Jakże więc, stojąc raz w „zamkniętym kręgu" egzystencjalizmu, można stworzyć jakąś jego „wersję chrześcijańską"? Jest tu tylko jedna droga: przebić krąg. Postawę Gabriela Marcela nazwać można właśnie „przebiciem kręgu".

„Filozofia moja — pisze w *Tajemnicy Bytu* — to właściwie refleksja nad procesem przechodzenia od egzystencji do bytu, refleksja nad dramatem tego procesu. Nasza egzystencja to splot warunków i układów, w jakie jesteśmy już uwikłani, zanim jeszcze mogliśmy dokonać wyboru własnej postawy. Ten czynik „dany" w naszym życiu jest znamieniem naszej natury istot stworzonych, istot które otrzymały dar egzystencji z zewnątrz i z góry: od Boga. Lecz nasza samowiedza wprowadza tu czynnik drugi: otwarte zagadnienie naszej własnej, nieprzymuszonej odpowiedzi na ową „daną" sytuację, otwarte zagadnienie postawy, jaką przyjmiemy dobrowolnie wobec naszej „danej" natury. Królestwo „bytu"

to właśnie dziedzina wolnego wyboru reakcji człowieka na zastany układ jego egzystencji".

Zawarte w powyższej definicji podkreślenie dramatyczności wizji filozoficznej G. Marcela nie jest jakimś akcentem retorycznym bez pokrycia. Przeciwnie, wydaje się, że zmysł dramatu i dynamiki świata, a nawet jego paradoksu, jest rodzajem klucza osobowości pisarskiej Marcela jako krytyka kultury i jako artysty, jako filozofa-nauczyciela i zarazem „ucznia ludzi", wsłuchanego zawsze, z bezmiernym szacunkiem i uwagą, w bezpośrednie intuicje i doświadczenia zwykłego człowieka.

Refleksje nad stosunkami technologii i kultury, którym Gabriel Marcel poświęcał w ostatnich latach co raz więcej miejsca w swych pracach, wychodzą zawsze od stwierdzenia stanu „dziania się" czy stanu konfliktu. *Człowiek przeciw społeczeństwu masowemu*, *Zmierzch mądrości*, czy nawet wcześniejszy dziennik filozoficzny *Byt i mienie* — to próby nie tyle systematyzowania zjawisk świata w jakąś całość zamkniętą i szczelną, ile obnażenie korzeni któregoś z jego dramatów. Źródeł dehumanizacji społeczeństwa szuka więc Marcel w odwróceniu hierarchii „bytu i mienia". Prymat „mienia", a więc aspektów ekonomicznych nad samym bytem osoby ludzkiej redukuje, jego zdaniem, znaczenie człowieka w świecie do funkcji w dziedzinie usług i dóbr materialnych. Ponieważ funkcję taką może zawsze wypełnić kto inny, osoba ludzka pozbawiona zostaje w ten sposób swej wartości wyróżniającej i niepowtarzalnej — i z czasem sama zatracić może świadomość swej tożsamości duchowej.

Pośród postaw moralnych, które zdaniem Marcela, stanowią rodzaj bastionów wolności i tożsamości i które są nieosiągalne dla porządku „technicznego", wymienia on „lojalność dla wielkiej Sprawy". Lojalność taka, stanowiąca żywą tradycję moralną wszystkich czasów i jeden z ulubionych tematów literackich egzystencjalizmu, nie jest jednak, w interpretacji Marcela, aktem desperacji, któremu sama daremność nadaje rangę heroizmu. Punktem wyjścia jego rozważań jest porównanie pomiędzy „lojalnością dla Sprawy" a „lojalnością konsumenta" zwerbowanego jako klient czy jako wyborca przez ekspertów „motywacji psychologicznej". Aczkolwiek przebieg i wyniki kampanii reklamowych obliczyć dzisiaj można z dużą dokładnością, to przecież ciągle zdarzają się tu luki i niespodzianki, bynajmniej zresztą nie „daremne" w płaszczyźnie politycznej czy gospodarczej. Zjawisko to przypisuje Gabriel Marcel działaniu „czynnika ludzkiego", leżącego poza zasięgiem najsprawniejszych nawet „technik manipulowania". Fakt, że czynnik taki istnieje, dowodzi, jego zdaniem, że istnieje też możliwość autentycznej, „czystej" lojalności „z wolnego wyboru".

Marcel jako dramaturg pozostaje wierny filozofii, podobnie jak jest wierny dramatycznej wizji świata jako filozof. Jego sztuki cechuje głę-

boka refleksyjność, ich problematyka ma często wymiar konfliktu personalizmu z postawami i siłami „porządku techniczego". Czasem któryś z owych konfliktów literackich staje się potem przedmiotem filozoficznych studiów autora, bywa też tak, że jego sztuki ucieleśniają którąś z poprzednich koncepcji filozoficznych. Ta symbioza zainteresowań i form twórczych, tak charakterystyczna dla Gabriela Marcela, wydać się musi szokująca zwolennikom poglądu, że filozofia zachować może naukową rangę i integralność jedynie w całkowitej izolacji od form i przeżyć rzędu artystycznego. Pogranicze filozofii i literatury musi jednak stanowić bezcenną formę wyrazu dla myśliciela, którego nieustanną, usilnie podkreślaną troską jest to, „ażeby filozofia nie odcięła się do reszty od doświadczeń żywej, potocznej ludzkiej inteligencji... ażeby zachowała swą życiodajną współzależność z sądami i sposobami myślenia konkretnych ludzi o rzeczywistym świecie".

Jądrem filozoficznym sztuk Marcela jest teza, że „człowiek znajduje i spełnia swe ludzkie powołanie ucząc się udziału w bycie". Ów „udział w bycie" nie oznacza jednak, jak to może termin sugeruje, jakiegoś mistycznego zespolenia z kosmiczną nirwaną, lecz „osiągnięcie jasnej świadomości swego osobistego miejsca i znaczenia, która to świadomość umożliwia z kolei rozumny i dobrowolny udział we wspólnocie ludzkiej". Takie postawienie sprawy czyni naturalnie teatr Marcela rodzajem antytezy teatru J. P. Sartre'a. Wizja Sartre'a to piekielna cela bez wyjścia, w której bohater, torturowany wewnętrznie przez własne czyny, wydany jest na niewymowną udrękę natarczywej obecności i spojrzeń innych ludzi. Nie ma tu możliwości ludzkiego kontaktu ani miejsca na wyzwalający gest ufności w stosunku do Ojca ludzi. W sztukach Marcela czuje się natomiast o b e c n o ś ć tej możliwości. Nie jest tu ona pokusą sentymentalizmu, jakąś jednorazową „pigułką na tragizm świata", ale drogą, obecną i otwartą, drogą czekającą, nieraz na drugim planie, na dobrowolny akt ludzkiego wyboru. Zamiast zamkniętych czterech ścian Sartre'a — scena Marcela to najczęściej typowy dom rodzinny, pełen drzwi, okien i ruchu, które symbolizują tutaj dostępność człowieka dla innych ludzi i jego zdolność współżycia.

W sztuce *Sługa boży* Marcel ukazuje nam powrót w życie dwojga ludzi, sprawy dawnej zdrady i przebaczenia, która jednak nie była wówczas załatwiona „do końca", a raczej była załatwiona źle. Pastor Leyman, który przed laty przebaczył był żonie jej związek z innym człowiekiem, uprzytamnia sobie stopniowo, jak dalece bezosobisty, pełen wyższości i „zawodowy" był ów akt „rozgrzeszenia", jak dalece postawa mechanicznej reakcji na „fakt obiektywny" wyparła autentyczną przyjaźń i zrozumienie osoby ludzkiej we własnej żonie. W innej sztuce, *Rozbity świat* Gabriel Marcel przedstawia również wypadek dramatycznej personalizacji postawy ludzkiej pod wpływem szoku, którym

tym razem jest śmierć bliskiego człowieka. Okupacyjna sztuka *Znak krzyża* ukazuje różnorodne reakcje na antysemityzm. Późniejsze utwory dramatyczne Marcela koncentrują się coraz częściej wokół dramatu ludzi osaczonych przez bezosobiste i nieludzkie potęgi społeczeństwa technicznego.

W swych traktatach filozoficznych, z których dwa, pisane w formie dzienników *Dziennik Metafizyczny* i *Byt i mienie* są bezpośrednią relacją przemyśleń i kryzysów, Marcel trzyma się konsekwentnie swej metody konfliktowych punktów wyjścia dla filozoficznej spekulacji i jego refleksje ześrodkowują się wokół zagadnień takich, jak sztuka a filozofia, filozofia a szary człowiek, egzystencja a byt, społeczeństwo a osoba. Jeżeli chodzi o dorobek Marcela jako myśliciela, „który filozofuje po chrześcijańsku" (obstaje on przy takim określeniu twierdząc, że nie pretenduje do tworzenia „chrześcijańskiej filozofii"), to wydaje się on podwójnie cenny. „Egzystencjalizm optymistyczny" jako drugi — obok silnych tradycji tomizmu — aspekt widzenia świata jest — conajmniej — pożytecznym partnerem intelektualnym. Jako studium konfliktu personalizmu z cywilizacją techniczną myśl autora *Zmierzchu mądrości* może stanowić pożyteczną wspólną platformę humanistów chrześcijańskich i niechrześcijańskich, przy czym specjalnie podkreślić tu należy pryncypialny szacunek Marcela, który sam jest zresztą konwertytą, dla osobistych dróg szukania prawdy ludzi niewierzących. Ostrzega on myślicieli chrześcijańskich przed wszelkim „intelektualnym paternalizmem" twierdząc, że „łaska stanu filozofa jest nie tylko łaską oświecenia lecz także i koniecznie — łaską pokory".

Z postawą „filozoficznej pokory" łączy się u Marcela logicznie jego koncepcja źródeł inspiracji filozoficznej i żądania filozofii. Ponieważ filozof, jego zdaniem, musi „uczyć się wciąż jako żywy człowiek wśród żywych ludzi, a nie zamykać się w rutynie zawodowego »technika spekulacji intelektualnych«, winien on badać stale i z uwagą głęboki sens ogólny i zdumiewające intuicje, jakie kryją w sobie nasze najprostsze wyobrażenia i reakcje, a nawet określenia języka poza-filozoficznego". Traktaty i eseje Marcela są też pełne opisów spotkań z ludźmi, typów umysłowości, powiedzeń i refleksji przygodnych znajomych. Element literacki i osobisty, który w intencjach autora ma zapobiegać wyrodnieniu filozofii w oderwaną od żywych ludzi „technikę spekulacji", obciąża jednak w znacznym stopniu tok wywodów, co w połączeniu z precyzyjnym lecz zawiłym stylem Marcela czyni jego prace lekturą dość uciążliwą.

Jest jakaś niewesoła ironia w owej formalnej „niedostępności" pisarza, który poświęcił tak wiele troski „uczynieniu filozofii przydatną w życiu zwykłych ludzi". Tym ważniejsze wydaje się zadanie jego kry-

tyków, komentatorów i tłumaczy. W Ameryce zdziałał już wiele w tej dziedzinie James Collins, autor *Historii współczesnej filozofii europejskiej* i wielu esejów krytycznych. Jedną z ciekawszych współczesnych prac francuskich na temat filozofii Marcela jest książka O. Roger Troisfontaines *Od egzystencji do bytu; filozofia Gabriela Marcela*. Być może i w naszym kraju G. Marcel doczeka się z czasem jakiegoś poważniejszego opracowania.

M. G.

CZASOPISMA FILOZOFICZNE NOWE I WZNOWIONE

(„AQUINAS" — „RUCH FILOZOFICZNY")

Wydział Filozoficzny Papieskiego Uniwersytetu Lateraneńskiego w Rzymie przystąpił do wydawania nowego czasopisma poświęconego filozofii pt. „Aquinas Rivista Quadrimestrale di Filosofia"[1]. W pierwszym numerze zamieszczone jest słowo wstępne — *Presentazione* — rektora Uniwersytetu na Lateranie, Antonio Piolantiego. Po przypomnieniu wkładu, jaki pracownicy uczelni włożyli w rozwój nauki katolickiej, ks. Piolanti podkreśla, że na Uniwersytecie Lateraneńskim uprawiana jest filozofia św. Tomasza z Akwinu. Tej właśnie filozofii służyć ma „Aquinas", uwzględniając równocześnie w swym programie dyskusję z koncepcjami przeciwnymi oraz przyswajanie filozofii wieczystej wszystkiego, co prawdziwe.

Zawartość omawianego numeru dzieli się na artykuły, krótsze szkice („*Note*") i recenzje. Dział pierwszy wypełniają prace:

C. Fabro: *Dall'ente di Aristotele all'„esse" di S. Tommaso.*

G. Giannini: *A proposito del „Thomas von Aquin und wir" di J. Hessen.*

U. Degl'Innocenti: *Una nuova prova dell'esestenza di Dio.*

R. Masi: *La filosofia e la fisica hanno provato la costituzione atomica della materia?*

Interesujące są również dwa przyczynki z działu drugiego:

G. Giannini: *Sull'autonomia dell'indagine filosofica.*

E. Nicoletti: *Il problema del valore.*

Szata zewnętrzna nowego periodyku — estetyczna. Jedno tylko nasuwa się życzenie pod adresem redakcji: jeśli „Aquinas" sięgać ma swymi wpływami poza granice Włoch — trzeba, by zamieszczane w nim były nie tylko artykuły pi-

[1] Do sześcioosobowego komitetu redakcyjnego „Aquinas" należy również Polak, Janusz Motylewski. Na czele komitetu stoi Giorgio Giannini. Adres redakcji i administracji: *Pontificio Ateneo Lateranense, Roma, Piazza S. Giovanni in Laterano 4.*

sane po włosku, ale i w innych językach, podobnie jak to jest przyjęte w czasopismach innych rzymskich uczelni: dominikańskim „Angelicum", franciszkańskim „Antonianum", jezuickim „Gregorianum".

*

„Ruch Filozoficzny" został założony we Lwowie w roku 1911 przez Kazimierza Twardowskiego. W ciągu swego rozwoju przybierał — zależnie od możliwości wydawniczych — rozmaite formy: początkowo ukazywał się jako miesięcznik, potem jako kwartalnik; trzykrotnie zaś w wydawaniu czasopisma następowała kilkuletnia przerwa: w r. 1914, 1939 i 1951. Obecnie został wznowiony przez Polskie Towarzystwo Filozoficzne w postaci kwartalnika [2].

Redakcja „Ruchu" nawiązuje do tradycji i wznowionemu czasopismu wyznacza jego dotychczasową rolę: rzetelnego informowania czytelników o życiu filozoficznym w kraju i na świecie a przez to łączenia filozofów polskich między sobą i łączenia ich ze światową społecznością filozoficzną. Obok rubryk informacyjnych w każdym zeszycie mają być zamieszczane krótkie artykuły o aktualnych zagadnieniach filozoficznych; dział ten pomyślany jest przez redakcję jako teren ewentualnych dyskusji.

Pierwszy, potrójny zeszyt tomu XVIII-ego zawiera m. in. wspomnienia pośmiertne o trzech wybitnych polskich filozofach: Władysławie Heinrichu († 1957), Wincentym Lutosławskim († 1954) i Janie Łukasiewiczu († 1956); liczne autoreferaty z odczytów i wykładów; przegląd czasopism; zapiski bibliograficzne (a. prace polskie i przekłady na język polski, b. prace w językach obcych); wiadomości wydawnicze oraz informacje o filozoficznych wykładach, odczytach i referatach, organizacjach, zjazdach, wydarzeniach z życia uczonych itp.

Dostarczone materiały przedstawiają tym większą wartość, że w dużej mierze poza „Ruchem Filozoficznym" są nie do znalezienia. Pod względem czasu uwzględniają zasadniczo okres od r. 1956, w wypadkach ważniejszych jednak cofają się również wstecz.

Podkreślić należy solidność informacji na temat działalności i składu organizacji filozoficznych oraz obsady katedr filozofii w polskich uniwersytetach. W informacjach tych zarejestrowana została również działalność i skład Wydziału Filozoficznego Towarzystwa Naukowego KUL oraz obsada katedr na Wydziale Filozofii KUL.

Pewne uwagi nasuwają się odnośnie do „Przeglądu czasopism" oraz „Zapisków bibliograficznych" — interesujących zresztą i bogatych. W pierwszej z tych rubryk nie odnotowano żadnego z tak licznych przecie periodyków tomistycznych. Również w drugiej rubryce brak

---

[2] Komitetem redakcyjnym pisma jest Zarząd Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Na czele redakcji stoi Tadeusz Czeżowski. Adres redakcji i administracji: Toruń, Uniwersytet, Zakład Logiki.

niektórych tytułów godnych uwagi, np. znakomitego dzieła Etienne Gilsona: *History of Christian Philosophy in the Middle Ages* (New York 1955, Random House, ss. XVII, 829). Nie można jednak z powodu wspomnianych braków stawiać redakcji zarzutów, zapewne bowiem następne zeszyty „Ruchu Filozoficznego" uzupełnią to, co obecnie zostało pominięte.

Ks. Bohdan Bejze

O PUBLIKACJACH KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO Z ZAKRESU FILOZOFII

Wydział Filozofii KUL powstał dopiero w roku 1946. Jednakże podobnie jak wykłady z szeregu dyscyplin filozoficznych prowadzone były na Uniwersytecie od początku jego działalności, tak również na długo przed inauguracją Wydziału Filozoficznego wydawane były przez KUL publikacje filozoficzne. Uwagi niniejsze mają poinformować o tym, jakiego typu prace filozoficzne znajdują się w dotychczasowym dorobku wydawniczym KUL-u.

Wśród wydawnictw filozoficznych, które ukazały się w okresie przedwojennym, znajdują się opracowania podręcznikowe oraz monograficzne. Do pierwszych należą m. in. ks. Franciszka Gabryla *Noetyka*, 1931; ks. Witolda Rubczyńskiego trzytomowa *Etyka*, 1936; opracowany zbiorowo *Zarys filozofii*, 1929. Do drugich: ks. Józefa Pastuszki *Psychologia indywidualna*, 1938; Henryka Romanowskiego *Nowa filozofia Bergsona*, 1930.

Z publikacji powojennych charakter podręcznikowy posiadają: ks. Józefa Pastuszki dwutomowa *Psychologia ogólna*, wyd. I w r. 1947, wyd. II w r. 1957; Stefana Swieżawskiego *Byt (Zagadnienia metafizyki tomistycznej)*, 1948. Natomiast rozprawami monograficznymi z ostatnich kilku lat są: o. Feliksa Bednarskiego O. P. *Przedmiot etyki w świetle zasad św. Tomasza z Akwinu*, 1956; Ks. Antoniego Korcika *Teoria sylogizmu zdań asertorycznych u Arystotelesa na tle logiki tradycyjnej*, 1948. W druku znajduje się m. in. o. Alberta Krąpca *Teoria analogii bytu*.

Jedna z kilku serii wydawniczych, w których grupowane są publikacje KUL-u, nosi nazwę „Rozprawy doktorskie, magisterskie i seminaryjne". Z prac filozoficznych ogłoszonych w tej serii ukazały się m. in.: studium Marii Naksianowicz-Gołaszewskiej *Twórczość a osobowość twórcy*, 1958; Ks. Mariana Jaworskiego *Arystotelesowska i tomistyczna teoria przyczyny sprawczej na tle pojęcia bytu*, 1958; o. Mikołaja Tokar-

skiego *Filozofia bytu u Mikołaja z Kuzy*, 1958.

Inna seria wydawnicza, o charakterze naukowo-popularnym, to „Wykłady i przemówienia". W serii tej znalazła się praca ks. Józefa Pastuszki *Filozofia a religia. Ich psychologiczna geneza i wzajemne oddziaływanie*, 1949.

Podobnie jak wszystkie inne wydziały uniwersytetu, tak i Wydział Filozoficzny wydaje swoje „Roczniki", zawierające zbiory rozpraw. Tom pierwszy „Roczników Filozoficznych" ukazał się w roku 1948. Dużym wydarzeniem był tom II/III poświęcony filozoficznej problematyce człowieka. Obecnie „Roczniki Filozoficzne" wydawane są w oddzielnych zeszytach poświęconych poszczególnym naukom. I tak na tom V z r. 1957 złożyły się cztery zeszyty, zawierające prace z psychologii, logiki, historii filozofii oraz zbiór rozpraw z różnych dziedzin, umieszczony w tzw. zeszycie jubileuszowym (wydanym z okazji dziesięciolecia Wydziału Filozofii KUL). Ostatnio ukazał się zeszyt poświęcony filozofii bytu (metafizyce), należący już do VI tomu „Roczników".

Przed kilkoma miesiącami powstało na uniwersytecie nowe wydawnictwo — kwartalnik pt. „Zeszyty Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego". W pierwszych trzech numerach, które dotychczas zostały wydane, znajdują się — obok artykułów z innych dyscyplin — również artykuły i recenzje filozoficzne oraz sprawozdania z prac nad filozofią, prowadzonych na Wydziale w ostatnich kilku latach.

Dla uzupełnienia powyższych informacji warto dodać następujące uwagi:

1. Wśród publikacji KUL są również takie pozycje, które nie należą do filozofii w ścisłym znaczeniu, jednakże problematyce jej są bliskie. Przykładowo biorąc, zaliczają się do nich: Bohdana Rutkiewicza *INDYWIDUALIZACJA, EWOLUCJA I FINALIZM BIOLOGICZNY*, 1932; Ks. Antoniego Słomkowskiego *POCHODZENIE CZŁOWIEKA W ŚWIETLE NAUKI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO I W ŚWIETLE TEORII EWOLUCJI*, wyd. I w r. 1946, wyd. II w 1947.

2. Zarówno w *Rocznikach Filozoficznych*, jak i w *Zeszytach Naukowych* piszą obok długoletnich wykładowców — asystenci, nowopromowani doktorzy, doktoranci. Świadczy to o takiej atmosferze na Wydziale i w kręgach kierujących wydawnictwami KUL-u, która ułatwia start naukowy jego wychowankom.

Ks. Bohdan Bejze

WŚRÓD PUBLIKACJI FILOZOFICZNYCH

Przegląd prac z zakresu historii i filozofii, którym poświęcony ma być bieżący odcinek naszego przeglądu, rozpocząć wypada od niewielkiej książki, zasługującej na to nie tylko z tego powodu, że dotyczy Sokratesa, ale i dlatego, że dzięki ogromnie interesującemu i wielokroć odkrywczemu potraktowaniu tematu wysuwa się na czoło rozpraw omawianej dziedziny. Chodzi o książkę Adama Krokiewicza — *Sokrates* (Warszawa 1958, Instytut Wyd. Pax, s. 188, cena 23 zł. Rozdziały: 1. Uwagi wstępne, 2. Arystofanes oskarża Sokratesa, 3. Sokrates i jego przekora, 4. Dialektyczna pasja Sokratesa, 5. Platon i tzw. mniejsi sokratycy, 6. Powody skazania Sokratesa).

Adam Krokiewicz jest wielce zasłużonym badaczem, dobrze znanym historykom i miłośnikom filozofii starożytnej. Spod jego pióra wyszły przekłady *Zarysów pirrońskich* Sekstusa Empirika, *De rerum natura* Lukrecjusza, jest on także autorem szeregu monografii od wielkiej *Nauki Epikura* i fundamentalnych *Studiów orfickich* poczynając, na artykułach poświęconych mniej stosunkowo znanym filozofom, jak Filon z Laryssy, Antioch z Askalonu, czy Tymon z Fliuntu kończąc. Obecnie znajduje się w druku, w ramach Biblioteki Klasyków Filozofii, jego przekład *Ennead* Plotyna.

„...Zależało mi na tym — czytamy w przedmowie do *Sokratesa* — żeby głównym „bohaterem" mojej pracy ... był istotnie on sam, więc opisałem po prostu ten jego obraz, jaki się ustalił w mojej świadomości po prześledzeniu źródeł starożytnych w ogólnym świetle nowoczesnej literatury naukowej. Na *Sokratesa* składają się zatem wiarogodnie poświadczone fakty z jego życia i ich intuicyjna interpretacja syntetyczna" (s. 8).

I rzeczywiście. Przed czytelnikiem książki Krokiewicza staje Sokrates „istotnie on sam", wydobyty z szeroko zakreślonego tła historycznego, gorący patriota, czynnie uwikłany w aktualnie rozgrywające się wypadki polityczne, a równocześnie filozof dowcipny i przekorny, nade wszystko zaś zadziwiająco mądry i wywierający niezwykły wpływ i urok na najbliższe otoczenie. By możliwie najpełniej nakreślić jego sylwetkę, Krokiewicz wykorzystuje wszelkie dostępne dokumenty historyczne, nie odrzucając żadnego, zwłaszcza, jeśli pochodzi z czasów współczesnych Sokratesowi. Niezwykle ciekawe wyniki przyniosła ta metoda w odniesieniu do pism antagonistów Sokratesa, w szczególności do *Chmur* Arystofanesa. Nie ulega wątpliwości, że komedia ta przedstawia Sokratesa w karykaturze, okazuje się jednak, że i z niej wydobyć można szereg rysów prawdziwych i ważnych dla zrekonstruowania osobowości filozofa: *Chmury* są bowiem karykaturą opartą na historycznej prawdzie.

Wiele jest także na nowo ukazanych i na nowo rozwiązanych problemów dotyczących samej filozofii Sokratesa. Żaden z nich nie jest zresztą pominięty, a rozdział IV doskonale syntetyzuje dorobek Sokratesa i precyzuje jego rolę w historii filozofii. Zasygnalizujmy, dla przykładu, niektóre z tych problemów. I tak zwraca Krokiewicz między innymi uwagę na specyfikę Sokratesowego pojęcia wiedzy. Nie miała być ona wyłącznie zbiorem czysto teoretycznych wiadomości. Sokrates rozumiał ją jako związaną najściślej ze sferą wolitywną i uczuciową człowieka. Takie potraktowanie sprawy pozwala zrozumieć jego przekonanie, że „cnota jest wiedzą". Spośród innych zagadnień, znajdujemy przekonywujące wytłumaczenie słynnego, przekazanego przez tradycję wyznania filozofa: „wiem że nic nie wiem". Znajdujemy też szereg uwag dotyczących suponowanej przez Sokratesa teorii człowieka, w szczególności duszy ludzkiej, jego pojęcia metody (dialektyki), definicji, jego teorii cnoty, dobra i zła itp. Wreszcie przedstawia też nam Autor własną interpretację pojęcia *daimoniona* — ducha opiekuńczego Sokratesa, który opiekował się nim w szczególny sposób, a którego sprowadza Krokiewicz do „...przeczucia, opartego na silnym egotyzmie i swoistej, wyrywającej się z więzów intelektualnej wiedzy — intuicji uczuciowej" (s. 62). Ta ostatnia interpretacja budzi zresztą zastrzeżenia. Czy istotnie *daimonion* mieści się w tego typu intuicji? Czy — w szczególności — można przyjąć, że właśnie u c z u c i o w a intuicja jest ostatecznym imperatywem kierującym postępowaniem tak na wskroś racjonalistycznego i intelektualistycznie nastawionego myśliciela?

Rozdział przedostatni dotyczy uczniów Sokratesa: Platona i tzw. mniejszych sokratyków. Krokiewicz zwraca uwagę na niezwykłe osamotnienie Platona w budowaniu teorii idei i na ataki, jakie nań skierowano za to, że w swych dialogach wkładał ją w usta Sokratesa. Na tym tle Krokiewicz przekonywująco tłumaczy, dlaczego w pewnym momencie platoński Sokrates przestał być rzecznikiem teorii idei, co więcej, że stał się współaktorem jej krytyki w *Parmenidesie*, by jednak w końcu przypatrzeć się jej zwycięstwu — w zmodyfikowanej formie — w *Timaiosie*. Okazuje się, że różne role, jakie Sokrates zajmuje w *Dialogach* wobec omawianej teorii, są ściśle sprzęgnięte z fazami ewolucji, jakiej wobec koncepcji idei podlegał sam Platon.

Tych kilka przykładów musi niestety wystarczyć dla zilustrowania wielkiego bogactwa tej książeczki o Sokratesie i jego uczniach, z której kart przebija nie tylko ogromna wiedza Autora, ale i głębokie i szczere umiłowanie opisywanych postaci.

*

Praca o. Mikołaja Franciszka Tokarskiego pt. *Filozofia bytu u Mikołaja z Kuzy* (Lublin 1958, Tow. Naukowe KUL, s. 370, cena 55 zł)

przenosi nas w problematykę filozoficzną schyłku Średniowiecza a równocześnie pierwszych przebłysków narastającej powoli kultury Odrodzenia. Mikołaj z Kuzy jest typową postacią tego przejściowego okresu. Z jednej strony jego związki z filozofią średniowieczną są niezwykle silne, wyrasta z niej, skupiając w swej oryginalnej doktrynie wielorakie wątki zapoczątkowane jeszcze w starożytności, z drugiej zaś wyprzedza w pewnym sensie szereg metafizycznych i kosmologicznych doktryn, które rozwiną tzw. renesansowi filozofowie przyrody i wywiera bezpośredni i niezwykle silny, choć nie zawsze doceniany przez historyków wpływ na najwybitniejszego z nich Giordano Bruna, a także Karola Bouillé, Leonarda da Vinci a prawdopodobnie i na Mikołaja Kopernika. Czerpiąc obficie z Platona, Plotyna i neoplatoników, św. Augustyna i Alberta Wielkiego, a przede wszystkim ze stawianego najwyżej i niewątpliwie najbliższego jego doktrynie Ps. Dionizego Areopagity, Mikołaj z Kuzy buduje chyba najciekawszy a bodaj i jedyny pełny system metafizyczny „jesieni średniowiecza". Punkt krystalizacyjny tego systemu stanowi filozofia Boga. Bóg jest — według Kuzańczyka — Bytem absolutnym, któremu przede wszystkim przysługuje cecha nieskończoności („Nieskończony Absolut"). Jako nieskończony, jest on i „najmniejszy" i „największy", a zarazem i przewyższający w nieskończony sposób wszelkie przeciwstawienie. I tu dochodzimy do określenia Boga, które w takim sformułowaniu pojawia się po raz pierwszy: Bóg jest zbieżnością przeciwieństw. Nie tylko więc można o Nim wszystko twierdzić i wszystko przeczyć, jak to stwierdzał Ps. Dionizy, postulując absolutną transcendencję poznawczą Boga. Przeciwieństwa, które dla Ps. Dionizego dopuszczalne były w porządku orzekania, u Mikołaja z Kuzy nabrały realnej rzeczywistości metafizycznej: Bóg, jako „największy" jest w pełni Bytem, jako „najmniejszy" jest nie-bytem równocześnie, a byt i niebyt rzeczywiście „współgrają" w Jego Nieskończoności, sprawiając, że *coincidentia oppositorum* jest Jego istotną naturą. Na marginesie trzeba nadmienić, że zależność Mikołaja z Kuzy od Ps. Dionizego, a równocześnie owo znamienne przesunięcie z porządku poznawczego w porządek metafizyczny w tej właśnie sprawie nie zostały w rozprawie o. Tokarskiego zbyt silnie zaakcentowane.

Zarysowane wyżej pojęcie Boga domaga się odpowiednio dostosowanego sposobu ujęcia Go od strony poznania. I tu wypracowuje Kuzańczyk słynną teorię „uczonej niewiedzy", która w części należy do filozofii, w części do mistyki. „Filozofia mistyczna" — to zaproponowany przez o. Tokarskiego termin, który dobrze oddaje istotę tej szczególnej wiedzy, pozwalającej z jednej strony zbliżyć się do poznawczego ujęcia Boga, pojętego jako zbieżność przeciwieństw, z drugiej zaś poznać skomplikowaną strukturę świata. Świat pojmuje Mikołaj z Kuzy jako „ograniczoną nieskończoność", nie posiadającą ani obwodu, ani środka czy

centrum stałego, złożoną ze skończonych, odrębnych bytów, między którymi zachodzą jednak ścisła jedność, harmonia i powiązania zależnościowe. Ten to właśnie obraz świata zaważyć miał tak silnie na filozofii Giordana Bruna. W wieku XVII zostanie on jeszcze raz przypomniany w postaci monadologii Leibniza.

Rozprawa o. Tokarskiego pisana w ramach seminarium historii filozofii KUL pod kierunkiem prof. S. Swieżawskiego jest pierwszą w naszym języku książką poświęconą Mikołajowi z Kuzy. I chyba nie popełnimy przesady, gdy powiemy, że jest ona również jedną z poważniejszych monografii w światowej literaturze dotyczącej tego filozofa. Oparta w zasadzie na dwóch jego podstawowych traktatach: *De docta ignorantia* i *Apologia doctae ignorantiae*, w sposób wyczerpujący i w pełni uzasadniony tekstami przedstawia zawartą w nich filozofię bytu, ukazując równocześnie jej powiązania z poprzedzającą ją tradycją filozoficzną oraz „ustawiając" ją w siatce wielorakich wpływów i prądów kulturalnych XIV i XV wieku. Imponuje również wykaz zebranej literatury dotyczącej Mikołaja z Kuzy, zawierającej 474, w większości wykorzystane pozycje. Rozprawa dzieli się na następujące rozdziały: Wstęp; Mikołaj z Kuzy na tle duchowego oblicza swej epoki; Ogólna teoria poznania Mikołaja z Kuzy; Poznanie i istota bytu absolutnego; „Uczona niewiedza" a mistyka Filozofa z Kuzy; Świat w świetle teorii „uczonej niewiedzy"; Problem panteizmu w traktatach *De docta ignorantia* i *Apologia doctae ignorantiae;* Wpływ poglądów Kuzańczyka w dziejach myśli filozoficznej; Zakończenie; Wnioski. W „Dodatku" Autor zamieścił szkic o życiu i działalności Mikołaja z Kuzy, oraz artykuł poświęcony jego roli na polu nauk matematycznych. Książka zawiera ponadto chronologiczny spis wszystkich dzieł Kuzańczyka i zaopatrzona jest w szczegółowe indeksy oraz streszczenie w języku francuskim.

*

Poświęcony pracom z zakresu historii filozofii zeszyt „Roczników Filozoficznych" (Tom V, zeszyt 3, Lublin 1957, Tow. Naukowe KUL, s. 173, cena 27 zł) otwiera rozprawa ks. Franciszka Tokarza pt. *Saccidananda, próby Upaniszad określenia Absolutu jako Bytu (Sat), Świadomości (Cit) i szczęśliwości (Ananda).* Treść jej poświęcona jest niektórym zagadnieniom zawartej w *Upaniszadach* nauki o Bogu, ujętym w sprecyzowanych w tytule aspektach. Pozwólmy sobie, na marginesie tej rozprawki, na pewne nie całkiem może historyczne refleksje.

Jednym z najczęstszych zarzutów stawianych nie od dziś filozofii jest między innymi zarzut dotyczący braku porozumienia między filozofami i ogromnej rozbieżności odpowiedzi, padających z różnych stron na podstawowe pytania dotyczące Boga, bytu, człowieka. Jest rzeczą

niewątpliwą, że wskazanie na różnice zachodzące na przykład między systemami filozofii europejskiej a indyjskiej mogłoby stać się — i często się zresztą staje — doskonałą podbudową tego rodzaju zarzutów. I oto właśnie w *Upaniszadach* znajdujemy cały szereg zdań, które świadczą, że filozofowie indyjscy nie tylko stawiali takie same problemy, jak filozofowie naszego kręgu kulturowego, ale co więcej, że problemy te w analogiczny sposób rozwiązywali i dochodzili do takich samych, jak i my odpowiedzi. Rzecz charakterystyczna, zbieżności te zachodzą w szczególności właśnie w filozofii Boga. I tak dla przykładu, znajdujemy w *Upaniszadach* wyrażenia określające Go jako byt, istnienie, jako świadomość, mającą za swój przedmiot własne myślenie — jak u Arystotelesa i św. Tomasza, a także określenia stwierdzające — jak u neoplatoników, Ps. Dionizego czy Mikołaja z Kuzy — że Absolut „nie jest ani takim, ani takim (neti — neti)". Na pokrewieństwa neoplatonizmu z filozofią indyjską wskazywano zresztą od dawna. Ale zwróćmy uwagę na jeden zwłaszcza fragment *Chandogya-Upanisad,* pod którym mogłoby się podpisać jakże wielu filozofów europejskich: „Istniejącym *(sat)* było to, mój drogi, na początku, jednym tylko bez drugiego. Wprawdzie niektórzy powiadają, że to było niebytem *(asat),* na początku..., że z tego niebytu powstał byt. Ale jakżeż, mój drogi, może tak być, ... jak z tego, co nie istnieje może powstać to, co istnieje? Przeciwnie, istniejącym było to, mój drogi, na początku, jednym, bez drugiego" (s. 8).

A więc, mimo wszystko są w filozofi takie wątki przewodnie, które stykają się pomimo najbardziej radykalnych, wydawałoby się, różnic cywilizacyjnych i kulturowych. A więc istnieje jakaś zasadnicza, przezwyciężająca różnice jedność filozofowania i jedność filozofii — *the unity of philosophical experience,* by posłużyć się tytułem słynnej książki E. Gilsona. Może więc — w końcu — nie jest z filozofią tak źle, jakby się niekiedy wydawało!

Drugim artykułem, wychodzącym także poza filozofię europejską jest praca T. Milewskiego pt. *Elementy panteistyczne religii Azteków.* Autor przytacza szereg bardzo ciekawych danych charakteryzujących tak mało znane u nas wierzenia panujące na obszarze Meksyku przed przybyciem kolonizatorów hiszpańskich. Głównym rysem tej religii było przekonanie o życiu wszechświata, życiu, którego trwanie i rozwój zależne są od specyficznego zachowania się, a w szczególności krwawych ofiar ludzi. Religia Azteków przeszła znamienną ewolucję od kosmologicznego politeizmu do specyficznego monoteizmu, wedle którego Bóg pojęty został jako siła, przejawiająca się w naturze, z której to siły z kolei czerpią swą bytowość inni bogowie. Ze względu na koncepcję tej siły, Autor określa religię Azteków jako system protopanteistyczny.

Problem panteizmu, tym razem u Ps. Dionizego Areopagity, stał się tematem rozprawy Władysława Stróżewskiego *(Problem panteizmu w „De divinis nominibus" Ps. Dionizego Areopagity)*. Autor stara się wykazać, że doktryna omawianego teologa i mistyka uchyla się spod stawianego jej często zarzutu panteizmu. Próba zasadniczego dowodu tej tezy przeprowadzona została na tle odpowiednio zarysowanej teorii partycypacji, czyli „uczestniczenia" jednego przedmiotu w drugim. W wyniku zastosowania tej teorii do tez filozofii Ps. Dionizego okazało się, że podpadają one pod ten wypadek partycypacji, który nie prowadzi do związków ściśle istotowych (wewnątrzistotowych) między bytami. A ten to właśnie związek stanowi warunek konieczny wszelkich rozwiązań panteistycznych.

Trzy następne artykuły dotyczą problematyki filozoficznej XII wieku. Pierwszy z nich, M. Gogacza, pt. *O przedmiocie metafizyki w XII w. (z historii stosunku metafizyki do mistyki na tle zagadnienia odmian neoplatonizmu)* precyzuje szereg dwunastowiecznych typów metafizyki, jak np. metafizyka „Absolutnego Ducha" reprezentowana przez Anzelma, nominalistyczno-personalistyczna metafizyka Abelarda itp. między którymi znajduje się także metafizyka inspirowana głównie przez mistykę, a reprezentowana między innymi przez Ryszarda ze św. Wiktora. Na podstawie analizy rozmaitych odmian, prawie zawsze zabarwionej neoplatonizmem metafizyki tego okresu, Autor dochodzi do wniosku, że przedmiotem jej jest rzecz, byt, ale nie „sam w sobie", lecz jako wskazujący sobą na Boga, inaczej mówiąc, rzecz jako ślad Boga. Takie rozumienie przedmiotu metafizyki wskazuje niewątpliwie na jej silne uzależnienie od kręgu problemów wyznaczanych przez mistykę.

Alcher z Clairvaux nie jest filozofem, który stanowiłby jakiś zasadniczy etap w rozwoju filozoficznej myśli średniowiecznej. Interesuje jednak jako ciekawy przykład eklektyka, a równocześnie typowego przedstawiciela powszechnie panujących w XII wieku poglądów. Jemu to właśnie a w szczególności zawartej w jego dziełku *De spiritu et anima* filozofii Boga poświęcona jest praca ks. J. Lewickiego *Filozoficzna nauka Alchera z Clairvaux o Bogu w świetle jej źródeł*. Zestawiając i porównując ze sobą poszczególne teksty, Autor przekonywująco wykazuje, że doktryna Alchera kształtowała się w oparciu o Anzelma z Canterbury, Gennadiusza, Bedy Venerabilis, Pseudo-Ambrożego i Boecjusza.

Zupełnie inny typ filozofa reprezentuje żyjący na przełomie XII i XIII wieku tłumacz i filozof o dużym zacięciu przyrodniczym — Alfred z Sareshel, o którym traktuje rozprawa Zofii Włodek pt. *Alfred Anglik a jego teoria życia*. W swym głównym i szeroko znanym w średniowieczu dziełku pt. *De motu cordis* wypracowuje Alfred niezwykle ciekawą teorię życia, którą definiuje jak władzę i pierwszy akt duszy.

Siedliskiem duszy jest serce. To, co najbardziej zainteresować może w tej teorii, to koncepcja *spiritus vitae* i *spiritus animalis*, które mają być łącznikiem między duszą a funkcjami ciała. Interesuje zaś z tego względu, że nieomal takie same rozwiązanie stosunku duszy do ciała wskaże pięć wieków później Kartezjusz! Autorka, poza zreferowaniem i zinterpretowaniem teorii Alfreda ukazuje także jej przesłanki historyczne, w szczególności poglądy Arystotelesa, Quosta ben Luki i Proklosa.

Ostatnią z referowanych rozpraw stanowi studium ks. Karola Wojtyły, pt. *Problem oderwania przeżycia od aktu w etyce na tle poglądów Kanta i Schelera*. Punktem wyjścia rozprawy jest stwierdzenie, że przeżycie i akt etyczny są ze sobą ściśle związane i że fakt ten da się najlepiej wytłumaczyć na gruncie teorii aktu i możności. Wszędzie tam natomiast gdzie nie dostrzega się tego związania, fałszuje się i zniekształca faktyczny, dany w doświadczeniu stan rzeczy. Moment doświadczalnego uchwycenia tej sprawy jest tu szczególnie ważny.

Rozluźnienie związku między aktem a przeżyciem etycznym dokonało się szczególnie jaskrawo w filozofii Kanta. Polega ono na tym, że istota życia etycznego, wyrażająca się głównie w akcie woli została u niego wycofana w dziedzinę niedostępną dla doświadczenia (sfera noumenalna) oraz że sprowadził całokształt przeżycia etycznego do jednego uczucia, mianowicie uczucia stosunku do prawa, nie mogącego wyczerpać w całości doświadczalnego przeżycia etycznego. Na innej płaszczyźnie dokonało się omawiane oderwanie przeżycia od aktu w filozofii Schelera. Filozof ten opiera całe przeżycie etyczne na aktach emocjonalnych, które nie wiążą się w sposób konieczny z aktami woli. Ponieważ zaś właśnie akty woli są aktami etycznymi w znaczeniu ścisłym, nieuwzględnienie ich w analizie przeżycia etycznego doprowadza znowu do oderwania go od aktu.

Studium ks. Wojtyły stanowi poważny wysiłek w kierunku wyjaśnienia filozoficznych podstaw teorii przeżycia etycznego i zinterpretowania w tym najbardziej podstawowym aspekcie różnic zachodzących między różnymi systemami etyki. I choć nie wiadomo jeszcze, czy rozstrzygnięcie arystotelesowsko-tomistyczne, opierające się na teorii aktu i możności, potrafi najlepiej wytłumaczyć tę sprawę (w szczególności, czy metafizyczne pojęcie aktu jest tu koniecznym i j e d y n y m czynnikiem, który może dostatecznie uzasadnić pojęcie aktu etycznego), sama metoda rozwiązywania postawionego problemu wydaje się jak najbardziej słuszną i obiecującą trwałe wyniki. Niech będzie wolno wyrazić tylko żal, że Autor nie podał na początku dokładnych definicji aktu i przeżycia etycznego, co znacznie ułatwiłoby zrozumienie nie łatwego przecież artykułu.

Omawiany zeszyt „Roczników" zamyka interesujący szkic ks. M. Kurdziałka, poświęcony sylwetce zmarłego w 1949 r., wybitnego niemieckiego historyka filozofii średniowiecznej — Marcina Grabmanna.

Na zakończenie trzeba raz jeszcze powrócić do strony technicznej wydawnictw KUL. „Roczniki" niestety znowu roją się od błędów, nie wychwyconych w korekcie, co szczególnie zaszkodziło artykułowi M. Gogacza i przytaczanym w innych artykułach tekstom greckim. Ale zdaje się, że to już ostatnie narzekanie w tej sprawie: wydany później *Mikołaj z Kuzy* nie budzi już prawie żadnych tego typu zastrzeżeń, co więcej, zwraca uwagę bardzo starannym i przemyślanym opracowaniem redakcyjnym.

W. S.

Résumé

Des réemigrés de la Hongrie, de la Roumanie, de l'Autriche, de la Westphalie, de la France, du Luxembourg, de la Belgique et d'autres pays, ainsi que les colons de diverses régions de la Pologne et des répatriés d'au delà du Bug arrivèrent après 1945 à Kędzierzyn en Silésie.

L'orsqu'une rencontre eut lieu entre ces groupes et la population autochtone il en résulta la confusion et le désorientation et des antagonismes tels qu'ils fallait même parfois avoir recours à l'intervention des autorités. On ce demande quel est l'aspect présent de la vie commune de ces groupes? Quels sont les facteurs qui favorisent l'unification nationale et quels sont ceux qui la rendent plus difficile?

Parmi les premiers il faut citer tout d'abord le lieu du travail (bureau, fabrique), l'école, les organisations, l'Eglise et les mariages mixtes entre les groupes. Tous ces facteurs, malgré leur nature différente et disposant chacun d'autres moyens, conduisent à un rapprochement et font tomber d'eux-mêmes les premiers reflexes et les préjuges. De la perspective de 13 années il faut constater que, malgré d'assez nombreux facteurs entravantés (difficultés économiques et autres procès sociaux, bureaucratie, erreurs de l'époque passée et autres), le procès de l'unification nationale a commencé et se trouve en plein développement. On peut même constater que des antagonismes choquants n'existent plus. On ne les voit surtout plus dans les petites entreprises, les bureaux, les écoles et la vie de tous les jours. La situation est un peu différente dans les grandes entreprises où la masse des travailleurs n'a pas de contacts mutuels et les ouvriers ne se connaissent pas. Il y a des partis pris et des conflicts imaginaires, qui disparaissent lorsqu'on demande des faits concrets. C'est un phenomène presque typique et démontrant que les antagonismes sont devenus des mythes ou une fausse tradition qui perd sa raison d'être. L'enquête conduite dans les écoles de Kędzierzyn a prouvé que chez les enfants la conscience d'une provenance étrangère disparait graduellement. Les mariages mixtes sont à l'ordre du jour contrairement à ce qui se passait en 1947. L'Eglise, où la population se réunit librement remplit consciemment sa mission unificatrice en accentuant l'unité de la foi et de l'idéologie chrétienne.

Ainsi, malgré de nombreuses erreurs objectives et subjectives, les résultats de l'unification sont visibles et progressent continuellement. Il faut accentuer qu'aucun des groupes arrivés ne démontre aucune tendance consciente à s'isoler des autres. Ce processus qui durera encore longtemps est favorisé non seulement par les facteurs cités mais également par le temps et l'attrait de notre culture qui possède une grande force unificatrice et qui a déjà tant accompli à Kędzierzyn.

L'utilitarisme éthique se lia sur le territoire anglais à la manière de penser empirique. Ce n'est qu'en Angleterre à base d'une philosophie empirique qu'a pu naître le roman criminel — une énigme expliquée par l'analyse des faits. Un genre littéraire opposé au roman criminel se développa dans la Rome antique: la procédure qui inventait des cas fictifs. Ici on ne peut douter de la valeur morale de l'action, ce sont les faits qui font l'objet de l'énigme. Là-bas les faits sont donnés et leur évaluation morale est l'objet du problème. Plus tard, on composa, dans la patrie de Sénèque l'aîné, le drame espagnol classique, dont le trait caractéristique est une tirade qui fait suite à la declamation romaine et se termine en général par une sentence, comme cela a lieu dans le Cid et parfois par une intervention surnaturelle ayant le caractère d'un verdict. Ce drame résulte d'une analyse scholastique des idées et du goût pour la rhéthorique propre aux peuples du midi. Dans le drame l'époque de la scholastique a passée, par contre la rhétorique avec son style si caracteristique pour des peuples du midi — demeure. Slowacki imbu de l'esprit méridional, a subi dans ses drames l'influence de la rhétorique de Calderon, mais il ne s'est pas assimilé aucun problème moral ni juridique. Au XX siècle nous voyons encore les traces d'une fusion de la rhétorique avec la dialectique qui remonte à l'antiquité — elle est contenue dans la poésie lyrique et refléxive d'Unamuno.

Les milieux catholiques en Pologne ne prénnent pas, généralement parlant, de part active dans la discussion scientifique sur le problème de l'origine, du rôle et de la fonction du milieu intellectuel après la dernière guerre mondiale. Les opinions à ce sujet de certains milieux et groupes catholiques sont désuètes

et peu scientifiques; elles rappellent parfois les conceptions „messianiques" ou „nationalistes". La discussion au sujet des intellectuels (proprement dit de l'„inteligentsia") s'est avivée brusquement après la publication du recueil d'essais: „Le passé et l'avenir du milieu intellectuel polonais" (1958) de l'éminent sociologue polonais le professeur Joseph Chałasiński. Tandis qu'il y a douze ans la polémique se concentrait surtout autour du problème de l'origine de ce milieu, à présent l'intérêt principal de la discussion semble se concentrer sur les questions actuelles et la polémique concerne en principe le problème: le milieu intellectuel et la nation. Le professeur Chałasiński se basant sur les nombreux mémoires de jeunes intellectuels d'après guerre a évalué avec beaucoup de scepticisme les efforts d'une formation d'un milieu intellectuel, issu des nouvelles classes sociales, ouvrières et paysannes, dont la fonction serait de servir la classe ouvrière. Dans ce nouveau milieu l'aspect national domine la conscience de classe.

Les conclusions du professeur Chałasiński ont été contestées et critiquées dans l'hebdomadaire „Nowe Drogi" („Voies Nouvelles", No 7/1958) par un groupe de marxistes et surtout par le professeur Żółkiewski. Celui-ci conteste l'article: „Le milieu intellectuel et la nation du point de vue méthodologique et méritorique". Il est de l'avis de continuer les essais de la formation d'un nouveau milieu intellectuel d'origine ouvrière et paysanne. Dernièrement le professeur Szczepański a posé dans „Przegląd Kulturalny" („La Revue Culturelle", No 51—52/1958) une intéressante hypothèse scientifique — que les masses intellectuelles qui sont de plus en plus nombreuses en Pologne forment un nouveau fait sociologique qui prendra sa forme définitive dans la seconde moitié du XX siècle. Le modèle actuel: prolétariat, intellectuels et petite bourgeoisie n'y suffirait plus.

Chronique

TREŚĆ ZESZYTU

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

Cena zł 12.—

IN HOC
SIGNO
VINCES